



GDZIE JEST SAUDYJSKI
KSIĄŻĘ, O KTÓRYM
SŁUCH ZAGINAŁ.
KRÓTKO PO JEGO
URODZENIU?

Marcin
MARGIELEWSKI

ZAGINIONY
ARABSKI
KSIĄŻĘ

Prószyński i S-ka

Marcin
MARGIELEWSKI



ZAGINIONY
ARABSKI
KSIĄŻĘ

Prószyński i S-ka

Prolog

Często słyszę pytanie, skąd czerpię tematy do moich książek, jak znajduję bohaterów. Zawsze odpowiadam tak samo: po napisaniu swojej pierwszej książki byłem przekonany, że będzie moją ostatnią. Przecież szansa na spotkanie kogoś takiego jak szejk prawdopodobnie zdarza się raz w życiu, nigdy więcej się nie powtórzy. A nawet jeśli, to trudno będzie cokolwiek przebić wywiad z nim. Jak bardzo się myliłem, pokazał już pierwszy tydzień po wydaniu *Jak podrywają szejki*, kiedy zaczęły do mnie docierać informacje o historiach wartych opisanie.

Od tego czasu w moim życiu pojawiło się mnóstwo niesamowitych opowieści i fantastycznych ludzi, którzy je ze sobą przynieśli. Tak było i tym razem.

Podczas pracy nad *Kłamstwami arabskich szejków* usłyszałem historię zaginionego księcia, a przy okazji dostałem kontakt do osoby, która kiedyś nosiła go pod sercem i wie o nim najwięcej, choć niestety nie ma pojęcia, co się z nim stało. Tego właśnie od lat próbuje się dowiedzieć. Nie zaginął, jak wielu innych, za sprawą księcia Mohammeda bin Salmana, bo gdy się urodził, MBS był jeszcze nastolatkiem. Poza tym z pewnością nie widziałby w nim konkurenta do saudyjskiego tronu, a głównie takich bierze na celownik przyszły król. Powody, dla których mały książę zniknął bez wieści, są znacznie bardziej okrutne i nie mają nic wspólnego z polityką.

Bohaterka tej historii zdecydowała się ją opowiedzieć, bo stwierdziła, że świat interesuje się podobnymi sprawami tylko wtedy, gdy spłyną krwią. Wcześniej są dla niego przezroczyście.

O Candice Cohen-Ahline prasa zaczęła się rozpisywać dopiero wtedy, gdy wypadła z okna apartamentu przy Polach Elizejskich w Paryżu. Wcześniej nikt nie interesował się jej wieloletnią walką z byłym mężem – saudyjskim księciem – o opiekę nad ich córką.

Pochodząca z Polski katarska księżniczka Kasia Al Thani również nie była dla mediów wystarczająco ciekawym tematem, gdy walczyła o prawa do opieki nad swoimi trzema córkami, które są owocem jej związku z wujem obecnego i synem byłego emira Kataru. Stała się „atrakcyjna”, dopiero gdy znaleziono ją martwą w jej hiszpańskim apartamencie.

To efekt okrutnego mechanizmu, którego doświadczają kobiety w podobnych sytuacjach. Gdy walczą o swoje dzieci, jak normalne, kochające matki, społeczeństwo nie widzi w tym nic szlachetnego, wręcz przeciwnie – ocenia je bardzo surowo. Przecież same są sobie winne, po co wychodziły za Araba? Zupełnie jakby pochodzenie determinowało charakter, a w krajach niearabskich nie było rozwodów i walki o dzieci.

Kiedy w wyniku tej walki kobiety w różnych okolicznościach giną – a niestety nie są to odosobnione przypadki – stają się godne uwagi, a ich ocena diametralnie się zmienia. W oczach innych dopiero teraz stają się ofiarami, a spragniony sensacji świat nadstawia uszu, by poznać ich losy.

Postanowiłem przełamać ten okrutny schemat i opowiedzieć historię Emily bez sensacyjnych nagłówków. Niestety ona też nie ma szczęśliwego zakończenia – nawet sama bohaterka straciła już na nie nadzieję – jednak może posłużyć ku przestrodze. Nie, nie przed „złymi Arabami”, ale przed naiwnością, która niszczy wiele związków, niezależnie od szerokości geograficznej.

Emily sama przyznaje, że nie ma recepty, która mogłaby uchronić kobiety przed takimi sytuacjami, bo miłość zawsze daje nadzieję na szczęście. Przecież nikt nie bierze ślubu, zakładając, że za kilka lat będzie walczyć ze zniechęconym współmałżonkiem o dzieci. Problem leży w prawie, które od czasów rzymskich nie potrafi sobie poradzić z rozwiązaniem trudnych małżeńskich spraw, a gdy do tego jedna ze stron wykorzystuje swoją przewagę nad drugą, sytuacja staje się jeszcze bardziej skomplikowana.

Poznajcie opowieść Emily. Historię wielkiej miłości, ogromnej straty, okrucieństwa i trwającej lata niepewności, bolesnej jak cięcie brzytwy. I spróbujcie nie oceniać, bo każde z nas, kochając, prawdopodobnie zrobiłoby to samo...

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

Eugène

Dlaczego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy?

Czy mamy to zapisane w genach czy w niebie?

Czy kształtują nas rodzice czy religia?

Czy na nasze losy wpływa barwa skóry czy cechy narodowe?

Naukowcy zdają się znać odpowiedzi na te pytania, choć niektórzy wciąż żarliwie dyskutują. Jedno jest pewne: nie jesteśmy białą tablicą do zapisania, jak chciał nas widzieć Arystoteles. Nie bierzemy się znikąd. Moim zdaniem nasz charakter, światopogląd i to, jak postępujemy z ludźmi, determinuje wiele czynników. Nie wiem, czy to prawda, czy po prostu moje własne wygodne wytłumaczenie dla zachowania ludzi, którzy mnie w życiu skrzywdzili, ale od lat konsekwentnie trzymam się tej wersji. Inaczej pewnie postradałabym zmysły – choć w pewnym momencie byłam tego naprawdę bliska.

Moja przygoda ze światem arabskim zaczęła się w dwa tysiące drugim roku, ale warto cofnąć się nieco ponad trzy dekady wcześniej, by poznać rodzinę mojego byłego męża i wydarzenia, które go ukształtowały, a tym samym nazaczyły moją przyszłość na zawsze.

Nigdy nie poznałam mojej teściowej – zmarła dziesięć lat przed tym, jak pojawiłam się w życiu jej syna – ale wiem, że to, co się z nią stało, miało ogromny wpływ na losy jej rodziny. Przez wiele lat wiedziałam tylko tyle, że umarła przedwcześnie, krótko po swoich czterdziestych urodzinach, ale nikt w rodzinie, łącznie z moim mężem, przez długi czas nie odważył się powiedzieć mi niczego więcej.

Zrobiła to dopiero siostra mojego męża w chwili, gdy sama nie mieszkała już na stałe w Arabii Saudyjskiej. Zupełnie jakby wcześniej rozmowa na ten temat była niemożliwa, jakby zagrażała jej bezpieczeństwu. I choć samo opowiedzenie jej historii zapewne nie spowodziłoby na nią zagrożenia, było oskarżeniem wobec jej ojca i systemu, którego ten był wiernym wyznawcą. To zaś wystarczyło, by poważnie się narazić swojej rodzinie.

Hayat, bo tak nazywa się moja szwagierka, oraz Badr, mój mąż, bardzo przeżyli śmierć swojej matki, każde na swój sposób, ale tylko jedno z nich potrafiło nazwać jej prawdziwą przyczynę. Nigdy nie sądziłam, że kiedyś sama znajdę się w sytuacji, która złamie moje życie i zmieni je w pełną obsesji i smutku egzystencję.

Bardzo zaprzyjaźniłam się z Hayat. Był czas, kiedy odgrywała rolę mojej jedynej powierniczki. Doskonale rozumiała, przez co przechodzę, choć sama miała sporo szczęścia.

– Mówią, że to my, arabskie kobiety, cierpimy z rąk naszych mężów, ale to wcale nie zależy od pochodzenia. Zależy od męża – powtarzała często w naszych rozmowach. W tej kwestii rzeczywiście los się do niej uśmiechnął, choć jej małżeństwo w żaden sposób nie mieściło się w saudyjskich standardach. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła, była moją przewodniczką po nowym dla mnie świecie od dnia, gdy wylądowałam w tym pięknym kraju.

Do dziś pamiętam uderzenie wilgotnego gorąca, które przywitało mnie po przylocie. Zaskakująco przyjemne i zapraszające. Pamiętam też uśmiech mojego przyszłego męża w tym magicznym momencie. Łagodny i pełen miłości. Potrafił sprawić, że cały stres związany z tą podróżą w nieznane zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przy nim czułam się całkowicie bezpieczna, choć nic dookoła mnie się takie nie zdawało.

Zgodziłam się na ten lot z drżącym sercem i głową napakowaną historiami o Arabach, którzy porywają piękne kobiety w Europie i robią z nich swoje niewolnice seksualne. Nigdy w to nie wierzyłam i nawet mimo tego, co przeżyłam na Bliskim Wschodzie, uważam tę zbiorową odpowiedzialność, jakiej domaga się niewydukiwany – albo niepotrafiący spojrzeć na swoje własne podwórko – Zachód, za ogromną niesprawiedliwość.

Niemal dokładnie cztery lata wcześniej przyjechałam do Wielkiej Brytanii z Francji. Ponieważ przez całe życie mieszkałam w stolicy, postanowiłam uniknąć totalnego *cliché* w moim życiu i zamiast

Londynu na swoje miejsce na Wyspach wybrałam Manchester. I poza trudnymi początkami nie żałowałam ani chwili. Zakochałam się w tym mieście i w ludziach, choć nie pozbyłam się swoich narodowych uprzedzeń względem Brytyjczyków. Odwzajemnianych zresztą na każdym kroku.

Oczywiście to bardzo niegroźne i raczej kabaretowe uprzedzenia, ale... No cóż, Brytyjczycy mają w sobie coś z wyspiarskiego snobizmu, w myśl którego dla zasady i wbrew wszelkiej logice masowo odmrażają sobie uszy tylko po to, by wszystko, co się da, zrobić inaczej niż reszta Europy.

To dlatego przekonują, że osobne krany z wrzącą i lodowatą wodą mają sens, choć coraz częściej instalują w swoich łazienkach te, które wodę mieszają. Nadal jednak nietrudno znaleźć konserwatystów w tej kwestii twierdzących, że Europejczycy muszą się bawić w wodnych didżejów, miksując wodę, bo przecież „tego nie da się ustawić”. Nie da się, jeśli jesteś Brytolem. Tematu wykładzin dywanowych wciąż jeszcze oklejających ściany, wanny i podłogi w wielu łazienkach lepiej nie poruszać – wystarczy wyobrazić sobie, jak prężną są farmą bakterii, robactwa, roztoczy i grzybów. I jeszcze słynne *bed bugs*. Pluskwy mieszkające w materacach i sofach wielu brytyjskich domów rosły się chyba z tutejszym krajobrazem tak ściśle, że gdyby nagle zniknęły, ogłoszono by żałobę narodową.

No dobrze, wystarczy tego narzekania na Wielką Brytanię, bo wyjdę na niewdzięcznicę, zwłaszcza że przyjęła mnie naprawdę fantastycznie. Do tego stopnia, że poważnie rozważałam osiedlenie się tu na stałe. Życie udowodniło mi jednak, że takich planów nie robi się w wieku dwudziestu kilku lat.

W Manchesterze studiowałam ekonomię, a że życie na Wyspach do tanich nie należy, musiałam pójść do pracy. Oczywiście pierwszym pomysłem, jaki przychodzi do głowy młodej studentce cierpiącej na brak gotówki, jest kelnerowanie, jednak ja zupełnym przypadkiem zobaczyłam na uczelni ogłoszenie agencji pracy pośredniczącej w zatrudnianiu studentów w charakterze stażystów w działach księgowości. Tak oto trafiłam do firmy zajmującej się spedycją. Ze stażystki szybko awansowałam na pełnoprawną młodą księgową w trzyosobowym zespole, który połączyła nie tylko przyjaźń, ale też wspólna niechęć do szefowej.

Z o kilka lat starszymi ode mnie Karen i Aliną od początku tworzyłyśmy zgraną, choć dość nietypową mieszankę wschodnioeuropejskiego temperamentu, wyspiarskiego luzu i francuskiego ę-ą.

Ten pierwszy był reprezentowany przez Alinę, która – jak zawsze opowiadała – do Wielkiej Brytanii przyплыnęła na pontonie z grupą Cyganów, których wygnano z Rumunii, by ukradli Anglikom pracę, mieszkania i świadczenia socjalne. Mówiła to tak przekonująco, że ci, którzy jej nie znali, dawali się nabrać – i albo współczuli, albo utwierdzali się w przekonaniu, że „trzeba coś z tym zrobić”. To coś po latach zyskało miano brexitu. Tak naprawdę Alina wcale nie była Cyganką, lecz piękną Rumunką i pochodziła z bogatej rodziny, którą stać było na wysłanie jej do Anglii na studia, a po studiach po prostu nie wróciła już do swojej ojczyzny.

Karen była przezabawną i naprawdę wyluzowaną Brytyjką, która żywiła się spaghetti z puszki, tostami z worka i winem z kartonu. To odbijało się na jej sylwetce, ale wcale nie odbierało jej urody. Karen uważała, że to zasługa coli light, którą namiętnie popijała każdy posiłek. *Remember darling, you should never waste calories on drinks!* – powtarzała ze swoim północnym akcentem i swadą doświadczonej dietetyczki, choć ta zasada wyraźnie nie obowiązywała pochłanianego przez nią w niebagatelnych ilościach alkoholu.

W tym cyrku występowałam jeszcze ja, Francuzka z Paryża, z trzema absolutnie stereotypowymi – co nie znaczy, że występującymi u każdej z moich rodaczek – cechami: całkiem niezłą figurą, silnym akcentem i spiętymi pośladkami. Dwie pierwsze były częstym powodem żartów, ostatnia zanikła w znacznym stopniu, gdy zaczęłam się zadawać z Aliną i Karen, choć one do samego końca uważały mnie za *Posh Spice*2 naszego zespołu.

– Ten twój Ahmed to chociaż w piłkę gra? Bo jak tak, będzie mógł na Beckhama pozować! – nabijała się ze mnie Karen.

– Badr! – próbowałam ją poprawiać, zwykle bezskutecznie.

Karen nie miała zamiaru zapamiętać imienia mojego przyszłego męża, a cały ten pomysł z wyjazdem na pustynię i ślubem z arabskim księciem uważała za kolejną fanaberię pozującej na arystokratkę Francuzki. Oczywiście nie miała mi tego za złe. Wiem, że bardzo mnie lubiła, ale nabijanie się ze mnie było jednym z najważniejszych punktów programu każdego dnia.

Nie miałam pojęcia, czy Badr gra w piłkę nożną, nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale skojarzenie nas z najgorętszą w tym czasie w Wielkiej Brytanii parą – Victorią Adams ze Spice Girls i najlepszym piłkarzem na Wyspach, Davidem Beckhamem, do którego wzdychali wszyscy, niezależnie od płci i orientacji seksualnej – było komplementem trudnym do przecenienia.

Karen uważała, że moja figura jest efektem żywienia się nasączanymi sokiem płatkami kosmetycznymi, i właśnie z tego głównie żartowała, dopóki w moim życiu nie pojawił się Badr – odtąd bowiem docinki dotyczyły już głównie pustyni. Ale ja nie miałam z tym problemu. Wiedziałam, że to tylko część jej stylu bycia, że dla niej to sposób na wyrażenie sympatii. Być obiektem żartów Karen stanowiło swego rodzaju zaszczyt.

Śmiech i taniec były jej powietrzem. Do wygłupów nie potrzebowała zachęty, a do tańca wystarczyła jej lampka wina i muzyka. Nie przeszkadzał jej też brak parkietu czy wolnej przestrzeni. Kiedy wychodziłyśmy na drinka po pracy – a robiłyśmy to dość często – Karen nigdy nie odmawiała sobie przyjemności pogibania się. Tracając w tańcu przypadkowe osoby, niejednokrotnie poszerzała nasz trzyosobowy krąg towarzyski, bo Karen już tak miała, że wszyscy chcieli się bawić w jej towarzystwie.

To zresztą właśnie dzięki temu pewnego wieczoru poznałam uroczego południowca. Wyglądał na Latynosa, a ja byłam na tyle wstawiona, że nie rozpoznałam w nim arabskiego księcia. Zresztą szczerze powiedziawszy, w tamtym czasie byłam w tej kwestii kompletną ignorantką. Mnie przystojny brunet o śniadej cerze kojarzył się jedynie z latynoskim kochankiem z telenoweli, do tego łamaczem serc, więc z automatu nadawał się wyłącznie do przygód. Nie żeby mi to przeszkadzało, bo wtedy interesowały mnie tylko przygody.

Wychowałam się w domu, w którym nie przywiązywało się większej wagi do tradycji i związanych z nią formalności. Moja mama była artystką. Całe życie malowała obrazy i choć sprzedawała ich bardzo niewiele, niestrudzenie organizowała wystawy i z zacięciem bezczelnej nastolatki promowała swoją twórczość wszędzie, gdzie tylko mogła. Często wywoływała tym sarkastyczne uśmiechy, niektórzy wprost dawali jej do zrozumienia, że nie są zainteresowani jej malarstwem, a tak nieograniczona wiara we własną wartość nie przystoi kobiecie w jej wieku. Krótko mówiąc, próbowali ją poniżyć. Robili to tyle brutalnie, co nieskutecznie. Moja mama była niezrażona i szczerze mówiąc, podziwiałam w niej to znacznie bardziej niż jej sztukę. Tej nigdy nie rozumiałam.

Siłę czerpała w dużej mierze ze wsparcia mojego taty – twardo stąpającego po ziemi biznesmena z porządnym ekonomicznym i prawniczym wykształceniem. Z moją mamą ożenił się wbrew swojej rodzinie, która widziała u jego boku kogoś bardziej odpowiedniego – cokolwiek miało to znaczyć. Miłość okazała się jednak silniejsza niż wszelkie uprzedzenia i nic nie było w stanie jej powstrzymać. Nawet fakt, że moi dziadkowie nie odpuszczali żadnej okazji, by wyrazić zdanie na temat mezaliansu, jakiego dopuścił się ich syn. Robili to na różne, często bardzo bolesne sposoby, jednak to tylko jeszcze bardziej zbliżało moich rodziców do siebie, a po mojej mamie wszelka krytyka spływała jak po kaczce.

Dziadkowie nie zmienili stosunku do mojej mamy, nawet gdy urodziła im wnuczki. Ich nastawienia nie zmieniło także to, że tata został dokładnie tym, kim go widzieli – poszedł na wybrane przez nich studia i nawet nie śmiał wspominać, że pragnął być kimś innym. Nie wiem zresztą, czy w ogóle miał jakieś marzenia, które wykraczały poza wizję jego rodziców. Nigdy o tym nie mówił. Spełnił wszystkie ich przykazania... poza tym jednym.

Konflikt pomiędzy rodzicami i dziadkami mocno odcisnął się na moim wychowaniu, i to w sposób raczej pozytywny, bo rodzice bardzo dbali o to, byśmy z moją siostrą miały realny wpływ na własne życie i podejmowały autonomiczne decyzje. Tych zresztą nigdy nie krytykowali. Dziadkom i to podejście mocno się nie podobało, a gdy los podsunął im trudny do obalenia argument, obrócili nasze życie w prawdziwe piekło, bezpośrednio obwiniając moich rodziców o to, co stało się z ich starszą córką.

Ja byłam tą młodszą. Eugène urodziła się pięć lat wcześniej i była owocem niczym nieskrępowanej, choć zakazanej miłości. Myślę, że to właśnie fakt, iż Eugène pojawiła się na tym świecie bez aprobaty dziadków – i ku ich zupełnemu zaskoczeniu – przyczynił się w znacznym stopniu do ich ostentacyjnej niechęci. Początkowo rodzice próbowali sobie ułożyć stosunki z nimi – dali nawet mojej siostrze imię po swojej prababci, ale ten ewidentny ukłon nie został przyjęty zgodnie z intencjami. Babcia

uznała ten fakt za zupełnie naturalny, a Eugène otrzymała imię, którego później szczerze nie znosiła

Sprawa ułożenia wzajemnych relacji była przegrana już na starcie, niechęć zaogniła się z roku na rok, a gdy Eugène umarła, nastąpiła kulminacja. Zamiast współczuć, okazać wsparcie, babcia osobiście złożyła doniesienie na policję, twierdząc wprost, że moja mama zabiła własną córkę.

Eugène zawsze bardzo mi imponowała. Chyba wszystkie dziewczynki wpatrzone w swoje starsze siostry tak mają. Chciałam być jak ona – wysoka, piękna, mieć ciemne kręcone włosy i wyglądać jak księżniczka. Eugène bezsprzecznie odziedziczyła urodę po naszej mamie, w której żyłach za sprawą jej dziadka płynęła algierska krew. Ja byłam nieodrodną córką taty – arystokratycznie blada pospolita blondynka. W przyszłości miałam się przekonać, że moja uroda jest niezwykle pożądana wśród mężczyzn, ale jako mała dziewczynka uważałam, że to właśnie Eugène jest jedynym i niedoścignionym wzorcem piękna.

Był czas, kiedy moja obsesja na punkcie czarnych włosów tak się nasiliła, że oskalpowałam jedną z dużych szmacianych lalek. Niemal dorównywała mi wzrostem i miała strój Indianki, ale ja byłam najbardziej zainteresowana jej czarną czupryną, którą w dość nieudolny sposób odcięłam od jej głowy, kompletnie się nie przejmując jej uczuciami. Najważniejsze, że się udało. Chodziłam z jej włosami na głowie przekonana, że wreszcie wyglądam tak jak Eugène. Niestety moja „peruka” pozostawiała wiele do życzenia w kwestii jakości, bo już po pierwszym założeniu zaczęła się rozpadać, a kilka dni później zupełnie się zdeintegrowała. Początkowo starałam się nie zauważać wypadających z niej kosmyków, ale w końcu musiałam się poddać i zaakceptować fakt, że będę tą brzydszą siostrą. Pozostało mi tylko dalsze podziwianie Eugène.

Mimo że wynosiłam ją na piedestał, moja siostra nie miała w sobie ani cienia buty, nie była wyniosła. W czasie, kiedy ona wkraczała w świat nastolatek, ja byłam dzieckiem, ale nigdy mnie nie odrzucała. Potrafiła bawić się ze mną tak, jakby nie było między nami różnicy wieku, i zawsze powtarzała mi, że mam najpiękniejsze włosy na świecie i sama bardzo chciałaby takie mieć. W to akurat nigdy nie uwierzyłam. Kto by chciał nosić na głowie prosty, nudny blond, mając takie królewskie czarne loki. Eugène miała dość pokaźny arsenał argumentów w postaci disneyowskich księżniczek, które – z małymi wyjątkami – z reguły miały blond włosy, ale nie przekonywało mnie to na długo. W pionie trzymała mnie tylko jedna obietnica.

– Jak dorośniesz i nadal będziesz chciała mieć takie włosy, to pójdziemy do fryzjera, zakręcimy je i ufarbujemy – powiedziała któregoś razu moja siostra.

– Obiecujesz? – upewniłam się.

– Obiecuję. Poza tym wierz mi, Em, takie włosy to wcale nie jest wielkie szczęście. Czy ty wiesz, ile muszę się namęczyć, żeby wcisnąć je pod czepek? A potem i tak wyglądam, jakbym miała jajo na głowie! – Eugène potrafiła mnie rozśmieszyć i przekonać do swoich racji bez większego wysiłku. Urodę odziedziczyła po naszej mamie, ale talent dyplomatyczny zdecydowanie po tacie.

To był dżdżysty poranek tydzień przed świętami Bożego Narodzenia. Weekend. Nasz dom tonął w ręcznie robionych przez moją mamę ozdobach. Nie mogło być inaczej. Jako artystka nie zaakceptowałaby niczego, co przyplłynęło z Chin, by udawać mikołaje, krasnale i śnieżynki. Lubiłam ten czas – oczywiście w dzieciństwie najbardziej ze względu na prezenty, ale sam klimat świąt też zawsze był mi bliski.

Eugène nie zeszła na śniadanie. A zwykle wstawała długo przede mną.

– Daj jej pospać, ma teraz ciężki czas w szkole. Przecież w tygodniu wstaje przed nami wszystkimi – przekonywał tata, gdy mama, nieco zdenerwowana, po raz kolejny zawołała ją z dołu.

Eugène ćwiczyła pływanie i każdy dzień powszedni zaczynała od treningu. Tylko w weekendy szła na pływalnię po południu. Miała prawo pospać dłużej, ale mama nie zamierzała odpuścić rodzinnej tradycji jedzenia wspólnych śniadań w weekendy.

– Eugèèèèèè! – krzyknęła znowu. Miała donośny głos i bez trudu można było ją usłyszeć. Wiedziała o tym. I wiedziała, że Eugène ją słyszy. To irytowało ją jeszcze bardziej. – Ona mnie zupełnie ignoruje – stwierdziła donośnie z nadzieją, że i to dotrze do uszu jej starszej córki.

– Po prostu śpi...

– Ale wszystko wystygnie! – Mama nigdy nie była boginią kuchni, ale weekendowe śniadania

uważała za bardzo ważny element rodzinnego życia. Zwłaszcza teraz, przed świętami, kiedy wchodziło ono w zupełnie nowy, zdecydowanie bardziej intensywny wymiar.

– Jeśli wystygnie, to ogrzejemy, kochanie – powiedział tata, wstając i całując ją w czoło.

Mama nieco się uspokoiła. Tata zawsze potrafił ukoić jej nerwy. Byli idealną parą. Nigdy nie widziałam, żeby się kłócili. Nawet jeśli się w czymś nie zgadzali, zawsze rozmawiali spokojnie i z ogromnym szacunkiem. Sporo w tym zasługi taty, który doskonale znał instrukcję obsługi mojej porywczej, a czasami wręcz nieobliczalnej mamy.

I tym razem dała się przekonać, by dać spokój starszej córce. Ale gdy zbliżał się czas wyjścia na basen, a Eugène nadal się nie pojawiła, mama postanowiła ją wreszcie obudzić i poszła na górę.

Trudno mi opisać pełen rozpacz dźwięk, jaki dobiegł naszych uszu chwilę później, ale zapamiętam go na zawsze. Od tego czasu wracał do mnie wielokrotnie w sennych koszmarach.

Tata zerwał się na równe nogi. Przezornie kazał mi siedzieć na sofie i pod żadnym pozorem się z niej nie ruszać. Nie miałam pojęcia, co się dzieje, byłam przerażona, wręcz sparaliżowana. Zaczęłam cichutko płakać, ale nie było nikogo, kto mógłby mnie pocieszyć. Moi rodzice zniknęli na górę, dopiero po latach się dowiedziałam, że w tym czasie toczyli heroiczną walkę o życie mojej siostry.

Kiedy mama weszła do pokoju, zobaczyła Eugène bladą, niemal siną. Była przekonana, że nie żyje, ale tata wyczuł u niej puls i natychmiast przystąpił do reanimacji. Mama w tym czasie wezwała pogotowie. Rodzice nie mieli głowy, by zajmować się mną, więc widziałam, jak ratownicy wbiegają na górę, jak niedługo potem znoszą moją nieprzytomną siostrę i zamykają ją w karetce.

Mama biegła zaraz za sanitariuszami.

– Em, musisz być teraz bardzo dzielna. Za chwilę przyjadą tu babcia i dziadek, zczekaj na nich... – rzucił do mnie tata, również zmierzając do wyjścia.

To był pierwszy raz, kiedy zostałam sama, bez opieki rodziców, ale nie miałam czasu, żeby się bać o siebie. Bałam się tylko o Eugène. Nie wiedziałam, co się z nią stało, czy jeszcze kiedyś ją zobaczę, ale już wtedy rozumiałam, że skoro zabrało ją pogotowie, to jest szansa, że ją wyleczą. Tamtego dnia przeszłam przyspieszony kurs dorosłości, ale prawdziwa lekcja była dopiero przede mną.

Pamiętam, jak czekając na dziadków, siedziałam na sofie i modliłam się do świątecznego aniołka. W moim domu nie było symboli religijnych, zresztą nie umiałam się modlić, ale wiedziałam, że ludzie robią to, gdy się boją albo czegoś bardzo pragną – a ja właśnie byłam w takiej sytuacji. Wymyśliłam więc swoją własną modlitwę, która zapewne nie miała żadnego sensu, ale skupiłam się na niej tak bardzo, że czas oczekiwania szybko mi zleciał.

– Wiedziałam, że to się skończy narkotykami! – skwitowała babcia, gdy wraz z dziadkiem dotarli do naszego domu i usiedli obok mnie na sofie.

Nie skupiali się na mnie jakoś szczególnie. Na ich twarzach widać było szok, choć słowa, które płynęły z ich ust, dalekie były od troski o wnuczkę. Zapamiętałam je bardzo dobrze, ale dopiero kilka lat później byłam w stanie zrozumieć ich sens. Wszystkie one brzmiały jak okrutny akt oskarżenia wobec moich rodziców. Mój ojciec mógł liczyć na uniewinnienie – mama wyłącznie na najwyższy wymiar kary.

– To ich bezstresowe podejście! Matka wariatka, której się wydaje, że jest artystką. Dzieci nieznające dyscypliny... – kontynuowała babcia. – Nie zdziwiłabym się, gdyby w ramach nauczania tych wszystkich liberalnych bzdur sama dała jej to świństwo!

Babcia chodziła po salonie, robiąc trzy równe kroki w przód i wracając w trzech kolejnych w to samo miejsce. Wyglądało to jak dokładnie wyreżyserowany marsz, w którym nie ma miejsca na żadne odstępstwo.

– Nie przesadzaj, kochanie. Jaka matka dałaby dziecku narkotyki... – próbował tonować ją dziadek. Jego głos przypominał mi głos taty, jakim mówił do mojej mamy, gdy ta była czymś mocno poruszona. Dziadek jednak wyraźnie nie odniósł sukcesu, jakim zwykle mógł się cieszyć jego syn. Ale trzeba przyznać, że walczył ze zdecydowanie trudniejszą materią.

Babcia była nieprzejednana.

– Jaka matka? Taka! Właśnie taka! Ja od początku mówiłam, że z tego będzie jakaś tragedia... To arabskie nasienie... Na zgubę naszego syna...

Nie wiedziałam, co oznacza „arabskie nasienie”. Dopiero wiele lat później miałam wątpliwą

przyjemność poznać moich dziadków jako rasistów, antysemitów, kseno- i homofobów. Przez całe życie cieszyli się komfortem, jakiego większość Francuzów nie ma szansy doświadczyć, mimo to wiecznie narzekali, że Francja schodzi na psy, a wszystkim winni są imigranci, zwłaszcza ci z Algierii i Maroka, w dalszej kolejności biedota z innych krajów Europy – z Polski, Rumunii, Bułgarii – a na domiar złego ich ukochany kraj jest drenowany finansowo przez Żydów i rujnowany moralnie przez gejów.

Wtedy – jako złęczniona jedenastolatka – nie miałam pojęcia, o co tak naprawdę chodzi moim dziadkom. Miałam tylko nadzieję, że Eugène wkrótce do mnie wróci i znowu będziemy się razem bawić. Bardzo potrzebowałam potwierdzenia tej nadziei u dorosłych, którzy przyjechali się wtedy mną zaopiekować, ale nie miałam na to szans. Babcia wciąż wymachiwała wojennym toporem.

– Dziadku, czy Eugène umrze? – spytałam, wciąż wtulona w jego ramię.

Dziadek milczał, ale to pytanie nie pozostało bez odpowiedzi.

– Każdy narkoman prędzej czy później umiera – odparła babcia, nie dbając o to, że ma przed sobą małą dziewczynkę. Przecież ja nie pytałam o jakiegoś narkomana, tylko o Eugène...

– Ale Eugène... Czy ona umrze? – powtórzyłam, tym razem zwracając się do babci.

– Nie wiem. Ale jak przeżyje, będzie trzeba was obie zabrać z tego domu. Wasi rodzice ewidentnie nie nadają się do wychowywania dzieci – odpowiedziała, wprawiając mnie w jeszcze większą histerię.

Nie miałam pojęcia, dlaczego babcia chciałaby nas zabrać od rodziców. Przecież oni są najlepsi na świecie. Zawsze o nas dbali i wiedziałam, że nas kochają, ale babcia brzmiała tak przekonująco, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma racji.

– Ta arabska czarownica nie da za wygraną, jak w przypadku ślubu. Będziesz musiał skontaktować się z Adrien. On jest najlepszy w sprawach rozwodowych. Jacques’a zostaw mnie, już ja go przekonam, żeby się z nią rozwiódł. Może teraz, po tej tragedii wreszcie odzyska rozum i nas posłucha.

Babcia obmyślała plan, a ja próbowałam cokolwiek z tego zrozumieć. Wiedziałam, że Adrien to starszy brat taty, który jest prawnikiem, Jacques to mój tata, a i miałam przeczucie, że mówiąc o arabskiej czarownicy, babcia miała na myśli moją mamę. Wtedy chyba jeszcze nie wiedziałam, czym jest rozwód, ale czułam, że babcia jest wściekła, i naprawdę się jej bałam.

Rodzice wrócili do domu późnym wieczorem. Babcia kazała mi się przebrać w piżamę, czekałam więc w swoim pokoju, aż tata lub mama przyjdzie mnie pocałować na dobranoc. Przyszli oboje. Ich smutek dało się wyczuć już od wejścia. Usiedli na moim łóżku, a ja natychmiast wskoczyłam pomiędzy nich. Przytulili mnie mocno, długo nie mówiąc ani słowa. Byłam bardzo szczęśliwa, że znowu tu są, ale czułam, że to bardzo wyjątkowa sytuacja – i że musi mieć związek z Eugène.

– Em... – zaczął cicho mój tata. – Wiesz, że bardzo cię kochamy?

Pokiwałam głową. Byłam tego pewna bardziej niż czegokolwiek w moim krótkim życiu.

– Zawsze o tym pamiętaj – dodała mama, przetykając łzy.

– Dlaczego płaczesz? – spytałam.

Wtedy zaniosła się szlochem.

– Em... Nasza Eugène już do nas nie wróci... – powiedział tata najspokojniej, jak potrafił, wiedząc, że mama nie będzie w stanie tego zrobić.

– Dlaczego? – spytałam.

– Ona odeszła, umarła... – On też się rozplakał.

Nie do końca wiedziałam, co to oznacza. W pewnym sensie rozumiałam sam koncept śmierci – pojawiała się fragmentarycznie w mojej świadomości za pomocą zasłyszanych rozmów, urywków komunikatów telewizyjnych – ale nie miałam poczucia jej ostateczności. Nie byłam w stanie pojąć, że już nigdy nie zobaczę swojej siostry żywej. Gdy masz jedenaście lat, słowo „nigdy” jest naprawdę niepojęte.

Pamiętam Eugène w trumnie. Była śliczna. Wyglądała jak Śpiąca Królewna. Ktoś, kto ułożył ją do wiecznego snu, zadbał o to, by wszyscy zapamiętali ją jako prawdziwą piękność. Loki, których zawsze tak jej zazdrościłam, przykrywały niemal całą poduszkę. Na jej piersi wisiał złoty medal, a na nim wykute było serce i olimpijskie koła. Eugène często mówiła, że kiedyś taki zdobędzie. Zamówili go

dla niej rodzice, ale nawet oni nie wiedzieli, jakie ma znaczenie. Eugène wcale nie chciała go dla siebie.

Pamiętam, jak tata mnie podniósł, żebym mogła się jej przyjrzeć.

Pocałowałam ją w policzek. Była zimna.

Tak jakby w ogóle jej tam nie było.

A później zamknęli trumnę i już nigdy więcej jej nie zobaczyłam.

Po śmierci Eugène nasz dom długo pozostawał bardzo smutnym miejscem. Rodzice przestali się uśmiechać, rozmawiali rzadko, przynajmniej przy mnie. Ja nie potrafiłam jednak funkcjonować w świecie tak wielu znaków zapytania, zwłaszcza po tym, co tamtego koszmarnego dnia, gdy umarła Eugène, usłyszałam z ust moich dziadków.

– Czy wy się rozwiedziecie? – spytałam kiedyś, mając przed sobą oboje rodziców.

– Co? Kochanie? Nie! Skąd ci to przyszło do głowy...? – zareagował natychmiast tata.

– Nie, absolutnie nie – potwierdziła żywo mama.

– Bo babcia mówiła, że trzeba was rozwieść... – powiedziałam.

Rodzice popatrzyli po sobie, a później jeszcze raz mnie zapewnili, że nic takiego nie nastąpi, a ja musiałam się przestyszeć. Kilka lat później przyznali, że wcale się nie przestyszałam, że babcia faktycznie wytoczyła im prawną batalię. Najpierw próbowała przekonać do rozwodu tatę, później, gdy ten odmówił, postanowiła walczyć o prawa do opieki nade mną.

Do dziś zupełnie nie rozumiem, dlaczego to robiła. Zawsze miałam wrażenie, że mnie nie lubi. Nigdy nie zachowywała się wobec mnie jak prawdziwa, ciepła i kochana babcia. Zawsze miała do powiedzenia coś niemiłego, a w najlepszym wypadku – neutralnego. I zawsze tonem, którego jako dziecko po prostu się bałam.

Babcia przegrała. Kolejny raz zobaczyłam ją dopiero kilka lat później, na pogrzebie dziadka. Moja mama nie miała wątpliwości, że to ona wpędziła go do grobu, choć umarł na zawał serca. Podobnie zresztą jak Eugène.

Moja siostra Eugène cierpiała na ukrytą wadę serca, z którą pewnie żyłaby wiele lat, gdyby nie jej ogromna ambicja. Chciała być najlepsza, zdobyć medal olimpijski. Moi rodzice przeczytali o tym w jej pamiętniku. Długo się zastanawiali, czy do niego zajrzeć. Nie ujawnili go nawet policji, która po śmierci Eugène wszczęła postępowanie, by sprawdzić, czy w jej przedwczesnym odejściu nie miał udziału nikt postronny i co faktycznie je spowodowało. To rutynowe postępowanie w przypadku, gdy umiera ktoś tak młody.

Mama była zdania, że powinni spalić pamiętnik, pozostawiając słowa zmarłej córki tajemnicą, ale tata nie chciał się na to zgodzić.

– To ostatnia szansa, by porozmawiać z naszą córeczką, by poznać jej myśli. Przecież nic, co tam napisała, nie mogłoby zmienić naszej miłości do niej – argumentował.

Mama w końcu się zgodziła.

W jednym z wpisów Eugène wyraziła nadzieję, że gdy już stanie na olimpijskim podium, babcia wreszcie przyzna, że jej rodzice zawsze byli dla siebie stworzeni. Była starsza, miała szansę zrozumieć konflikt pomiędzy rodzicami a dziadkami. Tyrady babci na temat naszej mamy i mezaliansu, jakiego dopuścił się tata, słyszała wiele razy. Ja byłam jedyną osobą w rodzinie, której uszy przed nimi chroniono.

Eugène nie mogła zrozumieć tej niechęci, ale wiedziała, że słowa nie przekonają babci, dlatego postanowiła wywalczyć szacunek dla naszej mamy w jedyny znany jej sposób. Trenowała zaciekle i bez chwili zwątpienia. Odnosiła sukcesy i na zawodach nie raz dopływała jako pierwsza. Chciała zdobyć medal olimpijski, żeby przemówić do babci. To był jej jedyny cel.

I przypłaciła go życiem.

1 Z ang. – Pamiętaj, kochanie, nigdy nie marnuj kalorii na napoje.

2 Ksywka Victorii Beckham z zespołu Spice Girls, oddawała jej klasę, szyk i elegancję.

ROZDZIAŁ 2

Juan

Kiedy prawdopodobieństwo, że zostanę żoną Araba, a do tego arabską księżniczką, stawało się coraz bardziej realne, w mojej głowie natychmiast pojawiła się myśl o wymarzonej zemście na babci. Przyznam, że nawet wyobraziłam sobie, jak zaraz po tym, gdy się o tym dowiaduje, dostaje zawału serca. Dokładnie tak jak dziadek i Eugène, którzy w moim przekonaniu zmarli w ten sposób przez nią.

Wiem, że to okrutne, ale ona naprawdę sobie na to zasłużyła. Zresztą zemsta dokonana się sama, i to lepiej, niż mogłam sobie wymarzyć, choć babcia okazała się na tyle twardą sztuką, że nawet taka informacja nie zdołała jej powalić. A szkoda. Przysięgam, że przyjechałabym na jej pogrzeb w *hidżabie* i *abai* i tak ubrana zatańczyłabym na jej grobie.

Choć moi rodzice stronili od kontaktów z nią na co dzień, chętnie mimochodem informowali babcię o tym, że jej wnuczka dołącza do zniechęconego przez nią klanu i będzie modlącą się do Allaha „terrorystką”. Ale to oczywiście dopiero, gdy w moim życiu pojawił się Badr.

Najpierw musiałam poznać mojego arabskiego księcia, a ja nigdy, nawet w najśmielszych snach tego nie planowałam. Mówiąc szczerze, nie byłam nawet pewna, czy kiedykolwiek będzie mi dane zostać czyjąś żoną. Moi rodzice zawiesili poprzeczkę w kategorii „udane małżeństwo” tak wysoko, że powtórzenie ich sukcesu wydawało mi się niemożliwe, chyba nawet wolałam nie próbować.

Nie byłam święta. Lubiłam towarzystwo chłopaków, zwłaszcza przystojnych, a dorastając, zaczęłam dostrzegać to, co zawsze powtarzały mi Eugène i mama: że mój wygląd zapewni mi ogromne powodzenie. Nie wierzyłam im wtedy, zresztą nie byłam pewna, czy w ogóle mi na tym zależy. Chciałam mieć czarne loki, bo miały je mama i siostra, a ja od nich odstawałam. To nie miało nic wspólnego z chęcią podobania się płci przeciwnej. Jako dziecko nie mogłam przecież nawet w ten sposób kalkulować, ale kiedy zamieszkałam w Wielkiej Brytanii, zrozumiałam, jak wielka moc kryje się w wyglądzie.

Szybko jednak dotarło do mnie, że znacznie mniejszą moc ma to, co mam do powiedzenia – i to nie dlatego, że nie miałam nic ciekawego do powiedzenia, tylko ponieważ chciałam mówić za dużo, a mężczyźni, których spotykałam, z reguły nie byli zainteresowani rozmową. Kręciła ich wyłącznie moja uroda. Po kilku kosmicznych wtopach randkowych postanowiłam, że kończę z facetami, a jeśli jeszcze kiedykolwiek pójdę na randkę, to tylko z mężczyzną, który będzie potrafił rozmawiać. I nie będzie zainteresowany seksem.

Wiem, dość radykalne postanowienie jak na dziewczynę, która ledwo uzyskała prawo do picia alkoholu w Stanach Zjednoczonych. Nie żebym miała zamiar z niego skorzystać, ale z jakiejś przyczyny podczas imprezy z okazji moich dwudziestych pierwszych urodzin usłyszałam to kilkanaście razy. I to głównie od Brytyjczyków, którzy pić zaczynają z reguły w wieku wczesnonastoletnim.

Ale wracając do facetów...

– Musi być zainteresowany rozmową, a nie seksem – powiedziałam, wygłaszając swoje nowe postanowienie przed Karen i Aliną.

– Trzeba było mówić, *darling*. Poszłybyśmy na Canal Street. Tam jest mnóstwo ładnych chłopców, którzy chętnie z tobą porozmawiają, potańczą i możesz być pewna, że nigdy cię nie tkną.

– To po co my chodzimy po tych spelunach? Chodźmy tam! – powiedziałam, nie wyczuwając sarkazmu w głosie Karen.

Obie najwyraźniej porozumiały się w jakiś trudny do wychwycenia sposób i postanowiły ze mnie zakpić, a ja przez kolejne kilka godzin trwałam w przekonaniu, że wreszcie znalazłam się wśród przystojnych mężczyzn, którzy zabawę na parkiecie przedkładają nad zabawy w łóżku. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że zabawy w łóżku też lubią, tyle że ja kompletnie nie jestem w ich typie.

Tej nocy odkryłam jednak swoje miejsce na ziemi. Od tej pory wieczorami kierowałyśmy kroki do któregoś z gejowskich klubów Manchesteru, z których wiele znajduje się właśnie w okolicach Canal Street – i niemal zawsze wychodziłyśmy stamtąd na czworaka. Karen z reguły ze względu na wysokie

spożycie alkoholu, my z Aliną najczęściej dlatego, że nogi, wyeksplloatowane w tańcu, odmawiały nam posłuszeństwa.

Wkrótce grono naszych znajomych powiększyło się o fantastycznych facetów, z których każdy był świetnym kumplem do rozmowy i żaden nie nadawał się na męża. Dokładnie tak, jak chciałam. Jeden z nich przyczepił się do nas na stałe. Karen uznała, że musi „gejątko adoptować”, a on nie miał nic przeciwko temu. Mark dołączył do naszej paczki i od tej chwili szlajaliśmy się razem. Był nieprawdopodobnie przystojnym, wysokim chłopakiem dobiegającym trzydziestki. Miał skandynawską urodę, ubierał się jak wybiegowy model, a kiedy akurat nie szalał na parkiecie, grał poważnego adwokata w smutnym szarym garniturze, w którym i tak wyglądał genialnie.

Nasze występy przy Canal Street miały jedną wadę. Karen i Alina, kilka lat ode mnie starsze i bardziej zdeterminowane, by znaleźć się w kręgu zainteresowań heteroseksualnych mężczyzn, zaczęły coraz częściej nalegać, żebyśmy wychodziły do klubów, w których można poznać chłopaków, którzy lubią dziewczyny.

Byłam im to winna. Nawet Mark poczuwał się do odpowiedzialności.

I tak pewnej nocy trafiliśmy do LIV – klubu, o którym mówią, że jest odwiedzany przez bogatych biznesmenów i snobistyczne laski. Zupełnie do tego towarzystwa nie pasowałyśmy, ale dzięki naszym kontaktom z Canal Street okazało się, że drzwi LIV stoją przed nami otworem – podobnie jak świat manchesterskich elit.

– Jak już polować na męża, to na bogatego! – zakomenderowała Karen, gdy wybieraliśmy się tam po raz pierwszy.

Trochę się bałam, że faktycznie go znajdzie. Chciałam, żeby była szczęśliwa, ale nie byłam gotowa na zamknięcie etapu imprezowania z przyjaciółkami. To był tak fantastyczny czas i nie chciałam, żeby się skończył. Na razie jednak nie było na to widoków.

– Okej, mówiąc, że chcę poczuć coś sztywnego, nie do końca to miałam na myśli – podsumowała Karen po półgodzinie spacerowania po klubie z pierwszym, wciąż jeszcze niedopitym, drinkiem. W każdym innym miejscu kończyłaby już trzeciego. – Nie wiem, jak wy, ale ja tego na trzeźwo nie zniosę. – W końcu postanowiła uratować wieczór, pochłaniając większą ilość alkoholu. Kompletnie upojenie jej tu jednak nie groziło ze względu na ceny. Jeden koktajl kosztował tyle co dwie kolejki dla nas trzech plus Mark w innym lokalu.

Mimo starań Karen nikt z nas nie bawił się dobrze. Nasze dotychczasowe imprezy były kwintesencją wolności. Żadnej samokontroli! Tutaj każdy oglądał się na każdego, a ruchy tańczących osób wydawały się tak wystudiowane, jakby ułożył je niezbyt utalentowany choreograf. Niektórzy tańczyli w parach – czego nie widziałam od dawna – a bujające się w kółkach dziewczyny okupowały miejsca w pobliżu luster, by nie spuszczać z oczu swojego odbicia. A może to był przejaw samotności? Pierwszy stopień depresji? Coś jak picie do lustra.

Po jakichś trzech godzinach tej drogi przez mękę wreszcie padła propozycja, na którą czekaliśmy. Ponieważ wszyscy trochę obawialiśmy się reakcji Karen, grzecznie czekaliśmy, aż to ona ją wyartykułuje.

– Dobra, spadamy stąd. Wolę już na zawsze być skazana na wibrator niż spędzić choćby minutę dłużej z tymi sztywniakami.

Przyklasnęliśmy tej komendzie – i natychmiast poczuliśmy ulgę. Ten wieczór dało się jeszcze uratować, a do Canal Street wcale nie było daleko.

W korytarzu prowadzącym do wyjścia zrobił się korek. Wychodzących było zdecydowanie mniej niż tych, którzy mieli ochotę zmarnować w tym miejscu wieczór. Utknęliśmy na dobry kwadrans, a nasza niezaspokojona chęć zabawy tylko nakręcała irytację.

– Ej, nie warto... Tam makabrycznie wieje nudą – zaczęła głośno recenzować Karen, zwracając się do nowych gości. Nikt jednak nie wdawał się z nią w dyskusję, przeciwnie – patrzyli na nią jak na obłąkaną.

Gdy z Aliną próbowałyśmy ją uciszać, odparowała:

– Mówię, co myślę! Niech nas wypuszczą, to nie będą musieli tego słuchać.

Karen była fantastyczną przyjaciółką, ale starcia z jej wściekłą odsłoną nie życzyłabym

najgorszemu wrogowi.

W pewnej chwili podszedł do nas ochroniarz.

– No i świetnie, zaraz się zacznie – mruknęła Alina.

– Niech się zacznie! Zaraz mu po... – Karen umilkła w pół słowa, gdy ochroniarz zręcznie ją minął, po czym zwrócił się wprost do mnie:

– Przepraszam, jeden z naszych ważnych gości poprosił, by spytać, czy nie zechciałabyś dołączyć do niego w strefie VIP.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem, kompletnie nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– A co macie w tej całej strefie VIP? Tam to pewnie dopiero wieje nudą – rzuciła zza pleców ochroniarza Karen.

Ten zignorował ją jednak i powtórzył pytanie.

– Naprawdę nie wiem... – zawahałam się. – Jestem z przyjaciółmi. Właśnie wychodziliśmy.

– Mogę zapewnić, że to człowiek naprawdę wart poznania.

– Nie, nie mogę – zdecydowałam. – Jesteśmy tu we czwórkę.

Ochroniarz poprosił, byśmy zaczekali, odszedł od nas na parę kroków, po czym powiedział coś do mikrofonu zwisającego z zamontowanej przy uchu słuchawki. Wrócił niemal natychmiast i oznajmił:

– Możesz zabrać ze sobą swoich przyjaciół, jeśli tylko zgodzisz się tam przyjść.

– Nie wiem... to bardzo niekomfortowe...

– A w tej waszej strefie VIP dają darmowe drinki? – drążyła jak zawsze taktowna Karen.

Mężczyzna najwyraźniej dostrzegł w tym pytaniu szansę na załatwienie powierzonej mu misji, bo odwrócił się do niej i z uśmiechem powiedział:

– Jakie tylko sobie zażyczycie.

– Trzeba było tak od razu! Idziemy! – zarządziła moja przyjaciółka. – Na trzeźwo tego nie udźwigniemy, ale jak się napijemy, może jakoś będzie.

Byłam trochę przestraszona, bo nie miałam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Poza tym, że chodziło o mnie i jakiegoś ważnego gościa. Miałam tylko nadzieję, że w klubie pełnym ludzi nic mi nie grozi.

Chwilę później okazało się, że nie mam się czym martwić. A może to zbawienne działanie dwóch wypitych szybko lampek cosmo. Kiedy minął pierwszy stres, a „ważnego gościa” rzekomo zainteresowanego poznaniem mnie wciąż nie było na horyzoncie, ruszyliśmy z dziewczynami na parkiet. Był znacznie mniejszy niż ten w sali głównej, ale wystarczał w zupełności. Początkowo nie miałyśmy zbyt wielkiej konkurencji, jednak z czasem chętnych do pływów przybywało. Nie miałam wątpliwości, że to za sprawą szaleństw Karen, która do tego czasu zdążyła już odzyskać chęć do zabawy i zmienić zdanie o klubie.

Ja też świetnie się bawiłam. Co jakiś czas jednak wracała do mnie myśl o tym, kto zaprosił mnie do tej zarezerwowanej dla elity strefy. Dlaczego właśnie mnie i w jakim celu, a przede wszystkim – dlaczego do tej pory się nie ujawnił?

– To pewnie taki numer, żeby rozkręcić imprezę – zawyrokowała Karen, kiedy wspólnie zastanawialiśmy się nad tym dziwnym zaproszeniem. – Wiedzieli, że laski polecą na strefę VIP i darmowe drinki, a potrzebowali kogoś, kto pokaże innym, jak się bawić.

Ta teoria wydawała się całkiem sensowna. Z czasem – i z kolejnymi wypitymi koktajlami – pytań było coraz mniej, a zabawa coraz bardziej się rozkręcała. Tańczyłam z dwoma przystojnymi chłopakami, którzy w ruchach byli dość oszczędni, za to adorowali mnie tak, że szybko przestałam się zastanawiać, skąd się tu wzięłam.

Z klubu wyszliśmy nad ranem. Mark zniknął wcześniej, ale zgodnie z niepisaną zasadą pozwalaliśmy sobie na takie zniknięcia, gdyby pojawiła się w naszym zasięgu „miłość, która nie może czekać”.

– Przyjdiesz tu jeszcze? – spytał mnie jeden z chłopaków, z którymi bawiłam się na parkiecie. To były pierwsze słowa, które przez cały wieczór do mnie wypowiedział.

– Nie wiem, tu jest strasznie nudno... – odparłam szczerze.

Zaśmiał się.

– Nie wyglądałaś na znużoną.

Wtedy dotarło do mnie, że faktycznie powinnam zrewidować swoją opinię o tym miejscu.

– To znaczy... było nudno, bo potem się rozkręciło – poprawiłam się nieco zmieszana.

– Czyli jest szansa, że tu wrócisz?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo pijana w sztok Karen stanęła przed chłopakiem i zażądała:

– Daj mi rękę!

Zaskoczony – i chyba trochę przestraszony – wyciągnął umięśnione przedramię wystające spod podwiniętych rękawów śnieżnobiałej, lśniącej w świetle klubu koszuli. Dopiero wtedy zauważyłam, że Karen trzyma w ręce flamaster.

– Jestem jej menedżerką, więc jak chcesz się z nią jeszcze spotkać, to musisz zadzwonić do mnie – powiedziała, nie bez trudu kreśląc cyfry swojego numeru telefonu na rękę chłopaka, który wyglądał na bardzo rozbawionego tą sytuacją. – Tylko pamiętaj... – ciągnęła. – Żadnego bara-bara... To porządna dziewczyna. Wiesz, kawka, romantyczna kolacja, ale jak tylko będziesz próbował coś więcej, to pamiętaj: *Karen has power!*³ – to mówiąc, naprężyła swoje bicepsy, ewidentnie próbując go przestraszyć.

Chłopak zaśmiał się szeroko, ale obiecał, że będzie grzeczny i na pewno zadzwoni. Ja nie miałam nic do powiedzenia, ale przyznam, że w tamtym momencie byłam tak zmęczona, że adwokatura Karen była mi bardzo na rękę. Nawet jeśli chwilami przypominała stręczycielstwo.

A później chłopak z klubu faktycznie zadzwonił, a Karen, zupełnie na trzeźwo – i zupełnie bez konsultacji – umówiła mnie na spotkanie z nim.

Byłam wściekła, gdy się o tym dowiedziałam, ale zapewniła, że ona i Alina będą w pobliżu i gdyby było bardzo źle, wystarczy znak, a mnie uratują. Odpuściłam więc. Przyznam, że głównie ze względu na to, iż chłopak był niezmiernie przystojny (przynajmniej tak go zapamiętałam, choć istniała ewentualność, że alkohol nieco stępił moją percepcję). Poza tym zadzwonił do Karen mimo wyraźnego zastrzeżenia: „żadnego bara-bara”...

Czułam się dość dziwnie, bo jeszcze nigdy nie byłam na randce, na którą nie umawiałam się sama, ale w pewnym momencie sytuacja zaczęła mnie bawić na tyle, że przestałam się tym przejmować.

Kiedy weszłam do lobby hotelu Lowry, otwartego krótko wcześniej i natychmiast okrzykniętego najbardziej luksusowym hotelem w Manchesterze, natychmiast dostąpił do mnie elegancki mężczyzna. Nie pytając, kim jestem – jakby z miejsca to wiedział – przywitał się uprzejmie i poprosił, żebym udała się za nim. Nie widziałam w tym nic podejrzanego, przynajmniej na tym etapie. Dookoła było całkiem sporo ludzi. Czułam się zaskoczona, ale nie zagrożona.

Mężczyzna zaprowadził mnie do restauracji i wskazał ręką stolik, przy którym stał chłopak z klubu.

Był jeszcze większym ciachem, niż zapamiętałam. Wyższy ode mnie o głowę, z idealnie przystrzyżonym zarostem, oliwkową cerą i pięknymi, czarnymi oczami. Jego włosy również były czarne i lśniące tak, jakby ktoś w niewidoczny sposób je podświetlał, by wyglądały jak w reklamie telewizyjnej. Jego zniewalający uśmiech sprawił, że trudno było mi uporządkować myśli. Po raz pierwszy w życiu poczułam się tak onieśmielona przez faceta! Biła od niego jakaś przedziwna moc, całkiem niezrozumiała i trudna do wytłumaczenia.

Znowu miał na sobie śnieżnobiałą koszulę, ale tym razem zdawała się jeszcze bardziej lśnić. Podwinięte rękawy i rozpięte górne guziki dodawały mu nonszalancji, ale idealnie skrojone szare spodnie na kant sparowane z wypolerowanymi czarnymi mokasynami wciąż podkreślały elegancję. Miało się wrażenie, że ktoś właśnie wyciął go z folderu reklamującego coś bardzo drogiego, przeznaczonego wyłącznie dla najbogatszych.

Nagle poczułam się nieswojo. Wszystko dookoła było luksusowe, on jakby nie z tego świata, a ja? Kopciuszek, który nie zdążył przebrać się na bal. Miałam na sobie prostą czarną sukienkę, ale poszłam tam zaraz po pracy. Nie szykowałam się na to spotkanie bardziej niż na jakikolwiek inny wypad, nawet jeśli miało być randką.

– Wyglądasz pięknie – skłamała na powitanie.

– Ty też jesteś niczego sobie – odparłam, próbując brzmieć zalotnie.

Sztuczne wyluzowanie to mój mechanizm obronny. Z reguły wychodzi dość pokracznie – i ta okazja nie była wyjątkiem.

Spuścił głowę i uśmiechnął się, zerkając nieśmiało, jakby mój komplement go speszył. Trudno było w to uwierzyć. Nie miałam wątpliwości, że podobne słowa słyszał już nie raz.

Usiedliśmy i zaczęliśmy rozmawiać. Szybko się okazało, że naprawdę mamy o czym, choć dopiero po godzinie zorientowałam się, że wciąż nie znam jego imienia. Takie rzeczy zdarzały mi się tylko w przypadku szybkich, zakończonych w łóżku randek. Wtedy imię nie ma znaczenia, a nawet jeśli je znasz, to pewnie i tak zapomnisz.

– Zgadniesz? – zapytał.

– Co?

– Jak mam na imię...

Naprawdę będziemy się w to bawić?

– Nie wiem. Wyglądasz mi na Juana albo Rodrigo. Jedyne, co mi się nie zgadza, to brak hiszpańskiego akcentu. Twój angielski jest idealny. Jesteś Brytyjczykiem?

Zaśmiał się głośno.

– Nie, na szczęście nie – odparł. – A którego wolisz? Juana czy Rodrigo?

– Nie wiem... Niech będzie Juan.

– To niech będzie.

– Czyli nie powiesz mi, jak masz na imię? – rzuciłam całkiem serio.

– Powiem... Emily – rzucił zalotnie.

– Skąd znasz moje imię? – spytałam zaskoczona i natychmiast dotarło do mnie, że przecież rozmawiał z Karen.

– Mam swoje źródła.

– Tak, tak, już ja znam te źródła... Więc jak będzie, Juan? Zdradzisz mi, jak naprawdę masz na imię?

Uśmiechnął się, a potem położył dłoń na swojej klatce piersiowej, lekko się uklonił i powiedział:

– Nazywam się Badr bin Hafiz Al Saud.

Nie byłam pewna, jak powinnam zareagować. W mojej głowie rozpełtała się gonitwa myśli. Co on właśnie powiedział? Przecież ja nigdy w życiu nie będę w stanie tego powtórzyć! Poza tym Juan na pewno nie jest Latynosem...

Moje rozważania musiały wyglądać na bolesne, bo roboczo zwany Juanem chłopak postanowił przerwać ciszę.

– Wszystko w porządku? – zapytał z troską.

– Tak – odpowiedziałam szybko, ale chyba mało przekonująco, po czym natychmiast wyskoczyłam z pytaniem, które w Wielkiej Brytanii w zasadzie nikogo nie dziwi: – Skąd jesteś?

– Jestem Saudyjczykiem – odpowiedział z podszytą uśmiechem dumą.

– Powinam się ciebie bać? – wypaliłam jak głupia.

– Tylko jeśli wierzysz w te wszystkie bzdury, które o nas opowiadają.

– Jakie bzdury? – Zdawałam sobie sprawę, że ta rozmowa zmierza w niebezpiecznym kierunku.

– Skoro pytasz o to, czy jestem groźny, pewnie nasłuchałaś się o nas jakichś dziwnych rzeczy. Nie spytałabyś o to, gdybym powiedział, że jestem z Włoch czy Hiszpanii – mówił spokojnie, wciąż się uśmiechając.

– Myślałam, że jesteś z Hiszpanii.

– Słyszałam to już wcześniej. To dlatego zgodziłaś się na tę randkę?

– To to jest randka? – Postanowiłam grać niedostępną. Mimo kiepskiego początku ten facet naprawdę zaczynał mi się podobać.

– No w pewnym sensie. Widzisz, my, Saudyjczycy, kierujemy się tradycyjnym kodeksem. Zanim porwiemy jakąś kobietę, zawsze zapraszamy ją na randkę.

Znowu się zaśmiał, a ja zdałam sobie sprawę, że zrobiłam z siebie idiotkę. Choć z drugiej strony wcale nie wyglądał na zaskoczonego. Zachowywał się tak, jakby w podobnej sytuacji był wcześniej już więcej niż raz.

I nagle poczułam się bezpieczna. Dotarło do mnie, że tkwiłam w jakimś dziwnym stereotypie, który on w spokojny, opanowany sposób rozbroił niczym tykającą bombę. Odniosłam wrażenie, że jest zupełnie inny niż wszyscy ci skupieni na sobie narcystyczni chłopcy, z którymi spotykałam się do tej pory. Badr zdobył moją uwagę i był na dobrej drodze, by walczyć o moje serce. A jego zdobycie wcale nie zajęło mu dużo czasu.

Przez kolejne miesiące spotykaliśmy się regularnie niemal codziennie. Włóczyliśmy się po mieście, jedliśmy wspólne kolacje, chodziliśmy do kina i do klubów. Przytulaliśmy się i całowaliśmy, ale on ani razu nie zaproponował, byśmy spędzili razem noc. Zaczynałam się nawet martwić, że może coś z nim jest nie tak. A może to ja jestem tu problemem?

Karen i Alina, które wciąż poszukiwały kandydatów na poważnych chłopaków, narzeczonych z opcją zamążpójścia, miały w tej kwestii bardzo radykalne zdanie.

– Gej, tylko dobrze się kryje – orzekła Alina.

– Arab, który nie chce przelecieć ładnej blondynki? Impotent! – obstawiała Karen.

Na razie mogę tylko powiedzieć, że żadna z tych diagnoz nie była nawet zbliżona do prawdy.

Postanowiłam porozmawiać o tym z Badrem, a jego odpowiedź zwała mnie z nóg.

– Pytasz mnie, dlaczego jeszcze cię nie związałem i nie zgwałciłem? – zaśmiał się, znowu nawiązując do stereotypu złego Araba.

– Nie, chociaż nie miałabym nic przeciwko...

– Gwałtowi? – Uniósł brwi.

– Przeciwko temu, żebyśmy wreszcie wylądowali w łóżku.

– To dziwne, że tego chcesz. Myślałem, że jesteś inna. – W jego głosie dało się słyszeć lekkie zdenerwowanie.

– Jeśli to problem, nie musimy tego robić. Przepraszam, myślałam po prostu... – Byłam zaskoczona i lekko przestraszona podobną reakcją, zwłaszcza że nie wiedziałam, co takiego wywołało jego irytację.

– To nie tak. Ja bardzo tego pragnę, tylko naprawdę cię szanuję i chcę, żebyś ty też się szanowała – wyjaśnił.

– Szanuję się! – zachnęłam się, traktując to jak obelgę.

– I to w tobie uwielbiam – odparł Badr, znowu się uśmiechając. – Emily, mam wobec ciebie poważne plany i jeśli tylko się zgodzisz, chciałbym spędzić życie u twojego boku.

Zamarłam. Czy on mi się właśnie oświadczył? Nie byłam pewna, czy tak to powinno wyglądać, ale jednocześnie jego słowa wprost zwały mnie z nóg.

– Zgodzisz się? – powtórzył, trzymając moje dłonie w swoich i patrząc mi prosto w oczy.

– Na co? Na co mam się zgodzić? – odpowiedziałam pytaniem, bo wciąż nie byłam pewna, co ma na myśli.

– Czy zostaniesz moją żoną?

Nie planowałam zostać niczyją żoną, ale kiedy Badr powiedział to na głos, poczułam, że powinnam. Nie widziałam w tym niczego niestosownego. Czułam się tak, jakby ktoś postawił mnie we właściwym miejscu, właściwym czasie, u boku właściwego mężczyzny. I choć miałam zaledwie dwadzieścia trzy lata, powiedziałam:

– Tak.

Słyszając to, Badr natychmiast porwał mnie w ramiona, a już chwilę później leżeliśmy na kanapie, całując się do utraty tchu.

– Zaraz, zaraz... – Wyrwałam się i usiadłam zupełnie dla niego niespodziewanie. – Musimy natychmiast pojechać do moich rodziców!

– Mogę zaraz zadzwonić po samolot. Za dwie godziny będziemy w drodze – powiedział całkiem serio.

– Może tym razem polecimy moim? Moi ludzie właśnie go tankują – odpowiedziałam żartem na jego żart. – Muszę zadzwonić najpierw do moich rodziców. Bardzo chcieli, żebym przyjechała na święta, nie miałam zamiaru tego robić, ale teraz jest okazja...

Byłam totalnie podniecona tym pomysłem i już zaczęłam sobie wszystko układać w głowie.

– Mam nadzieję, że będą jeszcze bilety... Ale czy ty w ogóle możesz pojechać na święta do moich rodziców? – Zmartwiłam się nagle. – To nie jest wbrew twojej religii? Wiesz, oni raczej odpuszczają sobie temat małego Jezuska, ale choinkę ubieramy. Czy to nie zrani twoich uczuć? – trąkotałam jak opętana, widząc coraz bardziej rozbawioną minę mojego chłopaka, narzeczonego... przyszłego męża?

– *Habibti*, spokojnie, choinka mnie nie obraża, wielu muzułmanów ubiera drzewko. Bardzo chętnie będę gościem w domu twoich szanownych rodziców. A jeśli chodzi o bilety, proszę, pozwól mi się tym zająć...

– Nie mogę. Nie zamierzam być twoją utrzymanką – rzuciłam, ujawniając swoje feministyczne zapędy.

Badr ewidentnie i ten temat przerabiał już w przeszłości.

– Dobrze, zatem pozwól, że kupię ci bilet na Gwiazdkę. Zgodzisz się na taki prezent?

To brzmiało rozsądnie.

– Dobrze, ale nic poza tym. Tylko bilet.

– Obiecuję.

Moi rodzice byli więcej niż wniebowzięci. Od śmierci Eugène, w której cieniu świętowaliśmy wszystkie Gwiazdki, minęło już dwanaście lat. Rana spowodowana jej odejściem wciąż boleśnie dawała o sobie znać, ale zdążyła się zbliznić na tyle, by na naszych twarzach pojawiał się uśmiech. I nawet jeśli zaraz po nim pojawiały się łzy, było nam zdecydowanie łatwiej cieszyć się z tego, że jesteśmy razem. Tylko stosunki z babcią nie zmieniły się na lepsze. Wręcz przeciwnie – z biegiem lat stała się jeszcze bardziej zgryźliwa, zgorzkniała, a jej komentarze wciąż cięły jak brzytwa.

Moja mama jednak, zachwycona faktem, że przyjadę do rodzinnego domu z potencjalnym kandydatem na jej zięcia, postanowiła zaprosić na święta swoją teściową.

– Mamo, wiesz, że będzie awantura? – zareagowałam natychmiast.

– Ależ dlaczego? Nie wiadomo, czy podobna okazja jeszcze kiedyś się przytrafi, a babcia mogłaby nam nie wybaczyć, gdybyśmy pozbawili ją szansy na poznanie przyszłego męża jej jedynej wnuczki... – przekonywała zupełnie spokojnie mama, jakby zapomniała, z kim rozmawia. Doskonale wiedziałam, że jej troska o babcię ma drugie dno i widzi w naszej wizycie doskonałą okazję, by odegrać się na teściowej za wszystkie jej złośliwości o arabskim nasieniu.

– I chcesz mi powiedzieć, że to zaproszenie nie ma nic wspólnego z tym, że Badr jest Saudyjczykiem?

Mama nie była w stanie powstrzymać śmiechu, ale nadal szła w zaparte:

– Oczywiście, że nie! Wiesz, córeczko, że dla mnie i dla taty pochodzenie nigdy nie miało żadnego znaczenia.

– Ale dla babci owszem... Chcesz się nad nią poznęcać, przyznaj.

Mama przez chwilę się wahała.

– No może troszkę, ale przede wszystkim chcę ją czegoś nauczyć. Na takie lekcje nigdy nie jest za późno.

– A tata wie?

– O zaproszeniu dla babci? Tak. Jest zachwycony.

– Trudno mi w to uwierzyć, ale chodziło mi o to, czy wie, skąd pochodzi Badr.

– Jeśli mu nie powiedziałaś, to nie. I może lepiej mu nie mów. Jeszcze ostrzeże babcię...

Początkowo nie byłam zadowolona z planu mamy, bo to wszystko groziło naprawdę wybuchową Gwiazdką, ale chwilę potem dotarło do mnie, że może nie jest to taki zły pomysł. Mama przez sporo ponad dwie dekady znosiła rasistowskie przytyki teściowej i jeśli teraz chce się na niej odegrać w tak kulturalny sposób, zapraszając ją na rodzinne spotkanie, na którym będzie mogła poznać chłopaka swojej wnuczki, to nie zamierzałam pozbawiać jej tej przyjemności. Poza tym jeśli babcia odważy się na jakieś komentarze, zapewne wygłosi je po francusku, co uchroni Badra przed ich zrozumieniem. Wszystko zdawało się pod kontrolą.

Kiedy sprawdzałam bilety z Manchesteru do Paryża, niemal wszystkie były wykupione. Zostały tylko miejsca w klasie biznes – w cenie przekraczającej moją półroczną pensję, a więc kompletnie poza moim zasięgiem. Badr jednak jakimś cudem je zdobył. W klasie ekonomicznej, dalece mniej wygodnej

od naszych wyimaginowanych prywatnych odrzutowców, ale zupełnie wystarczającej, by szybko znaleźć się w Paryżu.

Z lotniska odebrał nas mój tata. Był tak szczęśliwy, że od chwili, kiedy zobaczył nas wchodzących do hali przylotów, co chwilę ukradkiem wycierał łzy. Ale uśmiechał się cały czas i gadał jak najęty, każdy z rozpoczętych tematów kończąc słowami:

– Nie opowiadajcie teraz! Opowiecie, jak dojedziemy do domu, żeby mama też słyszała...

Moi rodzice na szczęście świetnie mówili po angielsku. To było ogromne ułatwienie w kontaktach. Dużym szczęściem było też to, że babcia nie mówiła po angielsku zbyt dobrze, co miało stanowić zabezpieczenie przed kompromitacją. W razie gdyby powiedziała coś nienadającego się do przetłumaczenia, mieliśmy szansę zareagować.

Moja mama zgodnie z oczekiwaniami osaczyła Badra tak, że bałam się, iż zabraknie mu powietrza, ale on zdawał się nie mieć z tym problemu. Uśmiechał się tylko i cierpliwie odpowiadał na wszystkie spadające na niego lawiną pytania.

Kiedy przyszedł czas świątecznego obiadu, tata pojechał po babcię. Wciąż nie mieliśmy pewności, czy faktycznie się u nas pojawi, ale najwyraźniej ciekawość zwyciężyła wieloletnie anse.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała, całując w policzek.

W podobny sposób, lecz wyraźnie chłodniej, odbębniła przywitanie z moją mamą. Przyszła kolej na Badra.

– Babciu, to mój chłopak...

– Narzeczonego – poprawił mnie.

– Narzeczonego – powtórzyłam, choć nie zdążyłam się jeszcze przyzwyczaić do swojej nowej roli, a brak pierścionka na moim palcu z pewnością nie pomagał.

– Jest Arabem... – powiedziała babcia z lekką odrazą, ale podała mu rękę.

Może właśnie dlatego, że wiedziała, iż kobieta nie powinna tego robić, a może po prostu postanowiła choć na chwilę odpuścić. Jej słowa zmroziły mnie do momentu, aż dotarło do mnie, że babcia powiedziała to po francusku. Odetchnęłam z ulgą, choć nadchodzące kilka godzin obfitowało w podobne skoki ciśnienia powodowane jej komentarzami. Szczęśliwie Badr na nie nie reagował i zwykle nawet nie prosił mnie o tłumaczenie, więc z własnej woli tłumaczyłam tylko to, co się nadawało.

Obiad upływał całkiem spokojnie do momentu, kiedy cichy do tej pory Badr postanowił zabrać głos.

– Emily, trudno mi sobie wyobrazić lepszą od tej okazji, by oficjalnie poprosić cię o to, byś została moją żoną – powiedział niespodziewanie i wyjął z kieszeni aksamitne pudełko z pierścionkiem, którego wartości wtedy nie byłam w stanie nawet sobie wyobrazić.

– Ale miały być tylko bilety! – zawołałam zaskoczona.

– Bilety miały być na Gwiazdkę. To jest na życie – odparł i pocałował mnie w policzek.

Chwilę później pierścionek znalazł się na moim palcu. Oczywiście po raz kolejny powiedziałam „tak”. Byłam pewna, że chcę spędzić z tym facetem resztę życia, choć w tamtej chwili nie miałam pojęcia, co to tak naprawdę oznacza.

Moi rodzice natychmiast rzucili się do gratulacji. Babcia powstrzymała się od wylewności, ale nie zamierzała zachować milczenia. Do tej pory operowała głównie półsłówkami i drobnymi kąśliwościami, ale w tym momencie postanowiła przestać się ograniczać.

– *Vous allez marier votre fille à ce vagabond arabe? Une autre fille à exécuter? Avez-vous perdu la raison? Après tout, il la vendra au bordel ou lui fera du mal. Avez-vous rencontré ses parents? Ce sont probablement des terroristes...*

W wolnym tłumaczeniu jej słowa brzmiały mniej więcej tak:

– Chcecie ją wydać za mąż za tego arabskiego przybłądę? Kolejna córka na stracenie? Czy wyście postradali zmysły? Przecież jak mu się znudzi, sprzeda ją do burdelu albo inną krzywdę zrobi. Poznaliście jego rodziców? To pewnie jacyś terroryści...

Przy stole zapanowała konsternacja. Na twarzach moich rodziców malowało się przerażenie, a ja się zastanawiałam, jak przetłumaczyć tę obrzydliwą tyradę, zmieniając ją w gratulacje.

Ale Badr wcale tego nie oczekiwał. Uśmiechnął się tylko i zwrócił się wprost do mojej babci:

– *Vous pourriez enseigner le terrorisme à plus d'un terroriste. Je peux vous assurer que je prendrai soin de votre petite-fille comme si c'était une princesse. Quoi qu'il en soit, elle deviendra une princesse. Quant à mes parents, ma mère, malheureusement, n'est plus avec nous, mais mon père, le prince Hafiz Al Saud, je serai heureux de vous le présenter. Je promets que lors de votre rencontre il n'aura exceptionnellement pas d'explosifs sur lui, mais vous devez promettre la même chose...*

Wypowiedziane pięknym, kwiecistym i bezbłędnym francuskim słowa Badra brzmiały tak:

– Terroryzmu mogłaby pani nauczyć niejednego terrorystę. Zapewniam, że zadbam o pani wnuczkę jak o księżniczkę. Zresztą księżniczką zostanie. A co do rodziców, mojej mamy niestety nie ma już wśród nas, ale będę szczęśliwy, mogąc przedstawić pani ojca, księcia Hafiza Al Sauda. Obiecuję, że podczas waszego spotkania wyjątkowo nie będzie miał na sobie żadnych ładunków wybuchowych, ale pani musi obiecać to samo...

Sama nie wiem, co w tamtym momencie zszokowało mnie bardziej – mina mojej płonącej ze wstydu babci, fakt, że Badr przez cały ten czas rozumiał wszystkie nasze rozmowy, czy to, że jest saudyjskim księciem, a ja, zostając jego żoną, wkrótce będę saudyjską księżniczką.

3 Z ang. – Karen ma władzę!

ROZDZIAŁ 3

Laila

Lubna Al Saud była niezwykłą kobietą i potomkinią dwóch wielkich rodów. Jej ojciec był jednym z Al Saudów, a matka pochodziła z rodziny Olayanów, jednej z najbogatszych po dziś dzień w Arabii Saudyjskiej. Choć Lubna urodziła się w czasach, gdy saudyjskie kobiety nie rozumiały pojęcia wolności do tego stopnia, że nawet nie odczuwały jej potrzeby, ona sama nie znosiła męskiego zwierzchnictwa i zupełnie nie rozumiała, dlaczego miałyby się podporządkowywać komuś, kto w tak oczywisty sposób jest głupszy od niej.

Właśnie z wytykania mężczyznom głupoty zasłynęła w swojej rodzinie, a sława ta ciągnęła się za nią od czasów, gdy była małą dziewczynką. Już wtedy uwielbiała górować intelektualnie nad rówieśnikami. Jedyną okazją, jaką miała, by to robić, były jednak spotkania z kuzynami, i to tylko do czasu, gdy nie dojrzała na tyle, by również zabawy z nimi stały się dla niej zakazane.

Od najmłodszych lat mówiła, że jeśli kiedyś wyjdzie za mąż, to tylko za chłopaka, który będzie równie mądry jak ona. Wśród swoich kuzynów знаła tylko jednego, który spełniał te wymagania – dwa lata starszego od niej księcia Hafiza. Można powiedzieć, że Lubna była jedną z nielicznych saudyjskich dziewcząt w tamtych czasach, która wybrała sobie męża, bo jako osiemnastolatka wyszła właśnie za Hafiza.

Mimo że jej mąż był pełnej krwi Saudem, ani jego wpływy, ani majątek nie mogły się równać z tymi, którymi dysponowała rodzina jego młodej żony. Książę Hafiz był jedną z „ofiar” reform oszczędnościowych wprowadzonych przez króla Faisala po tym, jak ten ostatecznie przejął tron po swoim rozrzutnym bracie, który doprowadził Arabię Saudyjską na skraj bankructwa. Choć reformy były mądre i konieczne, znacznie zubożyły wielu członków rodziny królewskiej. Oczywiście nadal opływali oni w bogactwa, ale ci najbardziej przyzwyczajeni do zbytków i niczym nieograniczonych wydatków boleśnie odczuli zmiany.

Dość powiedzieć, że w kwestiach finansowych książę Hafiz zdecydowanie lepiej wyszedł na ślubie z Lubną niż na swoim wysokim urodzeniu. Niedługo po tym, jak został jej mężem, przyjął intratną posiadłość w gigantycznym koncernie należącym do rodziny swojej żony, do dziś wiodącej prym na saudyjskim rynku Olayan Group, i zaczął pomnażać majątek. niesprawiedliwością byłoby jednak sprowadzanie ich związku do kwestii finansowych, bo Lubna i Hafiz byli całkiem zgodnym małżeństwem. Przynajmniej na początku.

Już niespełna rok po ślubie Lubna urodziła Hafizowi syna, co bardzo wzmocniło ich relację, a Hafizowi przydało sporo prestiżu i wzmocniło jego pozycję w rodzinie Olayanów. Praca dla nich była dla księcia ogromną szansą, ale z biegiem czasu stawała się też coraz bardziej widocznym powodem do kompleksów. Był przecież Al Saudem, nie powinien zarabiać, będąc zatrudnionym w firmie należącej do innej rodziny, nawet jeśli był w tę rodzinę wżeniony. Narodziny syna pomogły mu pokonać te bariery. Przynajmniej tymczasowo. Poczul się pewniejszy, wartościowy i spełniony.

Lubna też była szczęśliwa. Choć wciąż jeszcze bardzo młoda, była gotowa do roli matki i usilnie chciała nią zostać. Wśród służących wciąż wywoływała poruszenie, bo często wyręczała ich w zleconych im zadaniach. Tymczasem ona po prostu chciała osobiście opiekować się swoim małym synkiem – rzecz wśród saudyjskiej arystokracji praktykowana niezwykle rzadko.

Mały Badr miał trzy nianie i pięcioro służących, których rolą było dbanie o realizację wszystkich potrzeb małego księcia – od przygotowywania mu jedzenia po zajmowanie się jego ubraniami. Armia pracowników była zdecydowanie zbyt liczna nawet jak na książęce niemowlę, zwłaszcza że przez pierwszy rok Lubna karmiła Badra piersią, spędzając z nim każdą możliwą chwilę. Przestała dopiero wtedy, gdy okazało się, że znowu jest w ciąży. Była z tego powodu nieprawdopodobnie szczęśliwa, a i Hafiz szalał z radości, wynosząc swoją żonę pod niebiosa.

Mała Hayat urodziła się jakby w prezencie na drugie urodziny swojego brata, dokładnie dzień po nich. Teraz już rodzina była w komplecie i zdawać by się mogło, że nic nie jest w stanie zakłócić ich

szczęścia. Wkrótce jednak w ich życie wdarła się polityka, która dość mocno w nim namieszała.

Kiedy mały Badr miał niespełna pięć lat, a Hayat nie skończyła jeszcze trzech, Arabią Saudyjską wstrząsnął kryzys. Potężny i bezkompromisowy, ale też odważny i sprawiedliwy król Faisal został zamordowany przez swojego bratanek. W rodzinie Al Saudów zawrzało. Wszyscy, którzy krytykowali politykę króla, nakazującą członkom królewskiego klanu powściągliwość w wydatkach, znaleźli się na cenzurowanym służb, których zadaniem było wykrycie ewentualnego spisku. Zabójca króla był znany – został natychmiast pojmany, osądzony i niedługo potem ścięty, ale wcale nie było pewności, czy nie będzie miał swoich naśladowców.

Hafiz nigdy nie krył się ze swoją krytyką faktu, że jako księżę nie może się równać majątkiem z rodziną swojej żony i to dla niej musi pracować, by żyć w luksusie. Uważał to za uwłaczające dla swojego arystokratycznego statusu, a króla Faisala oskarżał o osłabianie pozycji rodziny Al Saudów w społeczeństwie.

– Skoro byle sprzedawczyk handlujący wielbłądzim mlekiem może zarobić więcej niż księżę, to Al Saudowie wkrótce będą znaczyć mniej niż wielbłądy – twierdził zupełnie oficjalnie.

Oczywiście była w tych słowach duża przesada, bo jako członek drugiego pokolenia po królu Abdulu Azizie, założycielu dynastii Al Saudów, Hafiz wciąż mógł się cieszyć sporymi wpływami ze skarbcza, które nie były w zasięgu nawet najbardziej majątnych farmerów zajmujących się hodowlą wielbłądów, ale głoszących podobne poglądy było w rodzinie więcej.

Wprawdzie do zabójstwa króla doszło prawdopodobnie z zupełnie innych powodów, a ograniczanie wydatków było tylko tym ostatnim elementem, który spowodował, że zamachowiec chwycił za broń, ale ci, którzy cieszyli się z jego śmierci, upatrywali w niej szansy na ponowny nieograniczony dostęp do królewskiego skarbcza.

Do dziś nie wiadomo z całą pewnością, jakie motywy powodowały dwudziestosiedmioletnim księciem Faisalem bin Musaadem bin Abdelazizem, gdy zdecydował się na zamach na swojego zasiadającego na tronie królewskim wuja. Teorii na ten temat krąży wiele. Studiujący w Stanach Zjednoczonych młody Faisal był miernym studentem, za to pierwszorzędnym imprezowiczem. Szejkowie nie imprezują oszczędnie, a stary król stanowczo nie zgadzał się na podniesienie jego miesięcznego uposażenia, co mocno frustrowało młodzieńca. Innym powodem mógł być nałożony na niego po powrocie z uniwersytetu zakaz wyjazdów z Arabii Saudyjskiej spowodowany właśnie skłonnościami do mocno kontrowersyjnych ekscesów po alkoholu i narkotykach, kompletnie nieprzystającymi do wizerunku arystokraty, zwłaszcza pochodzącego z muzułmańskiego kraju. Jest też teoria mówiąca o tym, że księżę działał na zlecenie amerykańskiego i izraelskiego wywiadu, a zamach miał być odwetem za nieugiętą postawę króla w konflikcie między Palestyną a Izraelem. Najczęściej jednak słyszy się o tym, że Faisal pomścił w ten sposób śmierć swojego brata Khaleda, o którą obwinił króla. Khaled zginął w zamieszkach po ataku konserwatystów na ufundowaną przez króla telewizję w Rijadzie. Część kleryków nie zgadzała się na wprowadzanie w świętym kraju bogobojnych muzułmanów nowinek zepsutej zachodniej cywilizacji, widząc w nich złamanie islamskiego zakazu przedstawiania ludzkiego wizerunku. Księżę Khaled brał udział w ataku i to podczas szturmego został zastrzelony przez królewską gwardię, ale szczegóły jego śmierci nigdy do końca nie zostały wyjaśnione. Sam jej fakt miał jednak wystarczyć, by księżę Faisal znienawidził króla. Ta nienawiść miała go pchnąć do dokonania na nim chłodno wykalkulowanej, okrutnej egzekucji, do której doszło w marcu 1975 roku, kiedy król przyjmował w swoim pałacu delegację z Kuwejtu. Podczas tego spotkania młody Faisal podszedł do króla witającego się właśnie z ministrem przemysłu naftowego Kuwejtu. Pokłonił mu się, a gdy król pochylił głowę, bratanek wymierzył w niego lufę pistoletu i natychmiast pociągnął za spust. Kula trafiła prosto w twarz władcy, który z wolna osunął się na ziemię. Stojący obok królewski minister złapał za rękę młodego zamachowca. Ten, jakby w kompletnym amoku, wciąż naciskał na spust wymierzonego w ciało umierającego króla pistoletu. Chwilę później strażnicy ujęły go i odebrały mu broń. Lekarze walczyli o życie króla w drodze do szpitala, ale zanim dotarli na miejsce, przegrali tę nierówną batalię.

Na saudyjskim tronie zasiadł przyrodni brat zmordowanego Faisala, król Khaled, a jego służby miały za zadanie za wszelką cenę zapobiec kolejnemu zamachowi na króla. Na cenzurowanym byli

wszyscy, zwłaszcza te frakcje Al Saudów, które nie były przychylnie dotychczasowej polityce. I choć do zamachu na króla Khaleda jakiś czas później faktycznie doszło, nikt z rodziny Al Saudów nie miał z nim nic wspólnego.

Książę Hafiz był jednym z wielu przesłuchiwanym w tej sprawie. W tych czasach saudyjskie tajne służby bezpieczeństwa nie były w szczycie technologicznej formy, a sporą część ich funkcji przejmowała policja, terroryzująca społeczeństwo w kwestiach religijnej moralności, ale dochodzenie w tej sprawie traktowano niezwykle poważnie. Uczyniono tak z rozkazu nowego króla, który bał się, że podzieli losy brata. Przez cały okres panowania miał obsesję, obawiając się spisku i zamachu na swoje życie. Aby nie zaognić sprawy, nakazał tajnej policji bardzo dyskretne działania. Szansy na to, że kolejni ewentualni spiskowcy powstrzymają się od podniesienia ręki na króla, upatrywał w bardzo głośnej i publicznej egzekucji zabójcy swojego poprzednika. To miało być poważne ostrzeżenie.

Hafiz nigdy nie zdradził nikomu, jak wyglądało przesłuchanie, co na nim usłyszał i co sam powiedział. To była część tej gry. Wszystko miało pozostać sekretem. Dość powiedzieć, że udało mu się uniknąć kłopotów i skutecznie zapewnić o swojej lojalności wobec nowego króla. Wyraźnie jednak w tym czasie najadł się strachu i choć początkowo trudno było dokładnie określić, co się w nim zmieniło, przemiana nastąpiła właśnie wtedy. Stał się zdystansowany i zdecydowanie mniej zaangażowany w sprawy rodzinne. Wkrótce zaczął wyjeżdżać za granicę. Coraz częściej i na coraz dłużej. Oficjalnie zawsze w sprawach biznesowych. Ta wersja musiała wystarczyć za wszelkie wyjaśnienia.

Lubna została z dziećmi sama, ale choć tęskniła za mężem, dzielnie dawała sobie radę. Nie brakowało jej w zasadzie niczego. Opieka nad dziećmi przy armii służących była bułką z masłem, a na co dzień doskwierał jej jedynie fakt, że nie może liczyć na pomoc swojego prawnego opiekuna, co znacznie utrudniało kobiecie wiele spraw. Jediną osobą, którą w newralgicznych sytuacjach mogłaby poprosić o wsparcie, był jej brat, jednak od czasu, gdy jego młoda żona i córeczka zginęły w koszmarnych okolicznościach, a Lubna jego właśnie oskarżyła o tę tragedię, i ta opcja nie wchodziła w grę.

Brat Lubny od swojego pierwszego oddechu na tym świecie szykowany był na spadkobiercę rosnącego w siłę rodzinnego imperium. Wiązało się z tym wpajane mu przez wszystkich poczucie wyjątkowości, w którym płał się od najmłodszych lat.

Mutaib, bo tak miał na imię, poślubił piętnastoletnią Beduinę, Lailę, którą nabył od jej ojca w ramach interesów związanych z zakupem ziemi pod inwestycję. Dziewczyna była bardzo ładna, cicha i wychowana na posłuszną, więc okazała się całkiem przyjemnym suwenirem z jednej z jego podróży biznesowych. Niedługo po ślubie zaszła w ciążę. Lubna poznała ją dobrze, bo działo się to w czasach, kiedy wciąż jeszcze mieszkała w domu swojego ojca. Jej młoda bratowa była w dniu ślubu zaledwie trzy lata starsza od niej samej.

Laila początkowo bała się wydać z siebie choćby najcichszy dźwięk. Zupełnie jakby nagłe wyrwanie z rodzinnego domu było dla niej takim szokiem, że nie potrafiła się z niego otrząsnąć. Obcowanie z Lubną sprawiło jednak, że się otworzyła, i choć w towarzystwie mężczyzn nadal milczała, z nią coraz częściej i coraz chętniej rozmawiała.

Życie Laili różniło się znacząco od tego, jakie wiodła Lubna. Obie pochodziły z majątnych rodzin i choć bogactwo klanu Olayanów nie mogło się równać z żadnym innym poza Al Saudami, to i w beduińskiej rodzinie Laili niczego nie brakowało. Poza tym jednak, że nie cierpiała głodu, jej życie wypełnione było smutkiem i bólem. Wychowana przez surową babcie po tym, jak jej mama zmarła podczas siódmego już porodu – gdy Laila miała zaledwie cztery latka – dziewczynka była skazana na ciężką pracę przy hodowli wielbłądów w surowych pustynnych warunkach.

– A jak cię zszyli, to bolało? – spytała Lubny podczas ich pierwszej rozmowy, jeszcze przed oficjalnym ślubem z jej bratem.

Lubna nie miała pojęcia, o czym mówi dziewczyna. Nikt nigdy jej nie zszywał. Nie miała pewności, czy jeszcze jej to nie czeka, ale nie bardzo potrafiła odpowiedzieć na pytanie przyszłej bratowej.

– Nie rozumiem... Mnie nikt nie zszył... – powiedziała niepewnie.

Laila natychmiast skuliła głowę, jakby odpowiedź Lubny ją spłoszyła.

– Powiedz mi, proszę, o co chodzi? Coś ci się podarło? Ubranie? – Lubna zaczęła się zastanawiać, czy może coś źle zrozumiała. Język, którym posługiwała się Laila, różnił się nieco od tego, którym sama mówiła. Choć rozumiały się dość dobrze, niektóre słowa wypowiedane przez Beduinkę miały znacznie odmienne brzmienie niż to, do którego przyzwyczajona była arystokratka.

– No tam... wiesz... – powiedziała nieśmiało Laila, nie odrywając wzroku od podłogi.

Lubna nadal nie miała pojęcia, co ma na myśli jej przyszła bratowa, ale wkrótce poznała jej przerażającą historię.

Laila pochodziła z klanu, który wciąż jeszcze praktykował obrzezanie dziewczynek i zszywanie warg sromowych. Pozostająca pod opieką babci mała Laila nie miała nikogo, kto mógłby ją przed tą koszmarną praktyką obronić. Zabieg wykonany na pustyni, w zwykłym namiocie, bez zachowania żadnych środków ostrożności, sprawił jej nie tylko trudny do opisania ból, ale skutkowało codziennym koszmarem.

Jej rana tak naprawdę nigdy się nie zagoiła. Wprawdzie babcia okładała ją jakimiś ziołami i błotem, które miało osuszyć ropiejące tkanki, ale nie dawało to żadnej ulgi. Z czasem Laila nauczyła się z tym żyć, choć za cud trzeba uznać, że przez tyle lat zakażenie jej nie zabiło. Odnawiało się tylko co jakiś czas, ale już nawet nie bolało. Gdy człowiek cierpi bez ustanku, w końcu przestaje to zauważać, zwłaszcza że babcia cały czas powtarzała małej Laili, że taki jest los kobiety i dzięki temu będzie gotowa na dorosłość.

Fakt, że dziewczyna trafiła w ręce brata Lubny, był dla niej błogosławieństwem i przekleństwem jednocześnie. Kiedy po ślubie Laila zaszła w ciążę, trafiła pod opiekę lekarzy, którzy po raz pierwszy od blisko dekady profesjonalnie zajęli się jej raną. Większą część ciąży dziewczyna przeleżała w szpitalu. Nie tylko ze względu na to, jak bardzo ją poraniono w wyniku barbarzyńskich rytuałów, ale też dlatego, że nie było pewne, czy będzie w stanie ją donosić. Wciąż jeszcze była bardzo młoda, a jej organizm mocno osłabiony. Lekarzom udało się jednak doprowadzić do szczęśliwego rozwiązania. Poród przebiegł bez komplikacji. Gorzej było później, gdy razem z córeczką Laila wróciła do domu, bowiem jej mąż zdążył się przyzwyczaić do nieobecności żony i bynajmniej na nią nie czekał.

Laila nie była w nim zakochana, a on traktował ją wyłącznie jak łup. Nagle okazała się zupełnie zbędnym elementem w pałacu, jak wybrakowany mebel. Wraz z małą córeczką została zakwaterowana w części przeznaczony dla służby. Nie przydzielono jej żadnych dodatkowych obowiązków, ale też nie dostała żadnej pomocy. Wprawdzie pałacowe służące, wiedząc, że jest żoną ich pracodawcy, traktowały ją z namaszczeniem i starały się pomagać, ale w natłoku obowiązków nie miały na to zbyt dużo czasu.

O Laili wszyscy zapomnieli. Jediną osobą, która o nią pytała, była zaniepokojona jej sytuacją Lubna. Gdy po jakimś czasie u boku Mutaiba pojawiła się nowa, rychło ciężarna żona, podczas jednego z rodzinnych spotkań Lubna spytała go przy wszystkich, co się stało z jego poślubioną kilka lat wcześniej beduińską żoną.

– Nie wiem, kto dał ci prawo, żeby mnie z tego rozliczać – warknął na nią wściekle.

Lubna jednak nie zamierzała dać sobie zamknąć ust typową uwagą o zwierchnictwie mężczyzn nad kobietami.

– Nie wiem, kto tobie dał prawo, żeby przyprowadzać tu nową żonę, gdy w domu czeka na ciebie poprzednia... – Przerwała na chwilę, po czym zwróciła się do nowej wybranki swojego brata: – Wybacz, kochana, tu nie chodzi o ciebie. Jestem przekonana, że jesteś błogosławieństwem dla mojego brata, ale nie mogę pozwolić...

– Na co? Na co nie możesz pozwolić?! – wrzasnął mężczyzna, wstając, co na chwilę zbiło Lubnę z tropu.

– Na to, żebyś tak traktował Lailę – powiedziała nieco ciszej. – Gdzie ona jest?

Brat patrzył na nią z czystą nienawiścią, wyraźnie zbliżając się do kresu wytrzymałości.

– Nie twój interes – wycedził. – Nie mogę się doczekać, kiedy rodzice wreszcie wydadzą cię za mąż i nie będę musiał słuchać tych twoich mądrości. Z jakiegoś powodu Bóg powiedział, że kobiety nie powinny się odzywać.

– Bóg nigdy tak nie powiedział... – zdążyła rzucić Lubna, ale jej wypowiedź przerwał

kategoryczny okrzyk jej ojca:

– Dosyć! Macie natychmiast przestać! Wystarczająco długo musieliśmy wysłuchiwać waszych wzajemnych pretensji. Lubna, sprawa żony twojego brata jest wyłącznie jego sprawą, a ty, młody człowieku, masz tę sprawę załatwić tak, jak ci mówiłem...

Oboje zamilkli i przez resztę dnia unikali choćby spoglądania w swoim kierunku. Lubna nie mogła jednak powstrzymać ciekawości, co takiego nakazał jej bratu ojciec, w jaki sposób kazał „załatwić” sprawę. Przez kolejne tygodnie zastanawiała się, jak się tego dowiedzieć, ale bała się poruszać ten temat, by nie pogarszać sytuacji. I pewnie nigdy by się nie dowiedziała, co przez te wszystkie lata działo się z jej pierwszą bratową, ale sprawa miała tragiczny finał – a takie z reguły znajdują się na ustach wszystkich, nawet jeśli usilnie próbuje się je zamieść pod dywan.

Laila nie miała pojęcia, że jej mąż rozwiódł się z nią, jeszcze gdy leżała w szpitalu, przed urodzeniem córeczki. Kiedy maleństwo przyszło na świat, nie była już mężatką, co stało się podstawą dla przewrotnej gry polegającej na oskarżeniu jej o działanie niezgodne z boskim prawem. Allah chciał bowiem, by dzieci w muzułmańskich rodzinach przychodziły na świat wyłącznie w małżeństwach. Choć Laila zaszła w ciążę jako mężatka, matką została, gdy była już rozwódką. I choć sama nie miała w swoim rozwodzie najmniejszego udziału – nie miała nawet o nim pojęcia – perfidny mąż uznał ten fakt za podstawę do zareklamowania towaru u jej ojca.

Ten oczywiście początkowo nie chciał słyszeć o przyjęciu córki z dzieckiem pod swój dach, dlatego były mąż Laili nakazał zakwaterować ją wśród służby. A kilka lat później, gdy jego ojciec nakazał mu rozwiązać tę sprawę, ostatecznie musiał się jej pozbyć.

Nie, nie, brat Lubny nie zabił swojej pierwszej żony. Nie musiał. Wystarczyło, że po kilku latach od rozwodu poinformował ją, że nie jest już jego żoną i będzie musiała wrócić z czteroletnią córeczką do swojej beduińskiej rodziny. Jego ludzie wyznaczili im transport na następny dzień, ale nie przewidzieli, że sprawa przybierze tak niespodziewany obrót.

Laila wiedziała, że jej skrajnie konserwatywny ojciec nie da jej żyć i powrót do niego oznacza jej koniec, dlatego postanowiła odejść z tego świata na własnych warunkach. Jedynym powodem, dla którego mogłaby zostać wśród żywych, była jej córeczka, ale miała świadomość, że ojciec nie będzie miał skrupułów i pozbędzie się również jej.

Następnego dnia nad ranem w kwaterze, w której mieszkała dziewczyna z czterolatką, znaleziono dwa ciała. Nie jest pewne, w jaki sposób Laila odebrała życie sobie i dziecku, ale prawdopodobnie użyła do tego celu kuchennego detergentu. To zdawało się najprostszą metodą. Nikt tego nie badał, bo ich śmierć, choć zaskakująca, tak naprawdę była rozwiązaniem problemu.

Ciała wywieziono z pałacu, jeszcze zanim jego właściciel zdążył wstać z łóżka. Sekretarz Mutaiba zdawkowo poinformował go o porannych wydarzeniach podczas śniadania. Ten wysłuchał go spokojnie, wziął łyk kawy, po czym zmienił temat.

Kiedy Lubna usłyszała, że Laila prawdopodobnie targnęła się na swoje życie, nie miała wątpliwości, że jej brat miał wpływ na tę tragiczną decyzję. Długo musiała czekać na okazję, by go w tej kwestii skonfrontować, ale w końcu podczas wizyty z okazji Eid stanęła twarzą w twarz ze swoim bratem.

– Pochwaliłeś się swojej żonie, że zabiłeś poprzednią? – rzuciła, korzystając z chwili przerwy w rozmowach przy stole.

– Lubna! – Tym razem pierwszy dyscyplinujący głos należał do matki.

– Zamkniesz się w końcu? – odpalił Mutaib.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możemy porozmawiać o biednej Laili i jej córeczce. Naprawdę nie jest ci szkoda własnego dziecka? – kontynuowała niezrażona Lubna.

– Natychmiast przepros brata i odejdz od stołu! – wrzasnął ojciec.

Dziewczyna wstała, z hukiem odsuwając krzesło, i faktycznie odeszła od stołu. Ale nie miała zamiaru nikogo przeproszać.

– Powinieneś ją czym prędzej wydać za mąż, ojciec – powiedział Mutaib wystarczająco głośno, by to usłyszała. – Tylko czy ktoś ją zechce...

Zechciał.

Lubna nie wyszła za mąż za karę, jak chciał jej brat, a szczęśliwą żoną została dopiero dwa lata

później. Historia Laili wiele ją nauczyła, ukształtowała jej stosunek do świata. Wiedziała, że w jej kraju kobiety muszą walczyć o swoją pozycję znacznie odważniej niż mężczyźni, ale była też przekonana, że one po prostu są od nich odważniejsze. To nie tak, że obwiniła mężczyzn o całe zło, bo miała okazję poznać takich, którzy wcale nie odczuwali potrzeby udowodnienia swojej przewagi nad kobietami, ale zrozumiała też, że spełniając się jako żona i matka, nigdy nie może zapomnieć o tym, że jest człowiekiem, stworzeniem Allaha i znajduje się na tej ziemi z jego woli. I tylko jego wola może kształtować jej los.

Niestety prawdziwa próba kobiecej siły w świecie urządzonym – i rządzonym – przez mężczyzn była dopiero przed nią.

ROZDZIAŁ 4

Lubna

Kiedy na saudyjskim tronie zasiadł król Fahd, sytuacja rodzinnej frakcji, do której należał książę Hafiz, zmieniła się znacząco. Król był jego znacznie bliższym krewnym, co przybliżyło go w kolejce do tronu, a także sprawiło, że Hafiz mógł liczyć na więcej benefitów. Przez to też częściej bywał w Królestwie, choć nie zmieniło to jego relacji z żoną.

Badr był wtedy o krok od dorosłości – wchodził w osiemnasty rok życia. Ten czas daleki był jednak od nastoletniej bez troski. Wręcz przeciwnie, to właśnie wtedy dotarły do niego łamiące serce wieści o stanie zdrowia jego mamy. Lubna od jakiegoś czasu uskarżała się na bóle, ale starała się robić dobrą minę do złej gry. Podejrzewała, co może być przyczyną jej złego samopoczucia, ale starała się to lekceważyć, licząc, że z boską pomocą problemy znikną. Dopiero kiedy któregoś dnia zasłabła, idąc pałacowym korytarzem, za namową dzieci poszła do lekarza. Ten nie miał dla niej dobrych wiadomości, ale dla pewności zlecił badania, które potwierdziły, że Lubna ma raka piersi.

Saudyjska rodzina królewska najchętniej leczy się w Szwajcarii. Tam też wkrótce trafiła Lubna. Pech chciał, że właśnie wtedy Hafiz był mocno zaangażowany w któryś z projektów zleconych przez króla, a realizowanych przez koncern Olayanów. Nie było szans, by poleciał z żoną. Badr akurat wylatywał na studia i choć bardzo chciał odwołać wyjazd, matka surowo mu tego zakazała.

– Leć i ucz się pilnie – powiedziała.

– Ale ja chcę być przy tobie, jak... – przekonywał ze łzami w oczach.

– Jak co? Jak umrę? O nie, synku, ja wcale nie umieram! Przeciwnie, jadę tam, żeby wyzdrowieć.

Niedługo się spotkamy. Leć na studia i spraw, bym była z ciebie dumna.

Ostatecznie w podróży do Szwajcarii Lubnie towarzyszyła Hayat. Miała wtedy piętnaście lat i wszystko już doskonale rozumiała. Wiedziała, w jakim niebezpieczeństwie jest jej matka, ale nawet przez chwilę nie dopuszczała myśli, że coś może jej się stać.

Lekarze nie ukrywali, że sytuacja jest poważna, ale nie beznadziejna. Lubna musiała poddać się operacji, a zaraz po niej czekała ją chemioterapia i naświetlania. Do koszmaru wyniszczającego organizm doszło załamanie psychiczne. Po raz pierwszy w życiu Lubna myślała o śmierci. I to nie dlatego, że chciała umrzeć – po prostu nie była pewna, czy znajdzie jeszcze siły, by dalej żyć. Dzieci, którym poświęciła się bez reszty, dorastały, moment, w którym nie będzie im już potrzebna, nadchodził wielkimi krokami. Może ta choroba to znak, że czas odpuścić? Pogodzić się z tym, że jej misja dobiegła końca, i złożyć broń.

Takie myśli kłębiły się w jej głowie, zwłaszcza gdy trucizna wymierzona w komórki rakowe zatruwała również jej organizm. Z każdą kroplą chemioterapii Lubna czuła się bliższa śmierci, coraz słabsza, gotowa się poddać. A później, gdy stopniowo odzyskiwała kondycję, widziała pochylającą się nad nią Hayat i przypominała sobie, że wciąż ma dla kogo żyć – że nawet jeśli jej syn ma przed sobą bezpieczną przyszłość, córka jest w najbardziej niebezpiecznym dla Saudyjki wieku.

Leczenie i rehabilitacja trwały blisko rok, ale szczęśliwie po tym czasie lekarze wreszcie ogłosili dawno wyczekiwaną wiadomość. Organizm Lubny był wolny od komórek rakowych.

Do Arabii Saudyjskiej wracała z krótkimi włosami, bez piersi, szczuplejsza o blisko dwadzieścia kilogramów, ale wciąż pełna chęci do życia – i bardzo stęskniona za swoją rodziną. Pragnęła zobaczyć nawet Hafiza, chociaż przez ostatnie lata oddalili się od siebie.

Nie spodziewała się, że w pałacu powita ją Badr, który swój powrót z Oksfordu specjalnie utrzymywał w tajemnicy przed matką. To było dla Lubny spełnienie marzeń. Znowu była zdrowa, odzyskiwała siły, miała u swojego boku ukochane dzieci... I tylko mąż zawiódł.

Książę Hafiz wprawdzie też przywitał żonę w pałacu, ale wydawał się zdystansowany, jakby zawiedziony, że wróciła tak szybko. Że w ogóle wróciła.

Na cześć Lubny wydano tego wieczoru uroczystą kolację, na którą przyjechały jej siostry z rodzinami. Brat się nie pojawił, czego Lubna akurat specjalnie nie żałowała. Bardzo cieszyła się na ten

wieczór, ale niestety sprawy przybrały zaskakująco zły obrót.

– Cieszę się, że jesteś już zdrowa – powiedział Hafiz, gdy po raz pierwszy od bardzo dawna znaleźli się sami w swoim apartamencie.

Lubna podeszła do niego z uśmiechem i przytuliła głowę do jego serca. Mąż objął ją i uściskał. Trwali tak przez dłuższą chwilę, dopóki Hafiz nie odsunął jej delikatnie od siebie. Pocałował ją w czoło i powiedział:

– Mam coś dla ciebie. Chcę, żebyś dobrze mnie zapamiętała...

Lubna poczuła na plecach zimny pot. Te słowa, choć łagodnie wypowiedziane, brzmiały bardzo niepokojąco.

– Jesteś moim mężem, pamiętam o tobie cały czas – odparła drżącym głosem.

Hafiz uśmiechnął się czule. W dłoni trzymał kwadratowe pudełko wyłożone bordowym aksamitem zdobionym arabskimi złotymi motywami i inkrustowane drobnymi szlachetnymi kamieniami. To jednak była dopiero zapowiedź tego, co kryło się w środku. W tej zachwycającej i oszałamiająco drogiej szkatułce znajdowała się zapierająca dech w piersi wysadzana rubinami kolia z białego złota.

– Chcę, żebyś ją nosiła na pamiątkę naszej miłości.

– Hafiz... – Lubna zadrżała. – Mówisz mi w ten piękny sposób, że mnie kochasz, ale ja czuję, jakbyś się ze mną żegnał.

Jej mąż zamilkł na chwilę.

– Nie, to nie jest pożegnanie. Chcę tylko zaznaczyć, jak ważna jesteś dla mnie... – zawiesił głos.

– Ale?

– Wiem, jak wiele przeszłaś... – Hafiz wyraźnie miał kłopot z wyrażeniem swoich myśli, ale Lubna знаła go na tyle, by wiedzieć, że ta kolia to tylko wstęp do czegoś znacznie ważniejszego.

– Powiedz to wreszcie! – zniecierpliwiła się.

– Mam zamiar wziąć drugą żonę – wydusił ze ściśniętym gardłem.

Świat zawirował jej przed oczami. Patrzyła na niego zupełnie zszokowana i nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Hafiz czuł, że jest jej winny wyjaśnienie. I niestety nie powstrzymał się przed nim.

– Mamy tylko dwójkę dzieci, a ja czuję, że jestem wciąż gotowy na zostanie ojcem kolejnych. Ty nie masz piersi, pewnie za późno już u ciebie na ciążę i poród... Wezmę nową żonę i nie będziesz miała już obowiązku wobec mnie. – W swej żenującej bezradności brzmiał, jakby to, że chce odstawić na boczny tor Lubnę po blisko dwóch dekadach wspólnego życia, próbował ubrać w akt pełen troski, zupełnie pozbawiony egoizmu.

Lubna miała wtedy zaledwie trzydzieści cztery lata. Leczenie faktycznie wywołało u niej przedwczesną menopauzę, okaleczyło jej kobiecość i osłabiło organizm, ale to wszystko było niczym wobec koszmaru, jaki w jednej chwili zafundował jej mąż.

– Chcesz się ze mną rozwieść? – spytała ledwo słyszalnie, bo stres wysuszył jej gardło.

– Nie, Natalia będzie moją drugą żoną. Ty pozostaniesz tą pierwszą.

– O, widzę, że ona ma już imię! – krzyknęła, czując nagły przypływ sił spowodowany narastającą złością.

– Znamy się od jakiegoś czasu, bardzo mi pomogła, gdy denerwowałem się twoją chorobą...

Istniało spore prawdopodobieństwo, że Hafiz kopie sobie grób. Lubna była kobietą bardzo wrażliwą i uczuciową, dobrą i pełną empatii, ale niepozbawioną temperamentu. Rzadko dawała się poznać od tej strony, lecz właśnie dotarła do granic swojej wytrzymałości.

– A gdzie poznałeś tę Natalię?

– W Dubaju.

– To tam oplakiwałeś moją ciężką walkę z chorobą, tak? – spytała z ironią, którą Hafiz chyba wreszcie wyczuł.

– To nie tak... Byłem tam w interesach. Modliłem się za ciebie codziennie i któregoś dnia Allah postawił na mojej drodze Natalię. To ona mi wytłumaczyła, że nie powinienem się tak zamartwiać twoją chorobą...

– Czyli to była taka pielgrzymka, a Natalia tak bardzo ci pomogła w niemartwieniu się o pierwszą żonę, że teraz zostanie twoją drugą? – Lubna była bliska eksplozji. – Nie! – wrzasnęła. – Nie zgadzam się na ten ślub!

Zbity z tropu i wyraźnie przestraszony reakcją żony Hafiz zamilkł na jakiś czas.

– Ale ja już się jej oświadczyłem... – powiedział cicho po chwili.

– To się jej odoświadczył! To rosyjska dziwka z Dubaju, pewnie nie raz słyszała takie obietnice! Szybko znajdzie sobie męża jakiejś innej kobiety.

– Nie mów tak o niej. Ona naprawdę ma dobre manieri. Nawet muzułmanką zostanie, obiecała mi to... Nie mogę jej tego zrobić, ja ją kocham...

– Jestem przekonana, że będzie idealną muzułmanką. Będziecie mogli razem przechadzać się po piekle przez całą wieczność. Kochasz ją? Trudno. Musisz wybrać.

– Chcesz się ze mną rozwieść? – W głosie Hafiza zabrzmiała nuta strachu.

– Boisz się, że stracisz mnie czy wpływy u mojego ojca? Zastanów się nad tym. Nie mam teraz dla ciebie więcej czasu. Goście czekają. Nie schodź na dół. Powiem im, że musiałeś wyjechać w interesach.

– Nie chcesz, żebym był na kolacji?

– Tylko nie płacz. Choć jestem przekonana, że Natalia cię pocieszy.

Po tych słowach Lubna zniknęła w łazience i pozostała w niej, dopóki jej mąż nie opuścił apartamentu.

Spoglądając na cień dawnej siebie w lustrze, w końcu zrzuciła z serca wściekłość. W jej miejsce pojawił się ogromny żal. Nie, nie może pozwolić mu przejąć kontroli. Z pewnością jeszcze przyjdzie na to czas. Powstrzymała łzy, poprawiła makijaż i z dumnie uniesioną głową ruszyła przed siebie. Czekali na nią goście, którzy naprawdę cieszyli się z jej powrotu do zdrowia, z tego, że znowu jest wśród nich. Postanowiła w ich towarzystwie naładować akumulatory na nadchodzącą batalię z mężem.

O tym, że ojciec ma zamiar wziąć drugą żonę, Badr dowiedział się od niego samego. Hafiz najwyraźniej liczył na zrozumienie ze strony dorastającego syna, który był już w wieku, w jakim większość Saudyjczyków myśli o założeniu rodziny. Ojciec był przekonany, że to postawi Badra i jego w jednym szeregu, a uroda młodej Rosjanki będzie argumentem koronnym. Potrzebował sprzymierzeńca w sporze z pierwszą żoną, a tej do rozsądku mógł przemówić jedynie ukochany pierworodny syn. Nie poszło jednak tak łatwo, jak zakładał.

– Czy ty do reszty oszalałeś? Nie dość, że praktycznie nie interesowałeś się mamą, gdy walczyła z rakiem, to teraz fundujesz jej takie powitanie? – Badr eksplodował, już na wstępie grzebiąc nadzieje na sojusz.

– To nie tak. Martwiłem się o nią, modliłem się za nią każdego dnia – powtórzył swój wiodący argument Hafiz.

– I myślisz, że takiego właśnie wsparcia oczekuje od męża chora żona? Widziałeś ją po raz pierwszy od roku i na powitanie powiedziałeś jej, że masz zamiar ją zastąpić inną!

– Ale ja nie chcę jej zastępować. Natalia będzie moją drugą żoną.

– I chcesz mi powiedzieć, że będziesz traktował mamę na równi z nią?

– Lepiej! Jest moją pierwszą żoną, zostanie w tym pałacu...

– Oczywiście, że w nim zostanie, bo dostała go od swojego ojca! – wrzasnął Badr.

Hafiz zamilkł. Wiedział, że sprawy majątkowe stawiają go na z góry przegranej pozycji.

– Będę się nią opiekował... – próbował jeszcze się bronić.

– Nie będziesz. Będziesz się zabawiał z młodą żonką. Poza tym mama nie potrzebuje opieki, potrzebuje czułości i wsparcia. Nie dawałeś jej tego przez wiele ostatnich lat. Nie kłam, że teraz nagle się to zmieni.

Ojciec wiedział, że nie jest w stanie przekonać syna. Wiedział też, że nic nie byłoby dalsze od prawdy. Nie chciał już obcować z wybrakowaną, pokiereszowaną i zużytą żoną, jednak nie był gotowy, by przyznać to głośno.

Przez kolejne dwa tygodnie nad pałacem wisiały ciemne chmury. Nie było tylko pewne, czy przyniosą one burzę z piorunami, czy może przejdą bokiem.

Lubna zdążyła poukładać sobie w głowie wszystko, co usłyszała od męża. Czuli się zdradzeni, ale życie wymierzyło jej w ostatnim czasie tyle ciosów, że nauczyła się podnosić z ringu z godnością i stawać do dalszej walki. To ona wezwała na spotkanie Hafiza, którego nie widziała od czasu ich ostatniej rozmowy, a on punktualnie o wyznaczonej porze posłusznie na nie przybył.

– Możesz posłubić tę swoją Natalię – powiedziała bez zbędnych wstępów.

– Dziękuję – odparł potulnie, obawiając się, co takiego żona trzyma w zanadrzu.

– Ja pozostanę twoją żoną.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie to cieszy! – uradował się, choć wiedział, że Lubna na pewno nie zmieniła zdania o tak.

– Mam tylko dwa żądania.

– Zrobię wszystko, czego pragniesz...

– Na to akurat już za późno – ucięła lodowatym tonem, po czym przeszła do swoich warunków:

– Nie chcę nigdy spotkać twojej nowej żony. Masz ją trzymać z dala ode mnie i nie zbliżać się z nią do miejsc, w których mogłabym się pojawić.

Hafiz skinął głową. To żądanie nie było trudne do spełnienia. Wciąż jednak obawiał się tego drugiego.

Widząc jego zdenerwowanie, Lubna jednak nie spieszyła się z jego wyartykułowaniem. Przyglądała się mężowi jeszcze przez chwilę, upatrując w jego strachu sposób na kojącą zemstę. Nigdy nie widziała w nim słabego, interesownego człowieka. W młodości wprost za sobą przepadali, w dzieciństwie się uwielbiali – a teraz jakby nadawali z dwóch odległych planet. Najbardziej brzydziło ją to, że cały ten strach Hafiza nie jest związany z perspektywą straty czegoś naprawdę ważnego, tylko z płytką obawą o utratę wpływów w jej rodzinie i możliwości uprzyjemniania sobie życia w towarzystwie rosyjskiej prostytutki.

– A jaki jest drugi warunek? – przerwał ciszę zniecierpliwiony Hafiz.

– Nie będziesz się wtrącał w życiowe decyzje swoich dzieci...

– Mówisz o Badrze i Hayat?

– A masz jakieś inne dzieci?

– Na razie nie.

– Nie obchodzi mnie, co spłodzisz z tą wywłoką. Interesują mnie tylko *moje* dzieci. Nie będziesz się wtrącał w decyzje Badra, przede wszystkim jednak nie będziesz decydował o Hayat.

– Ale ona jest obiecana...

– Właśnie o tym mówię: nikomu nie jest obiecana. Hayat sama wybierze sobie męża i przyszłość, jaka będzie jej odpowiadała.

– Dziewczyna w jej wieku nie powinna robić tego sama – powiedział Hafiz z troską.

– Dlatego robi to w porozumieniu z matką. Bo jak sam widzisz, jej ojciec nie jest mistrzem w podejmowaniu życiowych decyzji.

Hafiz zrozumiał, że jest w tej dyskusji na przegranej pozycji. Za żadne skarby świata – choć w zasadzie właśnie ze względu na te skarby – nie chciał dopuścić do rozwodu z Lubną, choć ten rozwiązałby wiele jego problemów. Przez lata jego związki z biznesami rodziny Olayanów były tak silne, że choć sam był już naprawdę majętnym człowiekiem, zerwanie ich absolutnie by się mu nie opłacało.

Przystał na propozycje żony i zawarł z nią nieformalny pakt o nieagresji. Lubna zaś zyskała bardzo potężne narzędzie, choć sama nie zdawała sobie wtedy sprawy, jak ogromny wpływ na przyszłość i życie jej córki będzie miała ta władza.

Nie zamierzała czekać z użyciem swoich nowo nabytych praw. Zgodnie z umową Hafiz miał obowiązek zgadzać się na wszystkie podróże i każdy ruch, który wymagał w Arabii Saudyjskiej aprobaty męskiego opiekuna – bez dyskusji, bez prawa do najmniejszego sprzeciwu. A ponieważ nie wyobrażała sobie nawet, że mogłaby pozostać w Królestwie na czas ślubu męża, wraz z Hayat poleciała do Wielkiej Brytanii. Dzięki temu mogła być blisko obojga swoich dzieci i czuć się zupełnie swobodnie.

Lubna była Saudyjką z krwi i kości. Zahartowana w bojach o własną autonomię, akceptowała wiele nakazów, jakie nakładał na nią jej kraj, ale właśnie ze względu na swoje pochodzenie nade

wszystko ceniła sobie wolność. Ludzie, którzy wiecznie cierpią na jej deficyt, znają jej wartość jak mało kto.

W wynajętej wygodnej willi pod Oksfordem czuła się fantastycznie. Jedyne, czego jej brakowało, to powiew suchego, pustynnego wiatru, który tu zastępowało chłodne i wilgotne powietrze, ale ono też pachniało wolnością, dlatego oddychała pełną piersią. Przez cały ten czas nie zdawała sobie sprawy, że właśnie tego potrzebowała, by wreszcie odzyskać kontrolę nad swoim życiem. Myślała, że po długich miesiącach walki ze śmiertelną chorobą ukojenie znajdzie w rodzinnym domu, a okazało się, że to czekało na nią daleko od niego.

Hayat również świetnie odnajdowała się poza Arabią Saudyjską. W przeciwieństwie do mamy nie była w stanie zaakceptować nakładanych na siebie ograniczeń, zwłaszcza że sporo z nich spadło na nią zaledwie kilka lat wcześniej. Pełnię szczęścia zakłócała jej tylko brytyjska pogoda. Tęskniła za słońcem.

Obie powiedziały o tym podczas jednego z częstych spotkań Badrowi, który choć mieszkał na Wyspach nieco dłużej, doskonale rozumiał tęsknoty swoich krewniaczek. Do tego tematu wracali w rozmowach co jakiś czas, zupełnie zwyczajnie, tak jak ludzie narzekają na pogodę, ale że Badr na słowa swojej mamy był szczególnie wyczulony, postanowił jakoś temu zaradzić. Pod koniec roku, kiedy pogoda faktycznie zaczęła się dawać we znaki, oświadczył najważniejszym kobietom swojego życia, że kupił im dom w hiszpańskiej Marbelli. To miejscowość uwielbiana przez bogaczy i nietrudno spotkać tam także tych z Bliskiego Wschodu.

Pomysł przeprowadzki wydał się Lubnie i Hayat fantastyczny. Było tylko jedno „ale”.

– Chciałam być blisko ciebie, a ty znowu wysyłasz mnie na wygnanie – próbowała żartobliwie grać na emocjach syna matka.

– Mamuś, Hiszpania jest blisko. Będę do was przylatywał, bo sam tęsknię za słońcem, choć nie bardziej niż za wami. Będziemy się często widywać, obiecuję.

Te zapewnienia musiały Lubnie wystarczyć. Wiedziała, że jej syn należy do tych mężczyzn, którzy dotrzymują słowa, i miała nadzieję, że to się nigdy nie zmieni.

Przeprowadzka do Hiszpanii okazała się strzałem w dziesiątkę. Lubna zdecydowała, że to właśnie tu zostanie z córką na dłużej. Nie ciągnęło jej do powrotu do Arabii Saudyjskiej i choć co jakiś czas któraś z jej sióstr pytała, kiedy zakończy swoje zagraniczne wojaże, zawsze odsyłała ją z kwitkiem, wymigując się edukacją Hayat, którą dziewczyna zdecydowała się kontynuować właśnie w Hiszpanii.

Początkowo tę swoistą ucieczkę Lubny z Królestwa rodzina traktowała jak niegroźną fanaberię, zwłaszcza że widywali ją dość często, bo ze względu na formalności wizowe, które nie pozwalały jej przebywać na terytorium Europy bez przerw więcej niż pół roku, odwiedzała Arabię. Z czasem jednak jej pobyt poza krajem zaczął przeszkadzać jej ojcu i bratu. Nie było jasne dlaczego, można się tylko domyślać, że chodziło o typowe dla konserwatywnych Saudyjskich mężczyzn poczucie wyższości nad kobietami. Obaj nie bardzo rozumieli, dlaczego Hafiz pozwala swojej żonie na swobodne – i niekontrolowane – zamieszkiwanie w obcym państwie, i zaczęli na niego naciskać, by ściągnął ją z powrotem do Królestwa.

Po trzech latach od chwili, gdy Hafiz wynegocjował u Lubny możliwość poślubienia młodej żony, z którą zresztą zdążył już dorobić się dwójki dzieci, znowu znalazł się w sytuacji, kiedy musiał z nią negocjować.

Kiedy tylko powiedział Lubnie, że chce, by wróciła do Arabii Saudyjskiej, ta najpierw wybuchnęła śmiechem, a potem obrzuciła go kilkoma łagodnymi obelgami. Na koniec oczywiście odmówiła. Ale Hafiz wiedział, że nie może sobie pozwolić na taki afront, a przyznanie się do porażki przed teściem i szwagrem, z którymi pozostawał w bardzo ścisłych związkach biznesowych, nie wchodziło w grę.

Jedynym sposobem na wygranie tej sprawy było złamanie umowy, jaka między nimi obowiązywała. O Hafizie można było powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że był godny zaufania. Jego słaby charakter sprawiał, że miał etykietę człowieka łagodnego i przyjaznego, co Lubna początkowo w nim pokochała, jednak w sprawach kluczowych zawsze zachowywał się jak chorągiewka na wietrze i wybierał opcję, która była dla niego najwygodniejsza.

Kiedy pod koniec swojej kolejnej wizyty w Arabii Saudyjskiej Lubna zgłosiła się do męża po zgodę na wyjazd z kraju, Hafiz odmówił.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała. Jesteś Saudyjką, powinnaś mieszkać w swoim kraju – argumentował.

Natychmiast się domyśliła, że za tą niesubordynacją kryje się jakiś podstęp – i że bynajmniej nie wynika ona z inicjatywy jej męża. Hafizowi jej nieobecność w kraju była bardzo na rękę. Żyli osobno, nie wchodząc sobie w drogę. Dlaczego nagle miałyby nalegać na to, by w jego życiu znowu zagościła problematyczna żona? To nie miało sensu.

– Kto cię na to namówił? – spytała wprost.

Hafiz się zawahał, zaskoczony taką przenikliwością, czym tylko potwierdził jej przypuszczenia.

– Nikt. Jesteś moją żoną.

– Możemy to zmienić. Chcę rozwodu.

– Nie dostaniesz. Nie pozwolę ci.

– Myślę, że mój ojciec będzie innego zdania, gdy tylko z nim porozmawiam.

I tu Lubna się przeliczyła – Hafiz zaś znalazł szansę na wzmocnienie swojej pozycji w tej grze. Przecież miał zakazać żonie wyjazdu właśnie na życzenie teścia. Gdy teraz Lubna zgłosi się do niego ze skargą i prośbą o wsparcie w sprawie rozwodu, ten z pewnością połączy fakty i w życiu jej nie przykłaśnie.

Dokładnie tak się stało.

– Hafiz jest twoim mężem i ma prawo wymagać, byś przy nim była. To nie jest powód do rozwodu – usłyszała od swojego ojca i natychmiast zrozumiała, że tę rundę wygrał mąż.

Była wściekła, że jako dorosła kobieta nie może się rozwieść z człowiekiem, który nad dobro ich rodziny przedkłada własne – a na domiar złego decyduje o tym jej ojciec. Tego upokorzenia nie zrozumie nikt, kto nie znalazł się w takiej sytuacji. Na domiar złego Hafiz wbrew ich dawnej umowie zakazał jej wyjazdów z kraju. Jej ostatnią szansą pozostawała Hayat, która wciąż przebywała w Hiszpanii ze względu na szkołę. Nie mogła być tam sama na dłuższą metę, a przynajmniej Lubna nie chciała na to pozwolić. Postanowiła po raz ostatni zaapelować do męża.

– Nasza córka potrzebuje opieki, obecności choćby jednego z rodziców. Nie możemy jej tam zostawić samej – argumentowała.

Gdyby Hafiz nie realizował woli swojego teścia, zapewne przyjąłby te tłumaczenia. Jednak to z woli jego teścia Lubna miała wrócić do kraju i pod żadnym pozorem nie mógł jej pozwolić na kolejny wyjazd.

– Hayat też wróci – zdecydował.

– Ale przecież jest środek roku szkolnego! To będzie dla niej bardzo trudne. Włożyła tyle wysiłku, by przystosować się do hiszpańskiej szkoły.

– Więc nie będzie miała kłopotu z powrotem do saudyjskiej, którą dobrze zna – uciął mąż tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Lubna była zdruzgotana. Nigdy nie myślała o emigracji na zawsze, ale czuła się tak dobrze poza Królestwem, że nie chciała tam wracać. Jeszcze nie teraz. Jej wola nie miała jednak żadnego znaczenia.

Zdruzgotana Hayat wróciła do Arabii Saudyjskiej niespełna dwa tygodnie później. Wkrótce po jej przyjeździe nastąpiła w niej zupełnie niespodziewana przemiana, która zadziwiła wszystkich.

ROZDZIAŁ 5

Murad

Hayat nie wróciła do szkoły po powrocie z Hiszpanii. Zamiast tego wraz z matką udała się na pielgrzymkę do Mekki. Na tę Hafiz zgodził się bez zastrzeżeń, choć trudno mu było ukryć zdziwienie ich decyzją. O ile w przypadku Lubny *haji* nie był niczym dziwnym – jego żona zawsze była pobożną muzułmanką – o tyle taka inicjatywa ze strony mocno zbuntowanej córki była ogromnym zaskoczeniem.

Hafiz odebrał to jednak jako znak, że jego problemy z niesubordynacją Lubny i Hayat, które odbierały mu punkty w tabeli wyników prowadzonej przez jego teścia, są przeszłością. Skoro Hayat wróciła do Arabii Saudyjskiej i postanowiła kroczyć drogą wyznaczoną przez Allaha, była spora szansa na to, że nie będzie sprawiała żadnych kłopotów, a pomysły na zagraniczną edukację porzuciła nieodwołalnie.

Hayat faktycznie traktowała sprawę bardzo serio. Od kiedy wróciła do Królestwa, w *abai* i *hidzabie* chodziła nawet po domu i nawet podczas wizyt swojego ojca, brata, wuja czy dziadka. Choć byli tym zdumieni, nie krytykowali jej decyzji. Zwłaszcza że wkrótce usłyszeli, że Hayat zapragnęła wyjść za mąż.

– Murad zostanie jej mężem – oświadczyła Lubna, gdy znaleźli się z Hafizem sam na sam.

Mężczyzna parsknął śmiechem, uznając to za żart.

– Nie mogła trafić lepiej... Jesteś pewna, że Hayat tego chce? – zapytał, wciąż się śmiejąc.

– Nie rozumiem, co cię tak śmieszy. Oni bardzo się lubią. Znają się od dziecka, tak jak my...

Mieliśmy szansę być zgodnym małżeństwem do końca, gdybyś nie wolał silikonowych piersi tej ruskiej lalki od mojej jednej.

– Ale Murad jest... no wiesz... – próbował argumentować Hafiz, ponieważ jednak zawsze miał spore problemy ze szczerością, nie potrafił powiedzieć tego, o czym cała rodzina szeptała po kątach.

– To bardzo miły, ułożony i świetnie wykształcony chłopak – odparła Lubna, udając, że nie wie, co ma na myśli mąż.

– Zdecydowanie zbyt miły jak na faceta.

– Uważasz, że bycie miłym jest niemęskie? Nie wszyscy traktują kobiety tak jak ty...

– Ja przynajmniej dałem ci dzieci.

– Łaskawca! To ja ci je dałam. Z tego, co pamiętam, przez lata miałeś z nimi niewiele wspólnego, więc pozwól, że tak jak do tej pory sama zadbam o to, by nasza córka była szczęśliwa! – Lubna nie miała zamiaru odpuścić.

– Dobrze, rób, co chcesz. Mam tylko jedną prośbę. Chciałbym być przy tym, jak powiesz swojemu ojcu, kto zostanie mężem jego wnuczki. To będzie prawdziwe przedstawienie! – Hafiz znowu parsknął śmiechem.

– Wierz mi, ja nie boję się mojego ojca tak jak ty. I kompletnie nie interesuje mnie jego zdanie...

– Zobaczymy... Staruszek słynie z tego, że lubi stawiać na swoim, a mam wrażenie, że w tej sprawie też będzie miał bardzo stanowcze zdanie – skończył Hafiz w wyraźnym poczuciu zwycięstwa.

Murad był rówieśnikiem Hayat. I rzeczywiście tak jak jej rodzice młodzi znali się od dziecka. Widywali się często na rodzinnych uroczystościach, bo Hafiz i ojciec Murada byli bliskimi kuzynami. Ten ostatni zrobił za czasów króla Fahda spektakularną karierę, zostając jednym z jego ważnych ministrów.

Kiedy Murad był mały, wszyscy w rodzinie wiedzieli, że jest nieco inny od pozostałych chłopców. Na rodzinnych zjazdach chłopcy z reguły trzymali z chłopcami, on jednak zdecydowanie lepiej się czuł w towarzystwie swoich kuzynek. Doskonale się do nich dopasowywał i bawił się dokładnie tak jak one. Dla dziewczynek nie było to nic dziwnego, wręcz przeciwnie – cieszyły się, że wreszcie mogą się bawić z chłopcem, który nie odgrywa przed nimi macho i doskonale je rozumie. Zdecydowanie mniejsze zrozumienie wykazywali kuzyni, którzy uważali Murada za dziwaka, a z biegiem lat coraz więcej uwag w tym temacie mieli też dorośli. Kiedy Murad wszedł w okres

dojrzewania, przestał się pojawiać na rodzinnych imprezach i unikał bliskich, jak tylko potrafił. Jego rodzice się domyślali, że chłopak nie pasuje do społeczeństwa, w którym przyszło mu żyć, ale postanowili, że by zapobiec jego demoralizacji, nie zgodzą się na jego wyjazd z kraju. Żadne z nich nie chciało powiedzieć tego na głos, jednak mieli graniczące z pewnością przecucie, że ich syn jest homoseksualny. Europa mogłaby w nim wzbudzić wolnościowe zapędy, których nie dałoby się już powstrzymać, a to mogłoby być dla niego ogromnym zagrożeniem po powrocie do Królestwa.

Postanowili zatem, że będą izolować syna, a w tym czasie rozejrzą się za odpowiednią partią dla niego. Sara, matka Murada, miała nawet niecny plan, że jeśli w jego małżeństwie nie pojawi się dziecko, adoptuje je po kryjomu, tak by nikt nie był w stanie zarzucić mu, że nie spełnia się w roli męża.

Tak naprawdę Al Saudowie w dość zaskakujący sposób zaakceptowali inność Murada. Owszem, był obiektem żartów i często mówili o nim z przekąsem, co z pewnością było dla niego bardzo krzywdzące, ale w kraju, w którym skłonności homoseksualne są surowo karane, a homofobia nie jest powodem do wstydu, i tak było to podejście nad wyraz tolerancyjne.

Kiedy jednak Lubna oświadczyła, że to właśnie Hayat jest kandydatką na żonę dla Murada, rodziną zatrzęsło w posadach.

A wszystko zaczęło się od zupełnie niespodziewanej wizyty, jaką Lubna złożyła Sarze niedługo po tym, jak Hayat wróciła do Arabii Saudyjskiej. To wtedy padła propozycja, by wyswatać ich dzieci.

Sara i Lubna może nigdy nie były serdecznymi przyjaciółkami, ale bardzo się lubiły, dlatego Sara przyjęła propozycję z zainteresowaniem. I choć nie wietrzyła żadnego podstępu, nie kryła też zaskoczenia.

– Muszę przyznać, że nie spodziewałam się tego – powiedziała.

– Zawsze lubiłam Murada – odparła Lubna. – To taki miły i przystojny chłopiec. Od dziecka traktował Hayat z ogromną sympatią, a ja nie chciałabym, żeby moja córka wpadła w ręce kogoś, kto ją skrzywdzi...

Ten argument wydawał się Sarze całkowicie zrozumiały. Jedną z największych obaw matek w konserwatywnych muzułmańskich rodzinach, w których decyzje o zamążpójściu często dyktowane są pragmatyzmem, jest to, że ich córki będą cierpieć jako żony.

– Doskonale cię rozumiem, siostró – powiedziała łagodnie. – I przyznam, że ja też od dawna drzę o to, co będzie z Muradem. Boję się, że mój mąż zmusi go do małżeństwa i że on nie będzie szczęśliwy, ale wiem też, że dopóki będzie kawalerem, rodzina nie da mu spokoju.

– To się doskonale składa. Możemy ich połączyć. Wiem, że Hayat z radością zgodzi się zostać jego żoną. Jeśli tylko Murad też będzie tego chciał, na pewno będą szczęśliwi, a kto wie, może nawet pojawią się dzieci... – przekonywała Lubna.

– Oni sami są jeszcze dziećmi – westchnęła Sara.

– Tak, w mojej głowie Hayat nadal jest moją małą córeczką, ale jeśli nie zadbam o jej przyszłość, nigdy nie będę w stanie spokojnie zasnąć. Ja już kiedyś stałam nad grobem i wiem, że skoro Allah dał mi szansę, by dalej żyć, to właśnie po to, bym troszczyła się o swoje dzieci.

Sara uśmiechnęła się czule.

– Więc jest szansa, że nasze rodziny połączą się jeszcze ściślej. Jeszcze dziś porozmawiam z mężem i spróbuję pokierować nim tak, by sam wpadł na ten pomysł. Musimy jednak utrzymać naszą rozmowę w tajemnicy. Wiesz, jacy są mężczyźni. Jeśli się dowie, że to idea, która pochodzi od dwóch kobiet, choćby dla zasady oceni ją jako kiepską.

Saudyjskie kobiety, uznawane przez sporą część świata za zupełnie pozbawione prawa głosu, dobrze wiedzą, jak zdobyć władzę nad mężczyznami. Nie zawsze ten, kto artykułuje decyzje, faktycznie je podejmuje. W saudyjskich domach wbrew pozorom wygłaszane przez mężczyzn decyzje tak naprawdę podejmują kobiety.

Saudyjskie matki, które mają dzieci na wydaniu, podczas wspólnych spotkań często sprowadzają rozmowy do tematu żeniaczki, dlatego propozycja Lubny nie wydawała się Sarze w żaden sposób podejrzana, choć tak naprawdę była skrzętnie utkaną intrygą.

O dziwo, nagła zmiana w sposobie myślenia Hayat i jej matki nie wywołała zdziwienia. Wcześniej obie dość dosadnie i głośno krytykowały system, w którym życiowym celem kobiety jest

małżeństwo i urodzenie dzieci – a teraz nagle stały się jego orędowniczkami. Wszyscy uznali, że po prostu zmądrzały i weszły na właściwą drogę.

Hayat miała do matki tylko jedną prośbę. Bardzo chciała spotkać się ze swoim przyszłym mężem, zanim dojdzie do ich *nikah*. To nie było trudne do zorganizowania. Murad przybył wraz z rodzicami do pałacu Lubny i Hafiza w atmosferze wielkiej podniosłości. Mimo że Hafiz był sceptyczny co do wyboru zięcia, postanowił towarzyszyć swojej pierwszej żonie w tej ważnej chwili. Lubna nie widziała w tym nic podejrzanego, bo znała go dobrze. Wiedziała, że bywa marionetką w rękach zręcznych manipulatorów, ale nie jest zdolny do intryg, więc jego udział w tym wydarzeniu uznała za szczerą ojcowską potrzebę.

Kobiety wyraźnie wiodły prym. Lubna osobiście wyszła gościom na powitanie, a jako pierwsza do pałacu wkroczyła Sara. Kilka kroków za nią szedł jej mąż Ahmed, leniwym krokiem, jakby nieco znudzony. Chwilę później pojawił się bohater dnia. Wysoki, strzelisty i nieprawdopodobnie przystojny Murad. Jego delikatna uroda w połączeniu z idealnie wypielęgnowanym zarostem przykuwała wzrok. Wyglądał jak prawdziwy model, gdyby modele chodzili w *thobach*. Niczym nie przypominał nieśmiałego chłopca, którego zapamiętała Lubna.

– Murad, jak ty wyrosłeś! – Rzuciła się do niego, a on musiał się dość mocno schylić, żeby ją uściskać. – I jaki ty przystojny jesteś... Piękny chłopiec!

Wyraźnie skrępowany komplementami, młodzieniec splonął rumieńcem i bez słowa ruszył za rodzicami i wujostwem do *majlisu*.

– Hayat zaraz do nas dołączy – zapowiedziała Lubna, wydając gestami polecenia służbie, która natychmiast rozpoczęła serwis od podania ogromnej tacy świeżych daktyli i rozlania herbaty.

– A więc jakie są twoje plany na życie, Murad? – zagaił Hafiz całkiem poważnie, zupełnie jakby zapomniał o kpinach, które towarzyszyły wcześniejszym rozmowom o chłopaku.

– Murad wkrótce zaczyna studia na Oksfordzie, dokładnie jak wasz Badr, tylko on będzie studiował medycynę – odpowiedziała pękająca z dumy Sara.

– Fantastycznie. Ale czy to nie jest zatem kiepski moment na ślub? Takie studia są wymagające. Co z Hayat, jak stąd wyjedziesz? – drażył Hafiz.

– Hayat może pojechać z nim. Przecież mieszkała już za granicą. Ona też może pójść na studia w Oksfordzie – znowu wyręczyła syna w odpowiedzi Sara.

– Nie jestem pewien, czy chciałbym, by moja córka wyjeżdżała z Królestwa – powiedział Hafiz, pomny woli swojego teścia.

– No, to już będzie decyzja jej męża – powiedział milczący do tej pory Ahmed.

– Jeśli kiedykolwiek zostanie jej mężem – odciął się Hafiz.

Drobne starcie kuzynów było raczej przypadkiem niż aktem rozpoczynającym wojnę, ale Lubna na wszelki wypadek postanowiła zainterweniować i przekierować rozmowę na inne tory. Kolejnym gestem dała służbie znak, by do *majlisu* weszła Hayat.

Dziewczyna była ubrana w czarną przypominającą tipi *abaję*, która skrętnie ukrywała jej kształty. Na głowie miała *hidżab*, a na twarzy *nikab*. Była zasłonięta z góry na dół. Nawet jej dłonie spowijały czarne rękawiczki. Ubrane w bogato zdobione *abaję* Sara i Lubna wyglądały przy niej jak rozneglizowane plażowiczki.

– Hayat po powrocie do Arabii, a zwłaszcza po naszej ostatniej pielgrzymce, odkryła swoje powołanie w Bogu i oddała się studiowaniu Koranu – powiedziała Lubna, tłumacząc córkę przed wyraźnie zaskoczonymi gośćmi.

Wszyscy byli oddanymi muzułmanami, ale jako bliska rodzina nie widzieli powodu, by oddawać się ortodoksyjnym praktykom, przynajmniej w swoim gronie. Hayat miała jednak inne zdanie i nie zamierzała rezygnować z zakrycia nawet w części. Przywitała się skromnie, po czym usiadła obok matki, możliwie najdalej od swojego potencjalnego przyszłego męża. Spoglądała jednak dyskretnie na dawnego towarzysza zabaw i była nim szczerze oczarowana. Murad był naprawdę przystojny, co ostatecznie przekonało ją do tego, że ślub z nim to dobry pomysł.

Problem w tym, że on wcale nie był tego taki pewny. Lubił Hayat, bo pamiętał ją jako odważną, wyzwoloną i wesołą dziewczynkę, a nie ortodoksyjną fanatyczkę, która zakrywa się nawet wtedy, kiedy

nie musi. Jakby co najmniej groził jej tu gwałt. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Jeżeli tak ma wyglądać jego przyszła żona, to on tego nie chce. Nawet jeśli po ślubie będzie mógł ją oglądać bez tych wszystkich ubrań, nie widział się u boku dziewczyny, którą opętał islam. On swoją religię traktował poważnie, ale nie priorytetowo, a ludzie, którzy studiują Koran, często mają na jego punkcie obsesję. To nie zapowiadało się dobrze.

Murad jakoś zniósł to pierwsze spotkanie, ale gdy tylko wraz z rodzicami opuścił pałac wujostwa, zdradził, co o tym wszystkim myśli.

– Nie ma mowy, żebym ożenił się z tą wariatką – zastrzegł.

– Jak możesz tak mówić? To twoja kuzynka. Jest bardzo miła – próbowała łagodzić sytuację Sara.

– To fanatyczka.

– Po prostu porządna muzułmanka. Chyba nie chcesz jakiejś latawicy, która nosi *abaję* tak, że równie dobrze mogłaby ją zdjąć.

– Mamo, ja w ogóle nie chcę się żenić. Pozwólcie mi po prostu pójść na studia – powiedział Murad błagalnym tonem.

– Rozmawialiśmy już o tym. Bez ślubu nigdzie nie wyjedziesz. Takich jak ty w Europie na gejów przerabiają. Myślisz, że pozwolę, żeby mój syn był gejem? – wtrącił Ahmed stanowczym głosem.

– Nie jestem gejem! – zawołał Murad.

– Oczywiście, że nie – potwierdziła Sara. – Ale nie chcemy, żeby ktokolwiek tak pomyślał. Dlatego ożenisz się z Hayat i wszyscy będą zadowoleni.

– Poza mną...

– Ty też będziesz, syneczku. Zobaczysz. Wyjedziesz na studia, zabierzesz ją ze sobą. Będziecie szczęśliwi.

Murad wiedział, że jest na straconej pozycji. Nie miał szans przekonać rodziców ani się im sprzeciwić, a przecież pragnął jedynie wolności. Od dawna marzył o tym, by wyjechać z Arabii Saudyjskiej. I był gotowy zrobić to za wszelką cenę. Nawet jeśli tą ceną ma być ślub z opętaną religią kuzynką. Potrzebował trochę czasu, by to przetrwać, ale w końcu się zgodził. Był przecież Saudyjczykiem. Księciem. Zawsze mógł po prostu zdecydować o tym, jak będzie wyglądało życie jego żony, i wzorem wielu innych mężczyzn wykorzystać swoją przewagę, tak by się w tym wszystkim dobrze urządzić. Wiedział jedno: nie chce mieć dzieci. Na szczęście w tej kwestii studia zdawały się dobrą wymówką. Przynajmniej na jakiś czas.

Zaczęły się przygotowania do ślubu. Sara nalegała, by był wystawny, Lubna optowała za nieco skromniejszym przyjęciem. W drodze kompromisu stanęło na tysiącu gości. Uroczystości miały się odbyć w jednym z pałaców księcia Ahmeda w nadmorskiej Dżeddzie i miał to być ślub, o którym gościom trudno będzie zapomnieć przez długie lata.

Hayat zapowiedziała tylko jedno – niezależnie od koncepcji zatrudnionych do organizacji uroczystości specjalistów i tego, jak bardzo ciotki i kuzynki będą chciały ją zobaczyć, pozostanie zasłonięta nawet w sali przeznaczonej tylko dla kobiet. Ortodoksyjne podejście dziewczyny dziwiło każdego, kto usłyszał te żądania, ale nikt nie odważył się ich zakwestionować. Ludzie odczytywali je jako bezgraniczne oddanie Allahowi, a tego nikt w Arabii Saudyjskiej publicznie nie skrytykuje.

W prezencie ślubnym młodzi dostali dwie wille. Jedną w Rijadzie, a drugą w Maroku. Obie piękne, nowoczesnie wyposażone i pełne oddanej służby. I obie kompletnie zbędne. Oni bowiem wcale nie marzyli o rozpoczęciu wspólnego życia. To był plan wszystkich poza nimi. A jednak wkrótce miało się okazać, że zupełnie przypadkiem zostali najbardziej zgodnym i oddanym sobie małżeństwem, jakie zawarto na saudyjskiej ziemi.

Hayat wróciła z Hiszpanii do Arabii Saudyjskiej ze złamanym sercem. Nie tylko dlatego, że straciła wolność, którą jak każda nastolatka tak bardzo pokochała. Również dlatego, że w Hiszpanii musiała zostawić chłopaka, któremu oddała swoje serce. Był jej pierwszą miłością. Zakazaną, ale prawdziwą. Gorącą, romantyczną i pełną namiętności.

Lubna miała okazję poznać Andera i choć wiele ją kosztowało uciszenie w sobie konserwatywnej Saudyjki, zaakceptowała fakt, że jej nastoletnia córka spotyka się z chłopakiem bez ślubu. Przestrzegła ją tylko, by nie posunęła się za daleko...

– O czym ty mówisz, mam? – denerwowała się dziewczyna na te uwagi.

– Nie chcę po prostu, by to zabrnęło w miejsce, z którego nie ma już powrotu.

– Spokojnie, nie jesteśmy w Arabii, ja na pewno nigdy tam nie wrócę, więc jeśli to masz na myśli, ja już jestem w miejscu, z którego nie ma powrotu.

Lubna nie chciała zaognić sytuacji, bo dyskusje o rozwadze z zakochanymi nastolatkami nigdy nie należą do łatwych, ale trudno jej było zaakceptować możliwość, że jej córka nigdy już nie poleci do swojej ojczyzny. Ona sama miała jej wiele do zarzucenia, ale nie była sobie w stanie wyobrazić, że nigdy tam nie wróci, choćby na chwilę, by zachłusnąć się gorącym, pustynnym powietrzem, poczuć na twarzy morską bryzę, usłyszeć śpiew muezina ogłaszającego *adhan*.

Lubna kochała Arabię Saudyjską i zastanawiała się, czy przypadkiem nie popełniła jakiegoś wychowawczego błędu, skoro Hayat bez skrpułów wyrzeka się swej ojczyzny. Liczyła, że to tylko taki etap, zupełnie normalny bunt w okresie dojrzewania, w którym kwestionuje się wszystko, co ma jakąś wartość.

Przejdzie jej, na pewno jej przejdzie, pomyślała i postanowiła, że skoro tej wojny nie ma szans wygrać, po prostu ją przeczeka.

Z czasem Lubna nawet polubiła chłopaka córki. Była to dla niej zupełnie niespodziewana lekcja obcej kultury. Wciąż pamiętała swoją babcię, która opowiadała jej o tym, że na Zachodzie kobiety zupełnie się nie szanują, spotykając się z mężczyznami bez ślubu. Babcia chroniła jej uszy przed słowem „ prostytutka”, ale gdy Lubna dorosła, nie miała wątpliwości, że właśnie to miała na myśli starsza pani. Sama dorastała w przekonaniu, że kobieta nie powinna znać swojego męża przed ślubem, a w jego wyborze winna zdać się na swoich rodziców. Jej rodzice faktycznie wybrali jej męża, chociaż przecież znała Hafiza wcześniej.

Czy zatem właściwym było zabraniać młodym przedślubnych relacji? Czy to w ogóle ma jakiś sens? I czemu służy? Oczywiście na to ostatnie pytanie odpowiedź znała najlepiej. Chodziło o to, by młodzi zbyt wcześnie nie dali się ponieść namiętności, choć przecież w saudyjskich warunkach było to niemal zupełnie niemożliwe. Poza tym nawet jeśli miałoby do tego dojść, czy udane życie erotyczne nie jest przypadkiem jednym z elementów, które tworzą szczęśliwy związek? Czy nie powinno chodzić o to, by młodzi się w tej kwestii dobrze dopasowali, sprawdzili, czy są dla siebie stworzeni?

Lubna była niezwykłą kobietą. Otwarta na to, co nowe, i na to, co obce, trwała przy swoich przekonaniach. Jej podejście do tego, co w jej kraju nazywano zachodnią zgnilizną, było dość unikatowe. Jakby stała w oknie, z zaciekawieniem przyglądając się obcemu krajobrazowi za szybą, ale nigdy nie pozwoliła sobie na to, by się wychylić.

Jej relacja z córką była idealnym odzwierciedleniem tej metafory. Lubna nie wiedziała jednak, że dla dobra Hayat wkrótce będzie musiała otworzyć okno.

Murad zdawał sobie sprawę, że od dziecka jest inny, ale kiedyś mu to zupełnie nie przeszkadzało. Szyderstwa ze strony chłopców, których i tak nie lubił, nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Potrafił znaleźć w sobie siłę, by nie słuchać tego, co mają do powiedzenia, zwłaszcza że zabawy w gronie licznych kuzynek dawały mu wystarczająco dużo radości, by zapomnieć o reszcie świata.

Jego pozujący na macho młodociani kuzyni wymyślili nawet dla niego ksywkę, która szybko przyjęła się w rodzinie. Ze względu na dziewczęce usposobienie Murada nazywano Munirą. Nie jest to wprawdzie żeński odpowiednik tego imienia, ale nikt się nie przejmował szczegółami. Sara próbowała walczyć z ostracyzmem wymierzonym w jej syna, wchodząc w konflikt z wieloma członkami rodziny, ale osobą, która zupełnie nie umiała sobie z tym poradzić, był ojciec Murada.

Ahmed należał do mężczyzn, którzy nie mieli żadnego pojęcia o wychowaniu dzieci ani też ochoty na udział w ich dorastaniu. Uważał, że jego rolą jako mężczyzny jest zapładnianie, a nie wychowywanie. W tym przypadku jednak nie mógł nie zainterweniować. Opinia o jego synu rzutowała

wszak na to, jak on sam był postrzegany.

Postanowił osobiście zająć się sprawą i posłużył się jedyną metodą, jaką uznawał za skuteczną. W wyniku tej ojcowskiej interwencji wychowawczej dziesięcioletni wówczas Murad trafił do szpitala z połamanymi żebrami, stłuczeniami głowy i wybitą szczęką. Po powrocie do domu jeszcze długo dochodził do siebie, a jękanie w momentach zdenerwowania nigdy nie ustąpiło.

Kiedy zebra Murada się zrosły, a na jego twarzy nie było już widać śladów pobicia, Ahmed kazał swojemu sekretarzowi go obserwować. Po kilku tygodniach regularnych raportów postawił swojej żonie Sarze ultimatum – teraz to ona miała wychować chłopaka na prawdziwego mężczyznę. Jeśli tego nie zrobi, zostanie rozwódką z prawem do opieki nad tylko jednym z szóstki swoich dzieci. Nietrudno było się domyślić, które dziecko Ahmed miał na myśli.

Sara dobrze wiedziała, że w rodzinie nikt dysponujący siłą sprawczą nie opowie się za nią. Choć wypracowała sobie w niej szacunek, nie pochodziła z Al Saudów, zresztą prawo i tak stało po stronie jej męża.

Kochała Murada, ale nie mniejszą miłością darzyła pozostałe swoje dzieci. Oddzielenie od nich byłoby dla niej ogromną tragedią. Warunki męża wydawały się jednak nie do spełnienia. Bo jak zmienić delikatnego chłopca w macho, nie krzywdząc go przy tym? Ostatecznie postanowiła, że będzie z synem szczerą.

– Synku, twój ojciec się o ciebie martwi... – zaczęła cicho.

Dziesięcioletni Murad był niezwykle nie tylko pod względem usposobienia. Jego dojrzałość dalece wykraczała poza jego wiek, dlatego rozumiał znacznie więcej niż większość rówieśników.

– Mamuś, on się martwi o siebie. Nie chce, żeby się z niego śmiali, tak jak śmieją się ze mnie – odpowiedział z przejmującym smutkiem, który ścisnął za gardło.

– Może jesteśmy w stanie coś z tym zrobić – ciągnęła Sara, próbując opanować emocje.

– Tak. Ja wiem, że muszę zniknąć. Już nawet to zaplanowałem, jak tylko pojedziemy do Dżeddy...

Te słowa zmroziły zatroskaną matkę do szpiku kości. Wiedziała, że nie może ulec mężowi, bo straci Murada. Jej dziesięcioletnie dziecko zaplanowało samobójstwo!

– Kochany mój... – powiedziała przez łzy, gdy tylko udało się jej odzyskać głos. – Nie możesz mnie tu zostawić. Zawsze byłeś moim największym przyjacielem, nie mogę zostać sama...

– Masz jeszcze pięcioro dzieci, a ja jestem tylko problemem...

– Nie jesteś żadnym problemem! Nigdy tak o sobie nie myśl! – zaoponowała stanowczo.

– Dla taty jestem. Wiem, że wolałby, żebym nie żył. Jak mnie bił, to myślałem, że może mu się uda mnie zabić. Ale on bił tak, żeby nikt potem nie powiedział, że zabił własnego syna...

Sara była bliska omdlenia. Sama myśl o tym, że Murad mógłby stracić życie, przyprawiała ją o mdłości. Czuła się jak w potrzasku, bo nie umiała spełnić woli męża ani ulżyć własnemu cierpiącemu dziecku. Ukryła twarz w dłoniach i zalała się łzami.

Murad przyglądał się jej chwilę, a później mocno się do niej przytulił.

– Nie możesz tak... – wyszlochała. – Synku! Nie wolno ci tak nawet myśleć! Gdybyś zniknął z tego świata, nie potrafiłabym już oddychać... Nie umiałabym... Proszę, nigdy więcej tak nie mów...

Wtuleni w siebie, długo nie potrafili nic powiedzieć. W końcu Murad przerwał ciszę:

– Mamuś, Khalid trenuje boks i chwali się, że wszystkich pokona. Może ja też mogę? Wtedy cię obronię.

Khalid był rówieśnikiem Murada, jednym z synów brata Ahmeda. Był też jednym z jego głównych ciemiężycieli. Boks uważany jest przez wielu ludzi za sport będący kwintesencją męskości. Kiedy słowa Murada dotarły do Sary, w jej sercu pojawiła się iskierka nadziei, choć przyjęła je z niedowierzaniem.

– Chcesz trenować boks? – upewniła się.

– Tak.

– Myślałam, że nie interesują cię takie rzeczy.

– Ja też, ale chcę spróbować. Chcę umieć się obronić. I ciebie...

Sara znowu przytuliła go mocno i wreszcie zdołała się uśmiechnąć. Wiedziała, że nawet jeśli

Murad, trenując boks, się nie zmieni, może dzięki temu będzie w stanie przekonać męża, że wpłynęła na syna i że wreszcie, zgodnie z jego życzeniem, rośnie z niego „prawdziwy mężczyzna”.

Znalezienie nauczyciela boks dla chłopca zajęło służbie mniej niż dobę. Już następnego dnia Murad odbył swoją pierwszą lekcję, a później każdego dnia kolejne. Miał w sobie zapał sportowca olimpijskiego, jakby faktycznie bardzo chciał udowodnić coś naprawdę ważnego. Jego pochodzący z Niemiec trener nie mógł się go nachwalić. Twierdził, że nigdy nie widział takiego zapału u żadnego chłopca, którego przyszło mu szkolić w ringu.

Mając na dłoniach rękawice i wymierzając ciosy, Murad czuł, że po raz pierwszy zaczyna przejmować kontrolę nad własnym życiem. Życiem, które mimo jego młodego wieku mocno go upokorzyło i z którego w zasadzie już zrezygnował.

Kiedy po raz pierwszy powiedział matce o tym, że chce zacząć trenować, zrobił to głównie dla niej, ale już po kilku miesiącach nie potrafił sobie wyobrazić życia bez treningów. Z biegiem lat nadal był wrażliwcem, nadal nie pasował do patriarchalnego świata, w którym liczy się tylko męstwo i siła, ale teraz ani jednego, ani drugiego mu nie brakowało. Spełniły się też nadzieje Sary na to, że nowa pasja syna uspokoi Ahmeda i naprawi ich stosunki. Choć ojciec nadal dystansował się od Murada, nie był już wobec niego tak surowy, odpuścił też pomysł rozwodu.

– Niech trenuje – orzekł. – Może jeszcze będą z niego ludzie. Ale żeby ci na myśl nie przyszło, by wysłać go za granicę, dopóki się nie ożeni, bo wszystko pójdzie na marne.

Ahmed wiedział, że opuszczenie kraju nawet przez piętnastoletniego Murada bez jego zgody jest mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe, dlatego na wszelki wypadek upewnił się, że Sara zatrzyma syna w Arabii Saudyjskiej przynajmniej do dnia, kiedy oskarżenia o jego zniewieszczenie i homoseksualność zostaną ostatecznie oddalone – czyli do dnia jego ślubu, a jeszcze lepiej do chwili narodzin jego dziecka.

Mimo że małżeństwa w młodym wieku nigdy nie były w Arabii Saudyjskiej czymś dziwnym, Sara nie chciała nawet myśleć o tym, że miałyby oddać Murada innej kobiecie. Był na to zdecydowanie za młody – a ona zdecydowanie niegotowa. Chłopak tymczasem męźniał. Boks sprawiał, że jego sylwetka stawała się proporcjonalnie umięśniona. Pozostawał szczupły, był coraz wyższy i coraz bardziej przystojny.

Jeśli prawdą jest to, co mówią o karmie, to jego przypadek zdecydowanie potwierdza, że ta wraca. Kuzyn Khalid, którego obrzydliwe żarty na temat Murada stały się inspiracją do rozpoczęcia treningów, bardzo ciężko przechodził okres dojrzewania. Jego twarz pokryła się wprost nieprawdopodobną liczbą wyprysków. Trądzik młodzieńczy wprawdzie często zdarza się nastolatkom i na pewno nie powinien być powodem do drwin, ale Sarze trudno było się oprzeć wrażeniu, że w jego przypadku to całkiem sprawiedliwa kara.

Wkrótce Murad miał okazję skonfrontować się z kuzynem. Okazało się, że choć jego twarz płonęła od ropnych wrzodów, Khalid nie okiełznał swoich maczystowskich zapędów i jak za dawnych lat rozpoczął spotkanie od wyzywania Murada.

– O, Munira nam urosła! Jak ty teraz będziesz nosiła buty na obcasie? – rzucił w akompaniamencie rechotu kilku innych nastoletnich książąt, swoich najwierniejszych kompanów.

Murad się uśmiechnął. Poczuł w sobie ogromną moc, po raz pierwszy w życiu szczerze nie przejmując się takimi zaczepkami. Miał świadomość swojej siły i umiejętności. Przez chwilę rozważał, czy powinien ich użyć – mógł stanąć do honorowego pojedynku z Khalidem i wreszcie pokazać mu swoją przewagę – ale nie zdecydował się na to. Zamiast tego powiedział tylko:

– Mam nadzieję, że jakaś Munira kiedyś cię pokocha. I to nie ze względu na pieniądze, jakie można dostać za ropę wyciśniętą z twojej twarzy.

Ta odzywka wywołała niespodziewany aplauz u kuzynów, którzy byli stronnikami Khalida. Żaden z nich nigdy nie mógł sobie pozwolić na podobną złośliwość wobec niego. To zdecydowanie podgrzało emocje przyszłego księcia. Bez namysłu postąpił krok w kierunku Murada i zamierzył się do ciosu. Murad zrobił zręczny unik, ale Khalid znowu się na niego zamachnął. Tym razem jego ręka zastygła w powietrzu powstrzymana przez kuzyna. Przez chwilę się siłowali, aż wreszcie Khalid musiał uznać swoją porażkę. Zrozumiał, że tego konfliktu nie da się rozwiązać siłowo, a przynajmniej on

w takiej konfrontacji nie ma szans na zwycięstwo. Spojrzał na Murada pełnym nienawiści wzrokiem i wyrwał rękę z jego uścisku.

To była ich ostatnia konfrontacja. Murad nigdy nikomu o tym nie opowiadał, ale świadkowie zdarzenia zajęli się jego swoistą promocją, a efekty odczuł wkrótce potem. I wcale nie było to nic złego. Po raz pierwszy od czasu, kiedy kilka lat wcześniej jego ojciec pobił go niemal do nieprzytomności, odezwał się do niego jak do syna. Mało tego – pogratulował mu zwycięstwa w bóje.

– Khalidowi od dawna się zbierało – stwierdził. – Dobrze, że wreszcie ktoś utarł mu nosa.

Murad postanowił nie prostować tego przekłamania. Bójki nie było, ale liczył się efekt. Khalid czuł się pokonany i za takiego uznali go wszyscy, którzy widzieli ich konfrontację.

Księżę Ahmed wciąż nie był pewien, czy jego syn jest godny zaufania i w przyszłości nie przyniesie mu wstydu. Uznał jednak, że należy dać mu szansę. Gdy kilka lat później – Murad skończył już wtedy osiemnasty rok życia – żona przyszła do niego z propozycją ożenienia ich syna z Hayat, uznał to za bardzo dobry pomysł i postanowił się zaangażować. Wtedy mógłby ostatecznie odetchnąć z ulgą, wiedząc, że już nikt nie zarzuci jego synowi niemuzułmańskich praktyk.

I tak właśnie się stało. Murad został mężem Hayat, wkrótce potem z nią zamieszkał, a rodzina zaczęła odliczanie do chwili narodzin ich pierwszego dziecka. Tyle że młodzi – do momentu, gdy już jako małżonkowie zostali po raz pierwszy sam na sam – nie zamienili nawet słowa.

Ich pierwsza po ślubie rozmowa – pierwsza dorosła rozmowa – zmieniła wszystko i sprawiła, że dawna przyjaźń odżyła, a oni stali się dla siebie najważniejsi na świecie.

O tym, jak ważna była to rozmowa, niech świadczy fakt, że niedługo po niej ogłosili rodzinie, że faktycznie spodziewają się dziecka. Nie mniej ważnym było, że Hayat porzuciła praktykowany przez ostatnie tygodnie ortodoksyjny sposób zakrywania się, odsłoniła twarz, porzuciła rękawiczki i przestała cytować Koran w niemal każdej odpowiedzi.

Ich bliscy nie widzieli w tym nic dziwnego. Oczywistym jest, że gdy saudyjska kobieta wchodzi w związek małżeński, bardzo się zmienia i podporządkowuje swoje życie mężowi. Zmiana sposobu zachowania i ubierania nikogo nie zdziwiła, zwłaszcza że wszyscy oszaleli na punkcie mającego się wkrótce narodzić potomka.

Murad sam był zaskoczony faktem, że małżeńskie życie tak bardzo przypadło mu do gustu. Nadal miał plany wyjazdu za granicę na studia, a Hayat przyklasnęła im, gdy tylko się dowiedziała, że planuje się uczyć na oksfordzkiej uczelni. Przez własne zawirowania z edukacją straciła rok, ale miała nadzieję, że jak tylko zostanie mamą, będzie mogła wrócić do szkoły i też pójdzie na studia. Przyszłość malowała się przed nią w naprawdę świetlanych barwach. Wymagała tylko cierpliwości i odrobiny szczęścia – a to akurat zdawało się młodym sprzyjać.

Hayat była pod opieką swojego męża, ale równie intensywnie w jej ciążę zaangażowały się Lubna i Sara. Ich troska osiągała momentami znamiona opętania, dlatego konieczne było ograniczenie ich wizyt. Matka i teściowa musiały przestrzegać grafiku – Sara czuwała przy Hayat w dni parzyste, a Lubna w nieparzyste. Dokładnie w dniu, w którym minęło siedem miesięcy i dwa tygodnie ciąży, rozpoczęła się akcja porodowa. Wypadło to w dniu Sary, która przerażona tak znacznie przyspieszonym porodem, wpadła w absolutną histerię. Do tego stopnia, że przegoniła specjalnie zatrudnionego dla Hayat lekarza, którego uczyniła głównym winowajcą tego, że jej wnuk lub wnuczka urodzi się jako wcześniak, o ile w ogóle szczęśliwie przyjdzie na ten świat.

Zaskoczony mężczyzna musiał wykonywać polecenia rozwrzeszczanej Sary, potulnie wcielając się w rolę szofera, który zawiózł je do szpitala. Pół godziny później dotarł do niego również Murad, a z pałacu wysłano cztery służące, które miały zadbać o wszystkie potrzeby Hayat i jej męża.

ROZDZIAŁ 6

Hayat

Mały Ibrahim bin Murad urodził się zdrowy i silny z niezwykłą dla większości niemowląt gęstą czarną czupryną. Informacji, że nie będzie mogła zobaczyć wnuka przez kolejne kilka tygodni, świeżo upieczona babcia Sara nie przyjęła łagodnie. Próbowała się wyklócać, powołując na wpływy swojego męża, ale wyraźny zakaz wydał jej syn.

– Jak możesz? Zawsze byłam po twojej stronie... – próbowała negocjować, grając mu na emocjach.

– Mamo, przecież to nie jest nasze widzimisię. Ibrahim jest wcześniakiem. Lekarze wyraźnie powiedzieli „nie” wszelkim wizytom. Tylko my, rodzice, możemy go widzieć. Babcie, dziadkowie i cała reszta muszą poczekać...

– Ale my mamy prawo...

– Mamo, gdyby mały nie urodził się wcześniej, ciągle byłby w brzuchu Hayat, więc może po prostu wyobraź sobie, że nadal tam jest, i odpuść – uciał stanowczo Murad.

Sara zrozumiała, że dalsze próby przekonywania nie mają sensu. Musiała się uzbroić w cierpliwość, a czas oczekiwania spędziła na przygotowywaniu wyprawki dla wnuka. Przekonała nawet Ahmeda, by pozwolił jej polecieć do Londynu na zakupy. Wróciła z wartykami kilkaset tysięcy funtów walizkami ciuszków i akcesoriów prosto z Harrodsa.

Tymczasem Murad praktycznie zamieszkał w szpitalnym apartamencie wraz z Hayat. Na kolejny miesiąc młodzi rodzice zniknęli dla świata. Wreszcie oczekiwanie na pierwsze spotkanie z małym Ibrahimem dobiegło końca. Dziadkowie, wujkowie i kuzynostwo, wszyscy zebrali się w pałacu Murada i Hayat, by przywitać malca.

– Cały Murad. Wykapany! – zawyrokowała Sara, gdy tylko ujrzała go po raz pierwszy.

– Ale oczy ma po Hayat – upierała się Lubna.

Podczas gdy babcie ustalały stopień podobieństwa Ibrahima do swoich rodziców, Ahmed podszedł do Murada, uśmiechnął się łagodnie i otworzył szeroko ramiona, ujmując go w objęcia.

– Teraz wreszcie jesteś prawdziwym mężczyzną – powiedział, klepiąc go po plecach.

Choć robił to w dobrej wierze i z niekłamaną dumą, Murad miał spory problem z przełamaniem się. Nie potrzebował akceptacji ojca. Już nie. Kiedyś bardzo jej łaknął, ale wtedy wydawała się zupełnie niedostępna, bo Murad nie przystawał do jego wizji świata. Dopiero kiedy nagle się w nią wpasował, ojciec go zaakceptował. Trudno to nazwać bezwarunkową miłością, jednak w trosce o poprawne stosunki rodzinne robił dobrą minę do złej gry.

Mimo że Hayat i Murad spędzili cały miesiąc w swoim towarzystwie, marzyli o tym, by zamieszanie wokół nich wreszcie się skończyło. Chcieli odetchnąć z ulgą i zająć się planowaniem przyszłości.

Jako matka Hayat znowu uległa przemianie. Teraz nie przypominała niczym ani religijnej fanatyczki, ani szalonej, wyzwolonej dziewczyny. Wróciła jej otwartość, ale w zupełnie nowej, rozważnej wersji. W ciągu kilku miesięcy dorosła i spoważniała. Miała niespełna dziewiętnaście lat, całe życie przed sobą, ale reprezentowała zupełnie niespotykane w tym wieku spojrzenie na przyszłość. Zresztą to podejście dzieliła ze swoim mężem. Pomimo młodego wieku oboje mieli na karku spory bagaż doświadczeń. Hayat wciąż jeszcze nie otrząsnęła się w pełni po koszmarze walki o życie mamy, ciągle też leczyła złamane serce i nie umiała się pogodzić z przymusową przeprowadzką do Arabii Saudyjskiej. Również Murad nie rozliczył się w pełni z przeszłością. Wprawdzie czuł się na tym polu zwycięzcą, ale rany z dzieciństwa nadal dawały o sobie znać. W warunkach europejskich oboje nadawaliby się na solidną terapię u psychologa, w Arabii Saudyjskiej terapią miała być rodzina.

Fakt, pojawienie się Ibrahima w ich życiu miało działanie terapeutyczne, ale oboje się bali, że ich trudne doświadczenia wpłyną na jego wychowanie. Nie mieli wątpliwości, że ich przyszłość nie powinna się wiązać z pustynnym Królestwem. Dlatego niespełna miesiąc później poinformowali swoich bliskich,

że jeśli chcą ich odwiedzić, muszą przyjechać do Wielkiej Brytanii, po czym zgodnie z dawnymi planami zaczęli przygotowywać swoją przeprowadzkę do Oksfordu. Hayat miała poczucie, że po trudnym, pełnym niepewności czasie szczęście wreszcie się do niej uśmiechnęło. Wiedziała też, że o mały włos jej życie zmieniłoby się w absolutny koszmar. Uchroniła ją przed nim jej matka, która przy całej swej dobroci, czasem wręcz naiwności, w kluczowych momentach potrafiła zachować zimną krew, działać odważnie i bezkompromisowo.

Kilka dni po tym, jak Hayat wróciła do Arabii Saudyjskiej, Lubna zabrała ją na zakupy. Dziewczyna była typową nastolatką, a jej matka dobrze знаła jej instrukcję obsługi – chciała jej w ten sposób poprawić nastrój, bo dziewczyna miała złamane serce i była przekonana, że w życiu nie czeka ją już nic dobrego. Nie przyjęła propozycji mamy ze spodziewanym entuzjazmem, ale w końcu dała się namówić. Wycieczka skończyła się jednak, jeszcze zanim dotarli do centrum handlowego. Hayat poczuła się słabo, była bliska omdlenia.

– Hayat, co się dzieje? – zawołała Lubna, po czym natychmiast nakazała kierowcy jechać do szpitala.

Zanim do niego dojechali, Hayat odzyskała przytomność i z miejsca wpadła w panikę.

– Nie chcę leżeć w szpitalu! Nie chcę tam jechać! – powtarzała histerycznie.

Lubna jednak nie miała zamiaru odpuścić. W szpitalu przyjął je młody amerykański lekarz, który przeprowadził wywiad i – prawdopodobnie zapominając, w jakim kraju pracuje – luźno rzucił, że to może być ciąża. Przeprowadzone badania potwierdziły jego przypuszczenia. Na szczęście Lubna szybko zainterweniowała, by ich wyniki pozostały tajemnicą. Pochodzenie lekarza jej sprzyjało – gdyby trafiła na konserwatywnego Saudyjczyka, utrzymanie tego w sekrecie mogłoby być znacznie trudniejsze.

Matka i córka miały przed sobą trudną rozmowę.

– Jestem po twojej stronie i pomogę ci, ale musisz być ze mną całkowicie szczerą – powiedziała Lubna, patrząc na bladą z przerażenia Hayat.

To zapewnienie najwyraźniej dodało dziewczynie odwagi, choć nadal wstydziła się mówić o swojej sytuacji.

– Wiesz, kto jest ojcem? – spytała matka.

– Ander – odpowiedziała cicho Hayat.

– To dobrze.

Córka spojrzała na matkę z niedowierzaniem.

– Dobrze, że nie żaden Saudyjczyk – wyjaśniła Lubna. – Wiesz, że chłopcy w tym kraju w takich sytuacjach zachowują się, jakby kobiety zachodziły w ciążę bez ich udziału...

– W innych krajach też tak jest.

– Tyle że w innych krajach co najwyżej znikają, a u nas ciskają oskarżeniami o prostytutkę w kobiety, które sami zapłodnili. No dobrze, musimy działać. Po pierwsze, za żadne skarby świata nie możesz powiedzieć o ciąży Anderowi. Po drugie, jedziemy na *haji*. Po powrocie będziesz udawała bardzo pobożną, chodziła w *abai* i *nikabie* nawet po domu, to nam da trochę czasu. Nikt się nie zorientuje, że jesteś w ciąży, nikomu nawet to nie przyjdzie do głowy. Po trzecie... – Tu Lubna na chwilę się zatrzymała. – Będziesz musiała wyjść za mąż.

Na twarzy Hayat odmalowało się przerażenie.

– Nie martw się, znajdę ci takiego męża, który zapewni ci wolność – obiecała matka. – Ale musisz mi zaufać.

Dziewczyna rzuciła się jej na szyję. Ten gest wystarczył za odpowiedź. Zawarły pakt, który wymagał sporo sprytu i determinacji. Jego niepowodzenie dla obu mogło się skończyć tragicznie, ale gra była warta świeczki. Wolność jest skarbem, wartym każdego poświęcenia.

Od samego początku Lubna miała pomysł, by zeswatać Hayat z Muradem. Wiedziała, że Hayat bardzo go lubi i na pewno się z nim dogada. Wiedziała też, że Murad raczej nie będzie chciał się ożenić z żadną kobietą, bo nie miała wątpliwości, że jest gejem. Ale była też pewna, że prędzej czy później zostanie do tego zmuszony. Hayat ze swoją tajemnicą była dla niego partnerką doskonałą. Mogli pomóc sobie nawzajem, a z czasem wyjechać z tego kraju wspólnie i żyć w zgodzie jako małżeństwo lub nie. Zostając mężem Hayat, Murad stawał się jej prawnym opiekunem. To on decydował o tym, czy może

wyjechać z ojczyzny. Dzięki temu jej córka wyzwoliłaby się spod władzy swojego ojca i sterującego nim dziadka.

Kiedy Lubna spotkała się z Sarą, wyłożyła karty na stół, ale zataiła fakt, że jej córka jest w ciąży. To byłby kiepski punkt wyjścia do negocjacji, a rozmowy o małżeństwie dzieci zawsze są dla obu stron przeciąganiem liny, sportem narodowym Saudyjczyków, w którym mężczyźni z reguły używają siły pieniądza, a kobiety – siły intelektu.

– Hayat od dawna kochała się w waszym Muradzie – zaczęła Lubna. – Jakże wspólnie byłoby, gdyby połączyła ich miłość z dziecięcych lat.

– Oj, lepiej nie mów o miłości głośno, bo mój Ahmed uważa, że to w małżeństwie rzecz zbędna. Nie raz mi powiedział, że to zawracanie głowy, które tylko rozum odbiera – odpowiedziała Sara bez cienia goryczy; brzmiało to tak, jakby opowiadała anegdotę.

– Romantycznie – skwitowała Lubna.

– Fakt, romantyczny to on nie jest, ale gdybyśmy poślubiły naszych mężów dla romansu, pewnie obie nadal byłybyśmy bezdzietnymi pannami – zaśmiała się Sara.

– Ja poślubiłam Hafiza z miłości... – zaznaczyła Lubna.

– To współczuję. Zresztą sama widzisz, jak na tym wyszłaś...

Gdy Lubna zgromiła Sarę wzrokiem, ta natychmiast się zreflektowała.

– Przepraszam, nie chciałam cię urazić... Ale lepiej nie rozmawiajmy o naszych mężach. Pomówmy o przyszłości.

Lubna nie mogła się obrazić. Miała do załatwienia bardzo ważną sprawę, więc chętnie puściła uwagę Sary w niepamięć.

– Czy macie już na oku kandydatkę na żonę dla Murada? – próbowała skierować rozmowę na właściwe tory.

Sara jednak nie była pewna, czy przypadkiem nie jest to rewanż za jej ciętą uwagę. Wiedziała, że w rodzinie robione są zakłady o to, czy Murad kiedykolwiek się ożeni, a jeśli do tego dojdzie, czy będzie to spektakularną kompromitacją. Miała do wyboru – grać trudną do zdobycia albo spróbować zbudować sojusz z Lubną. Wybrała kompromis.

– Kręci się koło nas kilka rodzin. Wiesz, Murad jest bardzo przystojny, a do tego jest przecież księciem...

Lubna wyczuła lekki fałsz w głosie Sary – ta nigdy nie była dobrą aktorką – ale postanowiła udawać, że jej wierzy.

– Murad faktycznie wyrósł na wspólnego młodzieńca, dlatego z wielką radością widziałabym go w roli mojego zięcia. Ślub możemy im zorganizować nawet w przyszłym miesiącu...

Wyraźnie polechtana komplementem, Sara szybko zrobiła się podejrziwa.

– A skąd ten pośpiech?

Lubna spodziewała się tego pytania i przygotowała się na nie. Zasłoniła twarz alabastrowymi dłońmi, po czym rozplakała się rzewnie. Sara natychmiast zaczęła ją pocieszać, choć jednocześnie nie mogła się doczekać, aż pozna tajemnicę, jaka się kryje za jej łzami.

– Co cię trapi? Powiedz, razem na pewno temu zaradzimy...

Lubna potrzebowała chwili, by się uspokoić, bo doskonale wczuła się w rolę.

– Od kiedy Hayat wróciła do domu, towarzyszy mi poczucie, że ją tracę – wyznała w końcu. – Byłyśmy na wspólnej pielgrzymce i miałam nadzieję, że to ją uspokoi, ale widać w niej taki straszny bunt. Zakrywa się od stóp do głów, nawet będąc wśród swoich. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdybym nie wiedziała, że robi to na złość. Jej nie chodzi o Boga, ona oddała się od nas. Chciałabym, by wyszła za mąż za dobrego chłopaka, który zmieni jej podejście do świata i uchroni ją przed jakimś strasznym życiowym błędem...

Lubna odegrała tę scenę tak wiarygodnie, że Sara nie miała żadnych wątpliwości co do szczerości jej obaw. Mało tego – natychmiast obiecała, że zrobi wszystko, by połączyć Hayat i Murada.

– Teraz rozumiem, skąd ten pośpiech. Wygląda na to, że nie mamy chwili do stracenia i powinniśmy rozpocząć przygotowania już dzisiaj! – powiedziała z werwą.

– Pozostaje nam jeszcze przekonać mężów. No i samych młodych – przypomniała Lubna.

– Jestem pewna, że wiesz, jak to zrobić. Ja na swoich chłopaków mam sposoby – rzuciła Sara z szerokim uśmiechem.

Pierwsza trudna bitwa tej kampanii była za Lubną – i odniosła w niej pełny sukces. Nadal jednak musiała bardzo uważać, by sekret Hayat nie wyszedł na jaw. Żadna saudyjska matka nie pobłogosławiłaby ślubu swojego syna z ciężarną dziewczyną. Trzeba było zrobić wszystko, by Murad i jego rodzice nie tylko nie dowiedzieli się o ciąży, ale też za kilka miesięcy przyjęli nowo narodzone dziecko jako swojego syna i wnuka.

Lubna się modliła, żeby dziecko swoim wyglądem nie zdradziło podstępny już na samym początku, chociaż miała nadzieję, że jeśli nawet będzie podobne do swojego biologicznego ojca, nie wzbudzi podejrzeń. Ander miał kruczoczarne włosy i ciemne oczy – to wystarczyło. Ale mimo że wszystko zdawało się układać pomyślnie, Lubna miała świadomość, że kolejne miesiące będą dla niej czasem pełnym napięcia i skrywanego strachu.

Po weselu młodzi w milczeniu dotarli do willi, w której mieli zamieszkać już jako mąż i żona. Oboje czuli się w tych rolach nieswojo. Oboje nie byli na nie gotowi i okropnie swoją obecnością skrępowani. Kiedy dotarli na miejsce, służba, dokładnie poinstruowana o procedurach, rozdzieliła ich, prowadząc do osobnych kwater. Jakby byli gośćmi jakiegoś dziwnego hotelu.

Hayat zareagowała pierwsza.

– Murad! – zawołała do oddalającego się w towarzystwie służących męża, a gdy ten się odwrócił, dodała: – Powinniśmy porozmawiać. Musimy...

– Też tak myślę – zgodził się Murad z nieśmiałym uśmiechem.

Natychmiast odprawili służbę, prosząc jedynie o wskazanie ich wspólnej sypialni. Gdy zamknęły się jej drzwi, Hayat podeszła do męża, zrywając z głowy *hidżab*, i pocałowała go w policzek.

– Pamiętasz mnie? – spytała.

– No pewnie. Uwielbiałem się z tobą bawić. Ty jedyna nigdy nie wysyłałaś mnie do chłopaków.

– Bo ja też bardzo lubiłam się z tobą bawić. Było mi przykro, że nas rozdzielono. Jak zniosłeś ten cały czas...?

– Jakoś dałem radę. Nauczyłem się bić! – zaśmiał się Murad.

– Serio? Nie mogę sobie wyobrazić, jak krzywdzisz choćby muchę...

– Bo nie po to zacząłem bokсовать.

Z ich twarzy zniknęły uśmiechy. Do Murada wróciły bolesne wspomnienia z dzieciństwa, maltretowanie i myśli samobójcze, a Hayat zrozumiała, że jej mąż uczył się zadawania ciosów nie po to, by krzywdzić, ale po to, by bronić się przed tymi, którzy krzywdzą.

– Nigdy nie myślałam, że zostanę twoją żoną, chociaż wiele razy się tak bawiliśmy...

– Pamiętam! To były takie głupoty... – zaśmiał się Murad.

– Ty też chciałeś mieć męża, jak my wszystkie – przypomniała mu Hayat, ścierając uśmiech z jego twarzy.

W oczach chłopaka pojawił się strach.

– Nadal chciałbyś go mieć, prawda? – zapytała cicho Hayat.

Murad milczał. Pragnął zaprzeczyć, ale wiedział, że po raz pierwszy od czasu, kiedy zrozumiał, kim jest, ma możliwość powiedzieć o tym głośno. Że ma przed sobą kogoś, komu może zaufać.

– Przepraszam, że nie będę potrafił być mężem, na jakiego zasługujesz... – powiedział w końcu ze łzami w oczach.

– Jesteś dla mnie wymarzonym mężem, bo jesteś moim przyjacielem – odpowiedziała Hayat, znowu całując go w policzek. – Ja też chciałabym ci zdradzić swoją tajemnicę, ale wiem, że może to być dla ciebie ogromny szok. Mam jednak nadzieję, że nikomu o tym nie powiesz, bo jeśli to się wyda, prawdopodobnie zniknę bez wieści.

– Przerażasz mnie... – rzekł Murad, wyraźnie wystraszony. – O co chodzi?

Hayat ujęła jego dłoń i położyła na swoim brzuchu. Chłopak odruchowo się wycofał, zaraz jednak ponownie położył na nim rękę.

– Naprawdę? – spytał z niekłamana radością. – Będziemy mieli dziecko?

Widząc jego reakcję, Hayat się rozplakała.

– Jeśli tylko będziesz chciał zostać ojcem tego malucha...

Murad szalał ze szczęścia, choć nigdy wcześniej nie przyszło mu nawet na myśl, że miałby zostać ojcem.

– Ale powiedz... jak to się stało?

– Mam ci opowiedzieć, jak się robi dzieci? – zażartowała Hayat, ocierając łzy.

– Nie, to wiem. Ale... kto jest ojcem?

– Ty!

– Biologicznym ojcem.

– Chłopak, w którym się zakochałam.

– Przystojny?

– Bardzo.

– Nadal go kochasz?

– Tak, ale nie wiem, czy on chce mnie jeszcze znać. Wyjechałam bez słowa, to nawet dla mnie było zaskoczenie, nie zdążyliśmy się pożegnać. Od tego czasu nie mamy kontaktu.

– To strasznie smutne, ale jak będziesz chciała, pojedziemy do niego.

– Czy mój mąż chce mnie zabrać do mojego dawnego chłopaka? – spytała ucieszona.

– Wiem, to takie niesaudyjskie, ale skoro teraz to ja jestem twoim opiekunem, mogę ci dać wolność. Oboje możemy ją sobie dać.

I tak właśnie zawiązał się kolejny pakt, który sprawił, że mimo przeciwności losu, dawnych cierpień i sporych niebezpieczeństw Hayat i Murad mieli szansę na szczęście. A gdy na świecie pojawił się mały Ibrahim i byli już w komplecie, wyjechali z Królestwa, które nie jest przychylnie ludziorom takim jak oni.

CZEŚĆ II

ROZDZIAŁ 7

Oud

Kiedy ja dotarłam do Rijadu, Hayat znowu mieszkała w Arabii Saudyjskiej. Przynajmniej tymczasowo. To tam się poznałyśmy. Dopiero po latach zrozumiałam, jak wielkie szczęście w całym swoim nieszczęściu miałam, że trafiłam właśnie na nią. Ona doskonale mnie rozumiała. Nie tylko dlatego, że dobrze odnajdowała się w europejskiej kulturze i wiedziała, jak dziwne mogą być dla mnie niektóre saudyjskie zasady, których teraz nagle musiałam przestrzegać. Również dlatego, że tak jak ja zupełnie nie pasowała do tego świata. Wielokrotnie pytała mnie, dlaczego z własnej woli się na to decyduję, ale gdy próbowałam dopytywać, czym jest „to”, zawsze mnie zbywała. Jakby nie chciała powiedzieć niczego wprost. Zresztą te pytania i tak przelatywały obok moich uszu, bo właśnie po uszy byłam zakochana.

Wtedy nic nie mogło zmienić mojego zdania, choć jeszcze na pokładzie prywatnego odrzutowca, którym leciałam do kraju mojego przyszłego męża, przeżyłam pierwszy szok. To wtedy zrozumiałam, że połączenie moich dotychczasowych przyzwyczajęń i arabskiej kultury będzie rodziło sporo problemów.

Nigdy wcześniej nie leciałam prywatnym samolotem. Nie leciałam nawet żadną klasą lepszą od ekonomicznej w samolotach rejsowych. Nie było mnie na to stać, a nawet jeśli, miałabym wątpliwości, czy warto płacić kilkanaście razy więcej za bilet w tym samym samolocie. To nie tak, że luksus mi nie imponował, po prostu zawsze miałam do niego praktyczne podejście i wydawanie pieniędzy na rzeczy zbędne uważałam za pajacowanie. Jak się okazało, właśnie trafiłam do cyrku, w którym pajacowanie było na porządku dziennym.

Prywatny samolot, którym Badr przyleciał po mnie do Paryża, żebym mogła spędzić z moimi rodzicami jeszcze kilka dni przed wyjazdem, wtedy wydawał mi się całkiem praktycznym rozwiązaniem. I ciągle nie mogłam uwierzyć, że to właśnie ja jestem na jego pokładzie gościem honorowym. Jeden z pracowników Badra, ubrany w elegancki garnitur, raczej niski i powściągliwy w mimice mężczyzna, odebrał mnie wprost z samochodu, którym przywieziono mnie na lotnisko. Powiedział, że mam się nie martwić o swoje bagaże i iść za nim. Nigdy nie byłam na tym lotnisku. Było przeznaczone tylko dla prywatnych samolotów, więc mogłabym się tu znaleźć jedynie przypadkiem albo tak jak teraz... jako przysłała arabska księżniczka.

Odprawa nie wyglądała tak jak na lotniskach, do jakich byłam przyzwyczajona. Na de Gaulle nie podają szampana, prosząc o paszport. Zaraz po wyjściu z eleganckiej hali odlotów zaproszono mnie do białej limuzyny, która wyglądała, jakby ktoś wyciął ją z teledysku jakiegoś obwieszzonego złotem rapera. Była tandetna, ale w jej wnętrzu pachniało wybornie. Próbowałam rozpoznać ten zapach i tak się na tym skupiłam, że nawet nie zauważyłam, kiedy podjechała pod schody lśniącego białą odrzutowca, którego kadłub ozdobiony był czarnym pasem z dwiema złotymi lamówkami. Wyglądał imponująco, ale jeszcze większe wrażenie robiło jego wnętrze. Niczym nie przypominało ciasnej kabiny samolotów, w których upchano jak najwięcej niewygodnych siedzisk. Wnętrze tego samolotu skrywało elegancki salon. Wszystkie fotele i sofy były obite kremową skórą, doskonale współgrającą z elementami hebanowego drewna. Podłoga wyłożona była miękką wykładziną w szlachetnym bordowym kolorze, a na stolikach stały nieprawdopodobne kompozycje z białych orchidei.

Byłam pod niesamowitym wrażeniem. Nigdy w życiu nie znalazłam się w tak eleganckim miejscu. Poza mną i mężczyzną, który mnie tam przyprowadził, w samolocie nie było nikogo. Nawet witających zwykle pasażerów stewardes.

Mężczyzna poprosił, bym usiadła i zaczekała.

– Mamy lekkie opóźnienie, ale nadrobimy w locie – obiecał.

Nie wiedziałam, że prywatny samolot może mieć opóźnienie.

Usiadłam i nie mając nic innego do roboty, zaczęłam analizować każdy element tego niesamowitego wnętrza. Po chwili okazało się, że na pokładzie jednak nie jestem sama. Przez tylne drzwi

w salonce weszła elegancka szczupła stewardesa, która perfekcyjnym francuskim zapytała, czy chciałabym się czegoś napić. Poprosiłam o wodę. Wprawdzie szampan wydawał się zdecydowanie bardziej adekwatnym do okoliczności wyborem, ale obawiałam się, że nawet jeden łyk alkoholu w tym natłoku emocji zwali mnie z nóg.

Minęło może pół godziny. Zdażyłam się już przyzwyczaić do lotniskowego szumu i poddałam się pewnej monotonii, gdy z letargu wyrwał mnie odgłos kroków dochodzący ze schodów odrzutowca i rozmowy w języku, którego nie znałam, jednak nie miałam wątpliwości, że to arabski.

Badr. Już tu jest.

Poczułam ogromną ekscytację. Zupełnie inną niż ta, która towarzyszyła naszym randkom. Trudno to opisać, ale to był rodzaj skrępowania, jaki można odczuć podczas spotkania z kimś bardzo ważnym. Moje emocje były jakby oficjalne, a nie romantyczne. Pochłonęły mnie do tego stopnia, że gdy Badr wszedł do kabiny samolotu, odruchowo wstałam i ukloniłam się.

– Wow, tego się nie spodziewałem. Nieźle cię tu wyszkolili! – zaśmiał się. – Mnie nie musisz się kłaniać.

Podszedł do mnie, objął mnie w pół i pocałował namiętnie, nie zważając na to, że towarzyszyło mu kilku mężczyzn, których nie widziałam nigdy wcześniej. Oni zresztą nie byli za bardzo zainteresowani tą romantyczną sceną. Zręcznie nas ominęli i zajęli miejsca, które wyraźnie były im przypisane.

Badr nie wypuszczał mnie z objęć przez długi czas. Znowu był tym wspaniałym, romantycznym chłopakiem, którego poznałam, nie mając pojęcia, kim tak naprawdę jest. Wyglądał tak dostojnie, ubrany w elegancki, idealnie skrojony garnitur i lśniące czarne mokasyny. Widziałam go już w tej wersji na kilku randkach, ale do tej pory nigdy nie miał na głowie chusty. Teraz jego włosy przykrywała biała, nonszalancko zawiązana *ghutra* z zaciśniętym na niej aegalem.

Nauczyłam się tych nazw dopiero w trakcie tamtego lotu. Zresztą wielu innych też. To był bardzo intensywny czas. Byłam przerażona tym, co mnie czeka, gdy dotrzemy na miejsce, ale przekuwałam strach w ekscytację i ciekawość. Zamęczałam Badra pytaniami, jednak największą lekcję przygotował dla mnie on sam. I to był pierwszy raz, kiedy poczułam, że nie nad wszystkim mam kontrolę, że w moim życiu nadchodzi czas wielu zmian.

Kiedy kapitan ogłosił, że do końca naszego lotu pozostała godzina, Badr uprzedził mnie, że powinnam się przygotować. Nie wiedziałam, co ma na myśli, ale nie przejęłam się jakoś szczególnie. Każdy pasażer przecież przygotowuje się do lądowania. W tym przypadku jednak „przygotowanie” oznaczało coś zupełnie innego.

W kabinie pojawiła się służąca, której też wcześniej nie widziałam; zaczęłam się zastanawiać, ile jeszcze osób ukrywa się w tym samolocie.

– To jest Sati, pomoże ci się ubrać – oznajmił Badr.

Byłam ubrana. Postanowiłam jednak nie zadawać pytań, dopóki się nie dowiem, o co w tym wszystkim chodzi.

Sati, starsza, drobna Azjatka, uśmiechnęła się do mnie i wskazała drzwi w tyle salonki, zapraszając, bym ruszyła za nią. Zabrała mnie do niewielkiej kabiny, w której natychmiast podała mi wieszak ze zwieszoną z niego czarną tkaniną.

– Załóż – powiedziała z uśmiechem.

Okazało się, że tkanina to przepastny czarny płaszcz, który dobrze znałam z obserwacji tradycyjnie ubranych Arabek z ulic Paryża czy Manchesteru, ale nigdy nie miałam okazji przyjrzeć się mu z bliska, dotknąć, a tym bardziej założyć. Sati pomogła mi w tym, bo najwyraźniej robiłam to bardzo nieporadnie. Przyznam, że *abaja* – tego słowa też wcześniej nie znałam – nawet mi się podobała. Jakość tkaniny, z jakiej była wykonana, świadczyła o jej cenie i nie miałam wątpliwości, że to najdroższa rzecz, jaką kiedykolwiek na sobie miałam.

Trochę mniej mi się podobało, gdy Sati zaczęła mnie instruować, jak założyć *hidżab*. Nie chciałam go zakładać.

– To mi wystarczy – zapewniłam, w swojej naiwności wskazując na *abaję*.

– Nie wystarczy. Załóż – naciskała Sati, niemal na siłę wciskając mi na głowę czepek.

Poddałam się, nie chcąc utrudniać jej zadania. Chwilę później moje włosy i twarz były skrzętnie ukryte pod czarnym welonem, bo na *hidżabie* się nie skończyło.

Wróciłam do salonki ze skwaszoną miną, której i tak nikt nie widział, bo przecież byłam zasłonięta woalem. Na mój widok Badr wstał, chwając moje piękno. Myślałam, że żartuje, ale on był szczerze zachwycony.

– Badr, nie umawialiśmy się na to... – powiedziałam rozgoryczona. – Nie mówiłeś mi, że będę musiała to nosić.

– Takie jest prawo w moim kraju. Ale czyż to nie jest cudowne, że zachowasz swoje piękno tylko dla mnie? – powiedział pełen entuzjazmu.

To był pierwszy raz, kiedy zobaczyłam w nim zachwyt nad arabskimi zwyczajami. Do tej pory zawsze wydawał mi się na wskroś europejski. Nie wiedziałam, czy to wpływ saudyjskiej przestrzeni powietrznej, w której właśnie się znaleźliśmy, czy po prostu wcześniej doskonale się maskował, ale to był pierwszy moment, kiedy poważnie się zaniepokoiłam. Czy mężczyzna, którego zgodziłam się poślubić, faktycznie jest tym, za kogo do tej pory go uważałam?

– Przecież widziało mnie w życiu tysiące mężczyzn! I żaden nie skradł mojej urody. Jest twoja – próbowałam argumentować, ale on patrzył na mnie tylko z pobłażliwym uśmiechem, jakby zupełnie nie rozumiał tego, co mówię. – W końcu ci mężczyźni, którzy z nami lecą, też mnie widzieli, a teraz nagle nie mogą...

– Kiedy byliśmy w twoim kraju, ja szanowałam jego zwyczaje – przemówił wreszcie mój narzeczony. – Proszę, kochanie, uszanuj zwyczaje mojego. Jesteś moim gościem i bardzo chciałbym pokazać ci naszą kulturę, ale musisz mi na to pozwolić.

Ten argument kompletnie zbił mnie z tropu. Nagle poczułam się winna swojemu wybuchowi. Miał rację. Skoro zdecydowałam się na wyjazd do jego kraju, muszę uszanować jego prawa, nawet jeśli bardzo mi się nie podobają.

Odsłoniłam twarz, tak bym mogła go pocałować.

– Przepraszam, kochany – wyszeptalam.

Kapitan zdążył już ogłosić przygotowanie do lądowania. Ogarnęła mnie jeszcze większa ekscytacja, ale strach wbijał mnie w fotel. Byłam zachwycona perspektywą poznania nowego kraju, wtedy jeszcze zupełnie zamkniętego dla turystów i urlopowiczów, ale jednocześnie bardzo się tego zamknięcia bałam.

Zapach powietrza, które wpadło do kabiny samolotu chwilę po tym, jak załoga otworzyła drzwi, na zawsze pozostanie moim wspomnieniem. Takim z pozoru ulotnym, nieuchwytnym, ale niezwykle silnym. Nigdzie indziej powietrze tak nie pachnie. Nigdy wcześniej nie znałam zapachu piasku, który podgrzany i miotany wiatrem nabiera niezwykłego aromatu. Mimo wielu prób nigdy nie udało mi się go opisać tak, by oddać sprawiedliwość tej woni. Prawdziwie znają ją tylko ci, którzy mieli okazję ją poczuć, choć jestem przekonana, że większość ludzi w ogóle nie zwraca na to uwagi. Ja zachowywałam się wtedy jak nadpobudliwe i przeczulone na wszelkie bodźce dziecko wszystkimi zmysłami chłonące otaczającą mnie rzeczywistość.

Nie było mi dane napawać się zbyt długo tymi wrażeniami, bo chwilę po wylądowaniu poproszono mnie, bym przesiadła się do limuzyny. Kiedy wyszłam z samolotu, moim oczom ukazał się niemal księżycowy krajobraz. Ogromna połać wybetonowanej płyty lotniska i majaczące w rozedrganym gorącym powietrzu ciemne pasma w oddali, wyglądające jak wzgórze.

Zapach w limuzynie był mi już znajomy, pamiętałam go z lotniska w Paryżu. Zupełnie wyparł ten, który przywitał mnie w Arabii Saudyjskiej. Symbolizował luksus. To była zapowiedź tego, co było mi dane obserwować w kolejnych latach. Różnicy pomiędzy dwoma światami. Oba pachniały zupełnie inaczej, nigdy się nie mieszały. Jeden był niebezpieczny i dostępny dla wszystkich, drugi – ściśle chroniony i przeznaczony tylko dla wybranych. Zastanawiałam się, do którego z nich należę. Jako obca w tym kraju, nie miałam prawa do żadnego, choć wydawać by się mogło, że oba stoją przede mną otworem.

– To *oud* – powiedział Badr z uśmiechem, widząc, jak niezbyt elegancko próbuję wdychać zapach z limuzyny. – Płynne złoto.

Mogłam się tego spodziewać. Gdybym miała zgadywać, jak pachnie złoto, właśnie tak bym sobie wyobrażała jego zapach.

Ceniony za ciepłą słodycz magicznego połączenia nut drzewnych i balsamicznych *oud* jest ściśle związany z kulturą arabską. Ten drogocenny produkt pochodzi z drzewa agarowego. Choć dziś najbardziej kojarzy się z Bliskim Wschodem, rozpowszechniony i traktowany z niezwykłym namaszczeniem jest w całej Azji, zwłaszcza w Wietnamie, skąd oryginalnie pochodzi.

Faktycznie nazywany jest płynnym złotem ze względu na swoją często niebotyczną cenę. *Oud* wspomniany jest w Koranie i hadisach jako ulubiony kosmetyk proroka Mahometa, a przez to wskazany każdemu pobożnemu muzułmaninowi.

*Prorok powiedział: „Ktokolwiek kąpie się w piątek, oczyszcza się tak bardzo, jak tylko może, a następnie używa (do włosów) oleju lub perfumuje się zapachem swojego domu, a następnie przystępuje do modlitwy džummuah i nie rozdziela dwóch osób siedzących razem (w meczecie), następnie modli się tyle, ile (Allah) dla niego napisał, a następnie milczy, podczas gdy imam dostarcza chutbę, jego grzechy pomiędzy terażniejszością a ostatnim piątkiem zostaną wybaczone”*⁴.

Jest więc *oud* bardzo ważnym elementem religijnych rytuałów. Na co dzień większości praktykujących muzułmanów towarzyszy pod postacią *bakhoor*. To aromatyczne zrebki *oud*, czyli drewna agarowego, nasączone olejkami zapachowymi i zmieszane z piżmem, olejkami kwiatowymi, drzewem sandałowym, żywicami i innymi naturalnymi składnikami. Dym niesiony przez *bakhoor* przywiera do przedmiotów, aromatyzuje przestrzeń, a zapach rozwija się z czasem. *Bakhoor* jest tradycyjnie spalany w kadzielnicy zwanej *mabkhara*.

Oud ma dla muzułmanów wyjątkowe znaczenie. Wielu z nich przypisuje mu właściwości lecznicze. Ma łagodzić ból, działać przeciwzapalnie, zwalczać ból głowy i zapalenie stawów. Uważa się też, że rozcieńczony olej wmasowany w skórę może pomóc w wyeliminowaniu toksyn z organizmu.

Są tacy, którzy wierzą, że *oud* ma moc odpędzania złych duchów. To zapewne dlatego *oud* jest nieodzowną częścią rytuału oczyszczenia w *Al Haram* – najświętszym miejscu na ziemi dla wszystkich muzułmanów – w Mekce, gdzie znajduje się Kaaba.

Sama Kaaba dwa razy do roku jest rytualnie oczyszczana. Najważniejszą częścią tej ceremonii religijnej jest użycie białego ręcznika nasączonego olejem *oud*, różą, kadzidłem i olejkiem piżmowym do czyszczenia wewnętrznych ścian Kaaby.

W tradycji Półwyspu Arabskiego, a zwłaszcza w kulturze Beduinów, pali się drewno agarowe lub *bakhoor*, gdy przychodzą goście, a następnie podaje im wonny dym, by okadzili nim swoje włosy, ubrania i ręce. Jest to traktowane z równym namaszczeniem co obowiązkowe serwowanie kawy i daktyli.

Badr złapał moją dłoń i trzymał ją mocno, jakby wiedział, że czeka mnie jazda bez trzymanki. I to bynajmniej nie ze względu na prędkość, z jaką pędziła pustynną autostradą nasza limuzyna – zdawał sobie sprawę, że czeka mnie spory szok, gdy tylko wjedziemy do miasta.

Rijad nie przypominał żadnego z krajobrazów, jakie znałam. Przedmieścia powitały nas niskimi zabudowaniami. Żaden z budynków nie przekraczał jednego piętra. Większość pomalowana była na biało i miała brązowe okiennice, a prowadziły do nich drzwi w tym samym kolorze. Zarówno okna, jak i drzwi były pozamykane i zaryglowane, jakby nikt nie mieszkał w środku. Nie widziałam ludzi na ulicach. Nikt nie spacerował, nie przechodził, nie przebiegał. Przedziwne, opuszczone miasto. Nawet samotne palmy – niektóre powalone, inne wciąż jeszcze stojące resztką sił – sprawiały wrażenie, jakby to miejsce dotknął jakiś kataklizm.

– Co tu się stało? – spytałam zaniepokojona.

Badr zareagował gromkim śmiechem.

– Nic. Co się miało stać?

– Wygląda, jakby miasto dotknęła jakaś plaga...

– To tylko przedmieścia Rijadu. A jedyna plaga, jaka dotyka jego mieszkańców o tej porze roku, to niemiłosierny skwar. Dlatego wszystko jest pozamykane. Ludzie zaczną wychodzić na zewnątrz bliżej zachodu słońca.

Jechaliśmy dalej w kierunku centrum, a z każdym metrem krajobraz miasta się zmieniał. Robił

się bardziej wielkowiejski, choć wciąż daleki od mojego wyobrażenia aglomeracji. Przez całe swoje życie nie byłam nigdzie poza Europą, więc wszystko mnie tu dziwiło. Trudno mi było to ocenić. Nie wiedziałam, czy mi się tu podoba, czy nie. Czułam po prostu wielkie zdziwienie – jak dziecko, które poznaje świat w nieustannym zachwycie.

I tak jak różni się powietrze biednego Rijadu od tego luksusowego, perfumowanego drzewem agarowym, tak i mnie czekało zderzenie tych dwóch obrazów. Nawet się nie spostrzegłam, gdy nagle wjechaliśmy do jakiegoś absolutnie nieprawdopodobnego, tętniącego zielenią parku. Zmiana widoków była tak diametralna, że zaparło mi dech w piersi – co chwilę wydawałam jedynie pełne entuzjazmu okrzyki.

Skąd w tym pustynnym mieście taka zieleń? Była naprawdę zachwycająca i niezwykle kojąca dla oczu.

– *Marhaba habibti*, witaj w swoim nowym domu – powiedział czule Badr, całując mnie w usta.

Kiedy się od nich oderwał, samochód stanął, a my znaleźliśmy się pod przepiękną, lśniąca białą willą. Oni tu chyba bardzo lubią białe domy, pomyślałam. Większość budynków miała biały albo piaskowy kolor. Wyglądały przepięknie w palącym słońcu. Jego promienie były prawdziwą ozdobą nawet dla tych starych i sfatygowanych. Ta willa jednak nie potrzebowała takiej dekoracji.

Wysiadłam z samochodu absolutnie oczarowana. Kiedy dziś przypominam sobie te pierwsze chwile w Rijadzie, nie mam wątpliwości, że dla postronnego obserwatora wyglądałam jak mała dziewczynka piszcząca na widok upragnionego prezentu. Uspokoiliam się nieco, dopiero widząc minę Badra. Dookoła nas stało kilku mężczyzn w białych *thobach*, byli też tacy w garniturach, którzy bez wątpienia należeli do ochrony. Nieco bliżej wejścia do willi pod ścianą stała grupa młodych dziewcząt, Azjatek. Domyśliłam się, że są służącymi.

– Sati się tobą zajmie – rzucił Badr oficjalnym tonem, który prawdopodobnie miał mnie przywołać do porządku.

I spełnił swoją funkcję. Widziałam go takiego po raz pierwszy. Nie był groźny, ale zrobił się chłodny. Szybko zrozumiałam, że to nie miejsce na rozmowę na ten temat ani na wylewność. Może właśnie na tym polegał protokół, którego dopiero miałam się nauczyć.

Sati, której nie widziałam od czasu, gdy zacisnęła na mojej głowie *hidżab*, pojawiła się przede mną zupełnie znikąd i gestem zaprosiła, bym poszła za nią.

Wnętrze pałacu przywitało mnie kojącym chłodem i znajomym już zapachem. Woń *oud* unosiła się wszędzie i po raz pierwszy pomyślałam, że opowieść o jego magicznych właściwościach wcale nie musi być przesadzona. To może zabrzmieć dziwnie, ale faktycznie czułam jego moc. A może było to obliczone na ten efekt? Może właśnie tak miałam się czuć?

Sati prowadziła mnie przez chłodne, tonące w półmroku korytarze do pokoju, który dla odmiany był rozświetlony oślepiającym słonecznym światłem. Zupełnie jakby ktoś specjalnie na moje powitanie skierował promienie słońca na ogromne, zwieńczone charakterystycznymi łamanymi łukami okna. Widząc moją reakcję na oślepiające światło, Sati natychmiast za pomocą pilota zasłoniła rolety. Teraz wreszcie mogłam przyjrzeć się temu wnętrzu bez ryzyka, że stracę wzrok.

To był nieprawdopodobnie zaprojektowany apartament składający się z sypialni, salonu, garderoby i łazienki. Wszystkie te pomieszczenia urządzone były z ogromnym smakiem. Można w nich było dostrzec fascynację eleganckimi włoskimi wnętrzami, choć nie brakowało elementów przypominających o tym, w jakiej części świata się znajdujemy. Jedno było pewne: nic w tym miejscu nie było tanią imitacją. Złoto było złotem, marmur marmurem, heban hebanem.

Dużo czasu zajęło mi zwiedzanie apartamentu i podziwianie detali. A tak się złożyło, że czasu miałam sporo. Apartament stał się centrum mojego wszechświata na kolejny tydzień. Wcale jednak mnie to nie cieszyło. To właśnie wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że może popełniłam błąd. Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Ta świadomość docierała do mnie stopniowo, ale czułam, że jestem w pułapce bez wyjścia.

Nie, nikt mnie tam nie więził. Mogłam wychodzić, kiedy chciałam, o ile byłam zasłonięta i nie opuszczałam willi oraz przylegającego do niej ogrodu. Ta pułapka miała zupełnie inny wymiar. Ja po prostu beznadziejnie i bez reszty zakochałam się w mężczyźnie, dla którego tam pojechałam. I nic innego

się dla mnie nie liczyło. Niepewność pojawiła się dopiero wtedy, gdy ten mężczyzna zniknął, a ja przez kolejny tydzień nie wiedziałam, co się z nim stało.

Nie miałam saudyjskiego telefonu. Moja komórka tam nie działała. Nie mogłam tak po prostu zadzwonić do Badra i spytać, kiedy wróci. Na to pytanie nie chciał mi odpowiedzieć nikt ze służby, a tylko ich spotykałam w tym czasie.

Zastanawiałam się, czy to celowe działanie, czy tylko przypadek. Chciałam wierzyć, że to drugie, ale i tak wolałabym, by narzeczony mnie uprzedził, że nagle przestaniemy się widywać. Nie było tak, że nie miałam żadnych zajęć. Wręcz przeciwnie – służba starała się zapełniać mi czas w sposób, w jaki nigdy wcześniej go nie spędzałam. Specjalnie dla mnie do pałacu sprowadzono fryzjera, który najpierw – bez większych konsultacji ze mną – skrócił lekko moje włosy, ale tak, że wyglądały o niebo lepiej. Zwłaszcza po tym, jak przeszły bardzo intensywną pielęgnację. Wszystko to odbyło się w niemal zupełnym milczeniu, bo gdy próbowałam z nim porozmawiać, po prostu mnie zbywał uśmiechem.

Były też zakupy bez wychodzenia z willi. Dostałam ogromną liczbę katalogów, z których miałam wybrać sobie ubrania. Bardzo mnie to zaskoczyło, ale szybko wpadłam w szał zakupów. Następnego dnia zostałam zaproszona do jednej z sal, w której stało kilkanaście długich wieszaków z setkami kreacji. Może trochę poszalałam, ale na pewno nie zamawiałam ich aż tylu!

Tym razem wreszcie pojawili się też ludzie, którzy chcieli ze mną rozmawiać. Pewien bardzo elegancki mężczyzna zapewnił mnie, że spełni wszystkie moje życzenia dotyczące garderoby. W przymiarkach pomagały mi dwie zręczne i również bardzo eleganckie dziewczyny ubrane w doskonale skrojone czarne marynarki. Jedyne, co odróżniało je od budzących zazdrość ekspedientek w Harvey Nichols, to modnie upięte *hidżaby* i długie czarne spódnice.

Rzuciłam się w wir przymierzania. Byłam tak znudzona, że robiłam to bardziej dla zabicia czasu. Przynajmniej miałam kontakt z ludźmi, którzy patrzyli mi prosto w oczy, a nie byli zgięci w pół.

Nie spodziewałam się, że wkrótce do moich asystentek dołączy jeszcze jedna, doskonale obeznana w trendach i markach.

– Ty musisz być Emily – usłyszałam od wchodzącej do sali kobiety do złudzenia przypominającej Kim Kardashian, tyle że w arabskiej wersji.

Nie, ona nie była okutana w czarne sukmany. Owszem, miała na sobie coś, co przypominało *abaję*, ale był to raczej rozpięty czarny płaszcz z szeroką lamówką zdobioną świecącymi ornamentami. Na głowie nie miała *hidżabu*, tylko luźno opadający kaptur. Przy każdym jej kroku pomiędzy połami płaszcza migały lakierowane beżowe szpilki. Mogłam tylko zgadywać, że mają czerwoną podeszwę charakterystyczną dla luksusowej marki. Rozsławione przez kultowy w tym czasie, choć oczywiście zakazany w Arabii Saudyjskiej, serial *Seks w wielkim mieście* buty Louboutin były marzeniem każdej fashionistki. Jakby tego wszystkiego było mało, kobieta miała na sobie świetnie dopasowany, również beżowy kostium. Idealnie zaprasowany kant obcisłych spodni wyznaczał kierunek jej pełnego gracji marszu, którego celem byłam ja.

W końcu stanęła ze mną twarzą w twarz i podała mi rękę.

– Jestem Hayat – powiedziała serdecznie. – A ty chyba masz zamiar wyjść za mojego głupiego brata. Jesteś tego pewna?

Zdawała się żartować, ale trafiła na moment, kiedy faktycznie niczego już nie byłam pewna.

– Chyba tak – odparłam nieco skrępowana. – Badr wiele mi o tobie opowiadał.

– Założę się, że nie wszystko. Ale nie ma tego złego, resztę opowiem ci osobiście. – Puściła do mnie oko. – A ta sukienka jest mega! Wyglądasz w niej naprawdę obłędnie. Widzę, że mój brat ma szczęście nie tylko do pięknych kobiet, ale też do takich, które mają dobry gust...

Hayat była jedną z tych dziewczyn, które w jednym zdaniu potrafiły przeskoczyć z tematu na temat kilka razy. Jej komplementy bardzo mi schlebiały, ale zdałam sobie sprawę, że Badr nigdy nie wspominał mi o żadnej swojej poprzedniej kobiecie. Kiedy go poznałam, miał trzydzieści lat, więc byłam raczej pewna, że nie jestem jego pierwszą, ale nie miałam okazji, by spytać go o żadną z moich poprzedniczek. To był dla mnie wyraźny sygnał, że Hayat jest osobą, z którą warto się zaprzyjaźnić. Była krytyczna wobec swojego brata, a ja miałam do tej pory okazję poznać go tylko na tyle, na ile mi pozwolił.

Pojawienie się Hayat odmieniło moje życie. Od tej pory spędzałyśmy ze sobą mnóstwo czasu i bardzo szybko się zaprzyjaźniłyśmy. Wyznała mi, że wreszcie ma siostrę, o której od lat marzyła, a ja zdałam sobie sprawę, że i ona wypełniła w moim życiu lukę po Eugène.

Hayat pokazała mi prawdziwą Arabię Saudyjską. Taką, jakiej kompletnie się nie spodziewałam. Szybko dostrzegłam, że pod tą twardą skorupą konserwatyzmu i religijnego reżimu żyją ludzie, którzy w swoich pragnieniach i marzeniach nie różnią się niczym od tych znanych mi z Europy. Tutaj młodzi też marzą o wolności, sukcesach, a przede wszystkim o miłości. I choć w tym czasie każdy jej nieprawomyślny przejaw był surowo karany przez policję religijną – nawet obchodzenie walentynek mogło skończyć się w więzieniu – znajdowali sposoby, by sobie radzić.

Jednym z pierwszych miejsc, do których zabrała mnie Hayat, była ulica Al Ulaya. Nie wiedziałam wiele o Arabii Saudyjskiej, ale byłam pewna, że kobiety nie mogą tam prowadzić samochodu. Tym bardziej się przeraziłam, kiedy Hayat, zupełnie nie zważając na ten zakaz, usiadła za kółkiem.

– Masz prawo jazdy? – spytałam z drżeniem.

– Oczywiście. Przecież nie wsiadłabym za kółko, gdybym go nie miała – odpowiedziała z uśmiechem, doskonale zdając sobie sprawę, dokąd prowadzi ta rozmowa.

– Ale przecież kobiety nie mogą...

– A zgadzasz się z tym? – weszła mi w słowo.

– Z czym?

– Że kobiety nie powinny mieć prawa do prowadzenia samochodu.

– Oczywiście, że nie! To strasznie głupie.

– No właśnie. Dlatego głupiemu prawu mówimy „nie”. Na szczęście to samo prawo, które zabrania nam prowadzenia samochodu, pozwala mieć dla bezpieczeństwa przyciemniane szyby. Poza tym mamy rejestrację dozwoloną wyłącznie dla członków rodziny królewskiej. Jesteśmy bezpieczne. A w razie czego powiedz, że cię porwałam i zmusiłam do jazdy ze mną. Unikniesz kłopotów.

Hayat zdawała się mieć odpowiedź na wszystko, nawet na pytania, których ja nie miałam śmiałości zadać.

4 Salman al-Farsi, 2:13:8.

ROZDZIAŁ 8

Wali

Zgodnie z instrukcją Hayat usiadłam z tyłu. To miało konkretny cel, choć początkowo nie wiedziałam jaki. Ruszyliśmy w kierunku centrum. Teraz, po zachodzie słońca, miasto jawiło mi się zupełnie inaczej, niż gdy widziałam je po raz pierwszy. Tętniące życiem i pełne gwaru, sprawiało wrażenie przyjaznego i zapraszającego do zabawy. To oczywiście było złudne, bo w zasadzie jedynymi osobami na ulicach byli mężczyźni. Ci młodszy przesiadywali w grupkach, rozmawiając i żartując, starsi – z reguły skupieni w małych, otwartych na ulicę kawiarniach i shisha barach – również prowadzili dysputy i obserwowali otaczający ich świat.

Aż chciało się do nich dołączyć. Nam jednak nie wolno było tak po prostu wyjść i rozkoszować się energią tego miejsca. Jedyne kobiety, jakie widziałam, szły obok lub za swoimi mężami. Nie było żadnej, która nie miała swojego opiekuna. Żadna też nie siedziała. Wszystkie jakby starały się przemykać niezauważone.

Kiedy wjechaliśmy na główną ulicę, Hayat zwolniła ze względu na korki. Z zewnątrz dobiegało nieustanne trąbienie. Początkowo myślałam, że to zniecierpliwieni kierowcy dają upust swoim nerwom.

– Oni trąbią na nas? – spytałam.

– Tak.

– Ale dlaczego? Przecież jedziesz przepisowo.

– Po pierwsze, tutaj nikt nie jeździ przepisowo, a po drugie, trąbią, bo wiedzą, że w tym samochodzie są kobiety.

– Skąd?

– Dzięki przyciemnianym szybm. Mężczyźni nie mogą takich mieć. Są dozwolone tylko dla tych, którzy mają żony i nie chcą, by oglądali je postronni mężczyźni. Chociaż już się słyszy, że i tego wkrótce zakażą.

– Dlaczego?

– Bo ludzie robią to, co my! – zaśmiała się Hayat. – Chcesz się przekonać, po co trąbią? Zasłoń twarz.

Natychmiast to zrobiłam, a ona nacisnęła przycisk, zsuwając szybę po mojej stronie.

– Wystaw rękę – poleciła. – Tylko możliwie najdalej i na krótko.

Nie miałam pojęcia, czemu to ma służyć, ale zrobiłam, co mi kazała. Natychmiast poczułam dotknięcie czyjejs dłoni. Odruchowo cofnęłam swoją, czując, że mam w niej kawałek papieru.

– Brawo. Pierwsza zarzucona wędka i od razu ryba! – pogratulowała mi Hayat.

– Co to jest? O co tu chodzi? – Byłam zupełnie zdezorientowana.

Hayat zasłoniła szybę.

– Właśnie dostałaś numer od jakiegoś napalonego młodzieńca, który chciałby się z tobą umówić. Tak to się tutaj robi. Chłopcy albo rozdają karteczki, albo recytują swoje numery przez szybę powoli, tak by dziewczyny mogły je zapisać. Oczywiście gdy obie strony są zainteresowane i wiedzą, jak to działa, przebiega to znacznie sprawniej, ale przyznam, że prawie umówiona randka przy pierwszym podejściu to naprawdę imponujące! – żartowała.

– Prawie... – mruknęłam. – Cóż, chłopak będzie mocno zawiedziony.

– Spokojnie. Rozda dziś tyle numerów, że długo samotny nie będzie.

– Ale przecież nie można się tu spotykać bez ślubu. Skoro nawet żeby się umówić, potrzebny jest taki cyrk...

– Nie nazwałabym tego cyrkiem. To raczej swego rodzaju rytuał. Jest częścią flirtu.

– I ta wasza policja religijna niby o tym nie wie?

– A czy przeciętny policjant w twoim kraju wie, gdzie kupić narkotyki?

– Nie mam pojęcia, pewnie niektórzy wiedzą...

– Dokładnie tak samo jest z *muttawa*. Oni też często wiedzą i często z tej wiedzy korzystają.

Czasami robią naloty. Dla wielu Al Ulaya była drogą do aresztu, ale oni też zaczynają sobie zdawać sprawę, że w tym kraju jest zbyt wielu młodych ludzi, by wszystkich zamknąć. Dlatego straszą, ale nie robią tego codziennie, bo ich działania szybko okazałyby się nieskuteczne. Już teraz jednym z największych powodów do dumy i sposobów na zdobycie szacunku wśród rówieśników jest skuteczne wyprowadzenie *muttawa* na manowce. Dla młodych chłopców to coś w rodzaju sportu.

– Z tego, co widzę, dla ciebie też – zaśmiałam się.

– Bo ja też lubię ten sport – odparła Hayat, mrugając do mnie w lusterku.

Niedługo potem dotarliśmy do celu naszej podróży, którym okazało się centrum handlowe Royal Mall. Było to jedno z tych miejsc, do których mężczyźni, tak ochoczo korzystający ze swojej wolności na ulicach miasta, nie mieli wstępu. Już przy wjeździe na parking przywitał nas napis *ladies only*, a później widziałam go jeszcze kilkanaście razy.

Hayat zatrzymała się w odległym miejscu parkingu pod ścianą, po czym zdjęła swoje louboutiny na dwunastocentymetrowym obcasie i sprawnym susem przeskoczyła na tylne siedzenie.

– Możesz wysiadać – powiedziała, ponownie zakładając szpilki.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytałam, nie chcąc ominąć żadnej z lekcji panujących tu zwyczajów.

– Na wypadek gdyby ktoś nas obserwował. Gdybym wysiadła od strony kierowcy, byłoby to podejrzane, a tak, nawet jeśli ktoś nas zauważy, nie zwróci uwagi na dwie wysiadające przez tylne drzwi kobiety. To zupełnie normalne.

Byłam pod wrażeniem. Imponowało mi, że oto mam u swego boku kobietę, która nic sobie nie robi z surowych islamskich zasad. Z pewnością nie miała zamiaru dołączyć do ofiar systemu. Ona ten system pokonywała swoim sprytem i inteligencją.

Centrum handlowe kompletnie mnie zaskoczyło. Były tu sklepy marek z najwyższej półki, zniewalające witrynami, wystrojem i cenami, a także takie, które zdecydowanie bardziej pasowałyby do tandetnych targowisk z podrabianą odzieżą. Ale to, co zaskoczyło mnie najbardziej, to spora liczba butików z bielizną. Tego się nie spodziewałam. Nie w Arabii Saudyjskiej.

A już najbardziej zdumiało mnie to, że na wystawach stały roznegliżowane manekiny. Wprawdzie nie miały głów, ale piersi im nie brakowało. W sumie mogłoby to świadczyć o tym, że dla Saudyjczyków twarz kobiety jest bardziej ponętna niż piersi. Też tę mogłyby potwierdzić plakaty w sklepach z ubraniami, na których widniały idealnie wyeksponowane sylwetki modelek z rozpixselowanymi twarzami. Ta wszechobecna hipokryzja zupełnie wymyka się regułom.

Chodząc po galerii, trafiliśmy również do sklepu, w którym manekiny miały obcięte piersi. Ktoś usunął je w trosce o moralność – lub na rozkaz *muttawa* – zakleił taśmą, a później nieudolnie ją pomalował. Koronkowe staniki nie były w stanie całkowicie przykryć tego okaleczenia. Nie mogłam pojąć, dlaczego sylwetka zmasakrowanej kobiety ma być bardziej akceptowalna od naturalnej – z dwiema piersiami. Miałam się dopiero przekonać, że takich niepojętych rzeczy spotkam tu znacznie więcej.

Po intensywnym marszu przez szerokie korytarze galerii usiadliśmy w kawiarni. Niedługo po tym, jak zamówiliśmy kawę, rozległ się śpiew muezina wzywający do modlitwy. Niemal natychmiast kraty we wszystkich sklepach zaczęły się opuszczać, a klientki i sprzedawcy tłumnie wylegli na zewnątrz. Lada w kawiarni, przy której jeszcze przed chwilą nas obsługiwano, również została oddzielona od nas kratami. Stoliki wokół nas pustoszały, wkrótce poza nami kawę piły już tylko dwie drobne Filipinki, które – sądząc po strojach – pracowały w jednej z perfumerii.

To wszystko robiło oszałamiające, a jednocześnie dość depresyjne wrażenie. Kraty sprawiły, że poczułam się jak w więzieniu. I nie było to wrażenie zupełnie na wyrost, bo po chwili dostrzegłam strażnika w postaci funkcjonariusza policji religijnej. Szedł prosto w naszym kierunku. Jeszcze zanim stanął przy naszym stoliku, zwrócił się do Hayat po arabsku:

– Dlaczego nie jesteście w meczecie?

– Ona nie jest muzułmanką – odparła natychmiast moja towarzyszka.

Nie miałam pojęcia, o czym rozmawiają, bo znałam wtedy zaledwie kilka arabskich słów – za mało, by uczestniczyć w tej konwersacji. Hayat zrelacjonowała mi ją dopiero po fakcie.

Muttawa przyjrzał mi się uważnie, po czym skierował swoją uwagę ponownie na Hayat.

– Ale ty jesteś! – wytknął.

Tego nie dało się ukryć. Hayat musiałaby wymyślić naprawdę piramidalne kłamstwo, by z tego wybrnąć. Zamiast tego uciekła się do innej, ewidentnie dobrze sprawdzonej wymówki:

– Mam dziś rocznicę ślubu, zrobiłam paznokcie specjalnie na randkę z mężem. Nie mogę się teraz pomodlić, ale w nocy zrobię to dwa razy.

Muttawa odpuścił.

Kiedy Hayat wyjaśniła mi, co mu powiedziała, nie mogłam uwierzyć, że to wystarczyło.

– Nie zawsze działa, ale tekst o tym, że zrobiłaś paznokcie dla męża, z reguły przechodzi. W razie czego możesz powiedzieć, że biegłaś i się spociałaś. I zawsze dodawaj, że jak się wykąpiesz, to pomodlisz się dwa razy. Jak już zostaniesz muzułmanką, może ci się przydać. Choć ty w zasadzie zawsze będziesz mogła udawać, że nią nie jesteś! – zaśmiała się.

Salah, czyli muzułmańska modlitwa, podlega bardzo szczegółowym nakazom, ale jeszcze ważniejsze są tu zakazy. Muzułmanie zawsze modlą się zwróceniem twarzy do *qibla*, kierunku, w którym znajduje się Kaaba. Podczas modlitwy najpierw modlą się, stojąc, a później klęcząc lub siedząc na ziemi. Recytują frazy, kłaniając się przy tym. Cykl tych ukłonów nie jest przypadkowy – to dokładnie opisana sekwencja zwana *rak'ah*. Liczba *rak'ah* różni się w zależności od modlitwy.

Obowiązkiem każdego muzułmanina i muzułmanki jest modlitwa w czystości, dlatego wyznawcy islamu przed modlitwą z reguły dokonują ablucji. Kobiety dodatkowo nie mogą podczas modlitwy nosić biżuterii. Nie mogą też mieć makijażu, doczepianych rzęs, tipsów ani nawet pomalowanych paznokci, choć te ostatnie dwa nakazy często są obchodzone i tłumaczone tym, że doczepione na stałe elementy nie przeszkadzają w odmawianiu *salah*.

Nigdy nie myślałam o zostaniu muzułmanką. Nie rozmawiałam o tym z Badrem, nie sądziłam też, że będzie taka konieczność. Ale widząc to religijne szaleństwo po wezwaniu na modlitwę w zwykłym centrum handlowym, zaczęłam się obawiać, że może to faktycznie być jeden z warunków. Nie byłam religijna, więc nie chodziło mi o to, że miałabym jakieś wyrzuty sumienia z powodu porzucenia własnej religii – ja po prostu nie byłam pewna, czy w ogóle chcę wyznawać jakąkolwiek religię. Nigdy nie była mi do niczego potrzebna, jednak w tym kraju zdawała się niezbędną i definiującą. A Hayat brzmiała tak, jakby to, że zostanę muzułmanką, uznawała za pewnik.

Byłam tym wszystkim oszołomiona. Czułam się tu coraz bardziej obca, chociaż Hayat dwoiła się i troiła, by tak nie było. Znałam ją od zaledwie kilku godzin, ale miałam wrażenie, że jesteśmy przyjaciółkami od lat. Wkrótce mogłam się przekonać, że ona tak właśnie mnie traktowała.

Kiedy cały chaos związany z modlitwą minął, Hayat zapowiedziała, że musimy pójść dokądś jeszcze. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie powiedziała tego tajemniczym głosem zwiastującym niespodziankę. I faktycznie już wkrótce znalazłyśmy się w miejscu, którego kompletnie się nie spodziewałam w saudyjskim centrum handlowym.

Na umieszczonym na dachu przepastnym tarasie znajdowała się urządzona w nowoczesnym stylu, ale wyraźnie nawiązująca do arabskiej tradycji restauracja. Siedziały w niej same kobiety – ale żadna z nich nie jadła. Na stolikach stały tylko kolorowe drinki, które do złudzenia przypominały te z alkoholem, choć było niemal pewne, że nie zawierają procentów.

Cała wiedza, jaką miałam o Arabii Saudyjskiej przed przylotem tutaj, legła w gruzach w zasadzie tego jednego dnia. Przekonałam się, że wszystko, co wydaje się czarne, jest tu białe. I na odwrót. To miejsce świadczyło o tym dobitnie.

Do moich nozdrzy dolatywał ujmujący truskawkowy zapach. Był naprawdę uzależniający i zupełnie nieświadomie zaczęłam go wdychać tak zachłannie, że nie umknęło to uwadze Hayat.

– Aż tak lubisz sziszę? – zapytała. – Zaraz ją zamówimy!

Wiedziałam, co to jest szisza, ale zawsze kojarzyła mi się z wąsatymi Arabami z brzuszkiem, którzy palą ją całymi dniami. W zasięgu mojego wzroku nie było jednak żadnego takiego mężczyzny. Tu sziszę paliły wyłącznie kobiety. I bynajmniej nie wyglądały na represjonowane, nie miały w oczach strachu przed złymi mężami, braćmi, ojcami. Rozmawiały, śmiały się i rozkoszowały aromatycznym dymem.

Chwilę po tym, jak usiadłyśmy przy stoliku, drobnej postury Hindus przyniósł nam dwie fajki

wodne. Hayat zamówiła truskawkową i arbuzową, a później przeszkoliła mnie, jak ich używać.

– Jesteś do tego urodzona! – pochwaliła, gdy się okazało, że jakimś cudem radzę sobie świetnie.

I przyznam szczerze, że bardzo mi się to podobało. Rozkoszowałam się kolejnym aromatem, jakim pachniał ten kraj. Chłonełam go, nawet nie czując, jak on pochłania mnie.

– To jakieś nielegalne miejsce? – zapytałam po chwili.

– Nie – odparła lekko Hayat. – Przecież jest w centrum handlowym.

– Myślałam, że...

– Wiem, co myślałaś – przerwała mi. – Ale musisz wiedzieć, że Arabia Saudyjska ma więcej barw niż czerń *abai* i nie wszyscy mężczyźni są terrorystami w swoich domach. Saudyjscy panowie zdają sobie sprawę, że represjonowanie kobiet ujdzie im płazem tylko do momentu, kiedy nie przegną. Wiedzą też, że buntu kobiet by nie przetrwali, dlatego powstają takie miejsca jak to. To zupełnie jak z rzeką, która płynie swoim nurtem, ale czasami draży dodatkowe koryto. I lepiej jej na to pozwolić niż dopuścić do powodzi.

Hayat odkrywała przede mną swój kraj, który zaskakiwał mnie z każdym krokiem. I właśnie tam, w miejscu stanowiącym świątynię kobiecej wolności w centrum świata, który próbował kobiety zniewalać, poznałam historię rodziny swojego przyszłego męża. A konkretnie – jej najbardziej tragiczny rozdział, który zdecydowanie potwierdzał to, co zawsze myślałam o Arabii Saudyjskiej, a co tak bardzo nie pasowało do tego, co widziałam wokół, wypuszczając w powietrze wonny dym.

Tęsknota za dziećmi była dla Lubny coraz trudniejsza do zniesienia. Zwłaszcza że od czasu, kiedy Hayat wyjechała wraz z Muradem i małym Ibrahimem do Wielkiej Brytanii, w jej życie wkradła się ogromna samotność. Badr wciąż jeszcze studiował, a Hafiz dawno stracił nią zainteresowanie. Zresztą wszystko wskazywało na to, że jego druga żona dzieliła w tym czasie jej los, bo mężczyzna niemal cały swój czas spędzał za granicą.

Kobieta popadała w nostalgię i czuła się coraz gorzej. Choć szczęśliwie z rakiem pożegnała się na dobre, często dopadały ją duszności i lęki. Bywały dni, gdy zupełnie nie opuszczała swojej sypialni. Całe życie poświęciła dzieciom i była szczęśliwa, że realizują jej własne marzenia o wolności, ale ich zniknięcie bardzo jej doskwierało.

Rozmawiali codziennie, ale nigdy im o tym nie mówiła. Nie chciała ich obarczać swoimi problemami. Dzieci mają prawo być szczęśliwe, a ona musi się wreszcie do tej sytuacji przyzwyczaić – tłumaczyła sobie i czasem nawet w to wierzyła. W takich chwilach podejmowała decyzję, że koniec z użalaniem się nad sobą, i organizowała sobie męską eskortę, dzięki której mogła pojechać do centrum handlowego albo SPA. Ale często smutku na myśl o opuszczonym gnieździe nie dało się niczym przegonić, w żaden sposób zagłuszyć. Był bolesny, nieuleczalny, dławiący.

Zarówno Badr, jak i Hayat przekonywali matkę, by dołączyła do nich w Europie, a ona coraz bardziej się ku temu skłaniała. Nie widziała powodu, by zostać w Arabii, mimo że wciąż miała z tyłu głowy wolę swojego ojca i naciski męża. Ponieważ jednak Hafiz zdawał się kompletnie stracić nią zainteresowanie, było bardzo prawdopodobne, że obaj nie będą już stawać jej na drodze.

O zgodę na wyjazd wciąż jednak musiała prosić męża – bez niej nie byłaby w stanie opuścić kraju. Rozmowę z nim postanowiła jednak pozostawić sobie na koniec i zaczęła przygotowania do wyjazdu.

Dokładnie nie wiadomo, w jakich okolicznościach Lubna straciła przytomność, ale kiedy znalazła ją jej przyboczna służąca, która miała jej pomóc w pakowaniu, leżała na dywanie tuż obok łóżka. Służąca natychmiast zaalarmowała resztę pracowników pałacu, a majordomus wezwał pogotowie. Lubna żyła, jednak nie było z nią kontaktu. Przytomności nie odzyskała również w szpitalu. Lekarze natychmiast przeprowadzili badania, które miały potwierdzić lub wykluczyć ich przypuszczenia. Okazało się, że Lubna doznała wylewu, bardzo rozległego. Jediną szansą na jej uratowanie – choć i tak bez żadnej gwarancji powodzenia – miała być trepanacja czaszki. Na taką operację jednak zgodę musiał wydać jej mąż. Pozostający w pałacu majordomus zaraz po rozmowie z lekarzami podjął próby skontaktowania się ze swoim pracodawcą, a kiedy te się nie powiodły, zadzwonił do Badra.

– Oczywiście, że mają natychmiast ratować moją matkę! – wrzeszczał do słuchawki młody mężczyzna. – Daj mi numer tego lekarza, ja zaraz jadę na lotnisko...

Badr nie zastanawiał się ani chwili, niemal od razu wyruszył w podróż. Ponieważ jednak miał do dyspozycji wyłącznie poranny lot rejsowy do Rijadu, na miejsce mógł dotrzeć najwcześniej za kilkanaście godzin.

Niemal całą noc spędził na telefonicznych próbach przekonania lekarzy, że jest synem kobiety, nad której operacją się zastanawiają, czekając, aż zgodę na nią wyda jej *wali*. Próbował też dodzwonić się do ojca, ale jego telefon uparcie milczał. Trudno zliczyć, ile przekleństw posłał pod jego adresem.

– Macie zoperować moją mamę, ratujcie jej życie! – wściekał się w rozmowie z lekarzem, ale jego nerwy na niewiele się zdały.

– Musimy przestrzegać prawa – tłumaczył medyk.

– Nie jesteście prawnikami, tylko lekarzami!

– Nie mogę podjąć takiego ryzyka. Każdy mógłby tu zadzwonić i podać się ze syna naszej pacjentki. Proszę zrozumieć, operację możemy przeprowadzić tylko po wyraźnej zgodzie wydanej przez jej prawnego opiekuna.

Badr był kompletnie bezradny. Z lotniska do szpitala pędził na złamanie karku, ale niestety nie zdążył. Jego matka wydała ostatnie tchnienie, zanim przekroczył jego progi. Ojciec zadzwonił dopiero następnego wieczoru. Niczego nieświadomy, zaczął od pretensji, że Badr zostawił mu dziesiątki wiadomości głosowych, podczas gdy on nie ma czasu ani ochoty ich odsłuchiwać.

– Mama nie żyje! Przez ciebie! – usłyszał w odpowiedzi.

– Co? O czym ty mówisz? – zapytał wyraźnie zaskoczony Hafiz.

– O tym, że nie zoperowali jej na czas, bo ty nie raczyłeś odebrać telefonu! – Badr dosłownie ryczał z wściekłości. – Zabiłeś ją! Nigdy ci tego nie wybaczę!

Hafiz milczał. Informacja o śmierci żony wyraźnie go poraziła. Zdał sobie sprawę, że wszystkie te telefony, których nie odebrał, były desperackim krzykiem o pomoc. A on go nie usłyszał, bo był zajęty sobą. Egoizm i nieludzkie prawo kraju, którego był nieodrodnym synem, przyczyniły się do śmierci matki jego pierworodnego. A teraz on wytacza przeciwko niemu zupełnie zasłużony akt oskarżenia. Nie miał niczego na swoją obronę.

W Arabii Saudyjskiej życie kobiety jest kontrolowane przez mężczyznę od urodzenia aż do śmierci. Do 2017 roku saudyjskie kobiety były pod bezwzględną władzą swojego prawnego opiekuna – *wali*, zwykle ojca lub męża, ale w niektórych przypadkach brata lub nawet syna, który miał moc podejmowania w ich imieniu szeregu krytycznych decyzji.

Kobiety nie mogły ubiegać się o paszport bez zgody opiekuna płci męskiej ani nawet marzyć o podróży za granicę, nie mogły samodzielnie prowadzić samochodu, a co najgorsze, prawo wymagało zgody *wali* na leczenie lub przeprowadzenie jakiegokolwiek procedury medycznej. Bez takiego pozwolenia lekarze odmawiali leczenia, nawet w przypadkach zagrażających życiu, bo zdarzało się, że konserwatywni mężowie pozywali szpitale i poszczególnych medyków za leczenie ich żon bez ich zgody.

Wprawdzie przepisy Ministerstwa Zdrowia wymagały, aby kobieta uzyskała zgodę swojego *wali* tylko na poddanie się planowej operacji, ale w praktyce nakaz ten rozciągał się na wszelkie typy zabiegów, również te ratujące życie. Lekarze po prostu na wszelki wypadek nie zabierali się do leczenia kobiet bez wyraźnej aprobaty ich opiekunów.

Wali, co w tłumaczeniu z arabskiego oznacza „opiekun”, ale i „władca”, miał przez wieki ogromną władzę (*waliyah*) nad kobietą lub kobietami, które mu podlegały. I choć dekret króla Salmana z 2017 roku prawnie zmienił tę sytuację na korzyść kobiet, przyznając im wiele podstawowych praw, to w praktyce nie jest on żadnym pewnikiem. Zmiany społeczne zachodzą znacznie wolniej niż zmiany w prawie, choć i na te ostatnie saudyjskie kobiety musiały czekać długie dekady.

Mimo nowych regulacji wielu mężczyzn w dalszym ciągu nie zgadza się na oddanie swojego zwierzchnictwa nad kobietami. W kwestiach zdrowotnych często ma to znacznie bardziej tragiczny wymiar niż w poprzednim porządku prawnym, bo podczas gdy wcześniej kobiety mogły otrzymać zgodę męża na operację, teraz, gdy ta zgoda nie jest wymagana prawnie, nie trafiają nawet do lekarza. Mężczyźni, którzy nie godzą się na taką liberalizację, czując, że poza domem nie mają wpływu na leczenie swoich podopiecznych, po prostu nie pozwalają im na wizyty lekarskie.

Za czasów panowania króla Salmana, czyli od 2015 roku, prawa kobiet oficjalnie rozszerzono również o możliwość posługiwania się dowodem osobistym bez konieczności potwierdzania tożsamości przez ich opiekuna, prawo prowadzenia samochodu, swobodnego podróżowania, zawierania małżeństw bez zgody *wali* oraz samodzielnego mieszkania. To ostatnie jeszcze kilka lat temu było nie do pomyślenia, choć nadal jest przedmiotem ostracyzmu społecznego, ponieważ Saudyjki, które decydują się na mieszkanie bez spokrewnionego mężczyzny lub męża, często są posądzane o prostytutkę.

Na wieść o śmierci matki Hayat wpadła w rozpacz. Wiedząc, że nie zdąży na jej pogrzeb, postanowiła nie wracać do Arabii Saudyjskiej. Uważała, zresztą nie bez racji, że to właśnie ten kraj zabił jej matkę, choć bynajmniej nie rozgrzeszała też swojego ojca. Przekonanie, jakie wpajano jej od najmłodszych lat – że *wali* to dla kobiety gwarancja bezpieczeństwa i opieki – legło w gruzach. Okazało się, że jest dokładnie odwrotnie.

– Z mamą musiałam się pożegnać na odległość. Zajął mi to wiele miesięcy. Przez długi czas nie mogłam uwierzyć, że już nigdy więcej jej nie zobaczę – opowiadała mi, a ja po raz pierwszy, odkąd ją poznałam, widziałam jej twarz poważną i bez uśmiechu. – Zawdzięczam jej tak wiele. Dała mi życie, później je uratowała, nigdy nie oceniała, nie karciała, nawet w sytuacji, w której wiele matek w tym kraju wyrzekłoby się swoich dzieci.

– A jak zniósł to Badr? – zapytałam nieśmiało. – On był na miejscu...

– Był tak wściekły, że kiedy nasz ojciec pojawił się w szpitalu, bezczelnie twierdząc, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią swojej żony, nie wytrzymał i go pobił. W efekcie nie tylko złamał mu rękę, ale też mocno pokiereszował twarz. On widział tylko jednego winnego śmierci naszej mamy. I nie miał zamiaru tego ukrywać.

– Nie sądziłam, że Badr jest do tego zdolny – powiedziałam, czując jednocześnie zaniepokojenie i zrozumienie dla jego zachowania.

– Badr ma w sobie ogień, którego lepiej nie podsycać. Potrafi być najlepszym przyjacielem, ale nie warto mieć w nim wroga. Na naszym ojcu mści się przy każdej okazji do dziś. Najpierw, niedługo po śmierci mamy, poślubił córkę jego największego wroga. Ojciec próbował się sprzeciwić, ale Badr i tak postąpił po swojemu...

Zrobiło mi się gorąco.

– Zaraz, to Badr był już żonaty? – zapytałam, starając się ukryć zdumienie.

– Dwa razy. Nie mówił ci?

– Jakoś to pominął...

– Nie przejmuj się. Oba jego małżeństwa nie miały nic wspólnego z miłością. Biedne dziewczyny, choć w sumie nie wyszły na tym najgorzej. – Hayat mówiła to tak, jakby zapomniała, że właśnie rozmawia z potencjalną trzecią żoną swojego brata. – Zresztą nawet nie pamiętam, jak nazywała się ta jego pierwsza żona... Nigdy jej dobrze nie poznałam, widziałam ją tylko na zdjęciach. Badr nie miał wobec niej żadnych poważnych zamiarów.

Hayat z pewnością nie miała nic złego na myśli, ale ja odebrałam to bardzo osobiście. A co, jeśli wobec mnie Badr też nie ma „poważnych zamiarów”?

Musiałam mieć niewyraźną minę, bo natychmiast zapewniła:

– Nie martw się, kochana, ciebie wybrał z miłości! Nigdy o żadnej dziewczynie nie mówił w takich superlatywach.

– Trochę ciężko mi w to uwierzyć po tym, co usłyszałam, zwłaszcza że nie rozmawiałam z nim od kilku dni. Przepadł jak kamień w wodę.

– Daj mu chwilę. To nie jest żaden afront. Martwił się, że musi cię zostawić, dlatego przysłał mnie. Już ja się tobą zajmę...

Na jej twarzy znowu pojawił się uśmiech. I choć wciąż byłam rozczarowana tym, że Badr zniknął bez słowa, musiałam przyznać, że wybrał najlepsze z możliwych zastępstw. Hayat była naprawdę niesamowita, a najbardziej ujmowała mnie w niej jej bezgraniczna odwaga w walce z systemem uznającym kobiety za niezdolne do samostanowienia. Ona sama była absolutnym zaprzeczeniem tej tezy.

– Twój mąż pozwala ci na takie wyjścia? – zapytałam po chwili. Wtedy jeszcze nie znałam całej historii jej małżeństwa z Muradem, choć Badr częściowo mi ją opowiedział.

Hayat roześmiała się w głos, po czym zaczęła mi bić brawo, choć zupełnie nie wiedziałam dlaczego.

– Gratulacje, moja droga! Kilka dni w tym kraju, a ty mówisz jak prawdziwa Saudyjka.

– Czyli jak? – spytałam skonfundowana.

– Zakładasz, że mąż ma cokolwiek do powiedzenia. – Puściła do mnie oko. – Nie, mój mąż to mój najlepszy przyjaciel, jest moją przepustką wszędzie tam, gdzie nie mogę się dostać bez mężczyzny, ale nigdy by mu nie przyszło do głowy, by mi czegoś zabraniać. On mnie uwielbia, a ja uwielbiam jego. I jego męża.

W tamtej chwili dosłownie zdębiałam.

– Twój mąż ma męża?

– Jeszcze nie oficjalnie, ale jak tylko to będzie możliwe, ma zamiar wziąć ślub w Wielkiej Brytanii. Będziemy jedną wielką rodziną.

Nigdy wcześniej nie słyszałam o takim układzie. Nawet gdy mieszkałam w Europie. I nigdy się nie spodziewałam, że usłyszę taką historię w z pozoru hermetycznej i konserwatywnej Arabii Saudyjskiej.

ROZDZIAŁ 9

Lamis

Badr obudził mnie osobiście siódmego dnia od momentu mojego przylotu do Królestwa. I było jak dawniej. Spałam, gdy wsunął się do łóżka i przylgnął do mojego ciała. Nie od razu ocknęłam się ze snu. Dopiero gdy zaczął mnie całować, powoli wracała mi świadomość.

– Badr? – Zerwałam się, gdy wreszcie dotarło do mnie, że wrócił.

– A spodziewałaś się kogoś innego? – spytał z uśmiechem.

– Nie, ale ciebie też się nie spodziewałam – powiedziałam z fochem, przypominając sobie, że powinnam być na niego obrażona. – Jak mogłeś mnie tak zostawić, samą, bez słowa...

– Przecież nie zostawiłem cię samej. Hayat mówiła, że spędziłyście ze sobą sporo czasu.

– Hayat jest wspaniała, ale nie przyleciałam tu dla niej.

Badr uśmiechnął się uroczo, zupełnie mnie tym rozbijając.

– Obiecuję, że więcej tak nie zrobię – przyrzekł tonem grzecznego chłopca, sięgając po ustawione na szafce obok łóżka płaskie podłużne pudełko. Na pierścionek było zdecydowanie za duże, zmieściłby się w nim raczej naszyjnik lub bransoletka, choć nie było typowe dla takiej biżuterii. – Otwórz – powiedział, podając mi je. – Myślę, że ci się spodoba.

Poczułam podekscytowanie. Coraz bardziej dawałam się wciągnąć w tę całkiem realną bajkę, w której mój przystojny książę budzi mnie pocałunkami i drogimi prezentami. Temu naprawdę łatwo ulec, zwłaszcza gdy w grę wchodzi uczucia. A ja byłam w nim szaleńczo zakochana.

W czarnym pudełku z logo Vertu znajdował się przepiękny telefon zatopiony w aksamicie. Zupełnie nie rozpoznawałam tej marki, pewnie dlatego, że była zarezerwowana dla elit, najbogatszych z bogatych. W normalnym świecie telefony nosiły logo Nokii i Motoroli.

– Wiem, że brakowało ci komórki, ale teraz już możesz dzwonić wszędzie. Wpisałem tu wszystkie moje trzy numery...

– Masz trzy numery? – przerwałam mu.

– Mam, ale mało kto zna więcej niż jeden. Trzy znasz tylko ty. Ten oznaczony sercem jest tylko dla nas.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Mogłam go tylko pocałować. Oczywiście na całowaniu się nie skończyło. Z łóżka wyszliśmy dopiero późnym popołudniem.

– Teraz muszę zająć się interesami, ale ty też będziesz miała co robić. Hayat pomoże ci w przygotowaniach do ślubu – powiedział Badr tonem polecenia.

Przez chwilę czułam się z tym trochę niekomfortowo, ale zaraz dotarło do mnie, że on przecież na co dzień właśnie to robi – wydaje polecenia – a wobec mnie na pewno nie ma złych zamiarów. Muszę się po prostu do tego przyzwyczaić. Wprawdzie tęskniłam za nami w czasach, kiedy byliśmy razem w Manchesterze i Paryżu, bo tam miałam mojego ukochanego tylko dla siebie, ale przecież ta nowa sytuacja wcale nie musiała być gorsza. Ten pierwszy tydzień obfitował w emocje i chyba z całą mocą docierała do mnie tęsknota. Byłam przyzwyczajona do rozłąki z rodzicami, ale tutaj okoliczności sprawiały, że wszystko odczuwałam intensywniej. Czułam się niepewna, rozedrgana emocjonalnie. To nie był dobry moment, by oceniać sytuację. Chciałam zadzwonić do domu. Teraz wreszcie mogłam to zrobić. Mój francuski telefon nie działał w Arabii, a w natłoku wrażeń nie miałam nawet okazji poprosić o saudyjską kartę.

Ta komórka była czymś kompletnie nierealnym. Najdroższa dostępna w tamtym czasie na rynku, choć i tak nie dla każdego. Przy niej najnowszy iPhone był nic niewartą zabawką. Zaczynałam rozumieć, że właśnie trafiłam do świata, w którym to, co zawsze uważałam za przepych, stanie się moją codziennością. I wbrew pozorom wcale nie było to przyjemne uczucie. Przeciwnie – byłam mocno skrępowana. Jakbym miała w dłoni niezwykle kruchą, drogocenną i unikatową filiżankę, której ktoś kazał mi używać jak zwykłego kubka na herbatę ekspresową. Przyzwyczajenie się do takich rzeczy miało mi zająć jeszcze wiele czasu.

– Mamuś... – odezwała się, gdy tylko usłyszałam w słuchawce głos mojej mamy. Zupełnie niespodziewana fala emocji zdusiła moje gardło. Miałam nie płakać, ale nie byłam w stanie tego powstrzymać.

– Emily, to ty? Córeczko! Co się z tobą działo? Nie mogliśmy się do ciebie dodzwonić. Tak bardzo się o ciebie martwiliśmy! Wszystko w porządku?

– Tak, mamuś, jest wspaniale. Miałam tylko problem z telefonem, ale teraz już możecie do mnie dzwonić, kiedy tylko zechcecie.

– Nawet nie wiesz, jaka to ulga! Tata się ucieszy. On to wszystko w sobie dusił, ale widziałam, jak bardzo się denerwuje.

– Uściskaj go ode mnie. I zaczynajcie się szykować na wesele...

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – spytała mama po chwili milczenia.

Zbiła mnie z tropu. Oczywiście miałam wewnętrzne wątpliwości, ale starałam się je odsuwać. Dopiero to pytanie z ust mojej mamy przywróciło je do głosu.

– Tak, mamu – odparłam. – Przecież znacie Badra. Wiecie, jaki jest cudowny.

– Badr jest wspaniały, ale czy oni cię tam dobrze traktują? – martwiła się mama.

– Jak prawdziwą księżniczkę.

To zdawało się ją uspokoić – i w sumie było prawdą, choć mój entuzjazm znacznie przygasł. Od kiedy poznałam i pokochałam Badra, bardzo chciałam za niego wyjść, ale nigdy nie pragnęłam zostać księżniczką. Gdybym była zwykłą księgową, a on bibliotekarzem, moja miłość do niego wcale nie byłaby mniejsza. Może nawet byłaby większa. Bałam się, że te wszystkie zwyczaje będą nas od siebie oddalać. Już się na to zanosilo. Od kiedy się poznaliśmy, najdłużej nie widzieliśmy się właśnie w Arabii Saudyjskiej.

Tego dnia Hayat dołączyła do mnie przed wieczorem.

– Jedziemy na zakupy – oznajmiła.

– Znowu?

Moje pytanie spotkało się z jej gromkim śmiechem.

– Oj, będziesz musiała się do tego przyzwyczaić. My, kobiety z klanu Al Saudów, specjalizujemy się w zakupach. Gdyby to była konkurencja olimpijska, zajmowałybyśmy wszystkie miejsca na podium. Poza tym naprawdę mamy sporo rzeczy do kupienia i zaplanowania. Jutro do willi przyjadą wedding plannerzy, powinnyśmy zawniczu ustalić, czego od nich oczekujemy.

To wszystko mnie przytłaczało, ale postanowiłam nie protestować. Po pierwsze, miałam wrażenie, że to i tak nic nie da, po drugie, nie chciałam być niewdzięczna. Poza tym miałam nadzieję, że będzie to okazja, by podpytać przyszłą szwagierkę o moje poprzedniczki. Nie miałam odwagi zagać o nie Badra. Tak bardzo się cieszyłam z jego powrotu, że nie chciałam niszczyć nastroju. Hayat zdawała się nie mieć problemu z tym tematem, ale na razie była zajęta planowaniem kolejnej wyprawy na zakupy.

– Niestety musimy wziąć kierowcę – stwierdziła. – Badr się wściekł na wieść, że prowadziłam samochód.

– Ma coś przeciwko kobietom za kierownicą? – spytałam przerażona, że znowu dowiaduję się czegoś niepokojącego o swoim przyszłym mężu.

– Skąd! Sam nauczył mnie jeździć, sam woził mnie na kurs prawa jazdy i kibicował mi, gdy zdawałam egzamin. Ale to było w Wielkiej Brytanii. Tutaj to znacznie bardziej niebezpieczne. A on nie chce, żebym się narażała.

Znowu poczułam się źle. Znowu na wyrost oskarżyłam mojego narzeczonego. To było silniejsze ode mnie, ale tak bardzo chciałam, żeby nam się udało, że niemal histerycznie upewniałam się w tym, że mój idealny książę naprawdę jest tym ze snów. Podczas tego wyjścia z Hayat postanowiłam więc nie podnosić tematu byłych żon. Nawet jeśli to miało na zawsze pozostać tajemnicą, niech nią zostanie. Teraz liczy się tylko ta nowa, przyszła, prawdziwa żona – ja.

Przygotowania do ślubu i wesela były doświadczeniem, którego nie zapomnę nigdy w życiu. Przypominały jazdę rozpedzoną karuzelą – obfitowały w drobne dramaty i zwroty akcji, ale w sumie nie ma sensu ich przytaczać, wystarczy skupić się na ich rezultacie, czyli weselu. W najśmielszych snach nie mogłam przypuszczać, że na moim weselu bawić się będzie prawie tysiąc osób, co podobno

w rodzinie Al Saudów było liczbą znaczącą, choć nie rekordową.

Moi rodzice przylecieli do Rijadu prywatnym samolotem wysłanym do Paryża przez mojego męża. To była dla nich przygoda życia. Zupełnie tak jak dla mnie, choć mogłam przypuszczać, że to, co dla nich będzie jednorazową podróżą na ślub córki, dla mnie okaże się codziennością.

Byli zachwyceni podróżą, ale to bynajmniej nie sprawiło, że mój ojciec zrezygnował z poważnej rozmowy ze mną i Badrem zaraz po przylocie. Tata przyleciał bardzo dobrze przygotowany. Choć nigdy nie był człowiekiem skłonny do uprzedzeń, w chwili gdy ślub jego córki w tak obcym kulturowo kraju stał się realną perspektywą, postanowił się upewnić, że nie grozi mi nic złego.

Badr wydał na cześć moich rodziców kolację powitalną, a tata uznał, że to doskonała okazja, by skonfrontować mojego przyszłego męża i uzyskać odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania.

– Badr, synu, wiesz, że bardzo cię polubiliśmy i z wielką radością powitamy cię w naszej rodzinie, w zasadzie już to zrobiliśmy, ale chcemy mieć pewność, że nasza córka będzie tu szczęśliwa...

Badr uśmiechnął się, jak zwykle ujmująco.

– Pytanie o to, czy Emily jest szczęśliwa, chyba musicie zadać jej samej – odpowiedział przewrotnie.

– Wiemy, że jest, że bardzo ją kochasz, a ona ciebie... – włączyła się mama. – Ale martwimy się, że po ślubie...

– Straci prawa – dokończył tata.

Badr, zaskoczony, uniósł brwi.

– A dlaczego miałyby stracić prawa?

– No bo tu... w tym kraju... – Tata chyba się zorientował, że jego argumenty mogą zostać uznane za niegrzeczne, bo ewidentnie się stremował.

– My naprawdę bardzo dbamy o nasze żony – wybawił go z opresji Badr. – A Emily jest dla mnie wszystkim i nigdy nie pozwolę jej skrzywdzić.

– Ale one muszą nosić te welony... – dorzuciła swoje mama.

– Pani też ma na sobie *abaję* i chustę – zauważył mój przyszły mąż.

– Dostałam je w samolocie.

– Nie podobają się pani?

– Nigdy nie nosiłam ubrań od Diora... Są piękne – pochwaliła szczerze mama.

– No właśnie. Żaden saudyjski mąż nie uczestniczy w ubieraniu swojej żony. To kobiety decydują o tym, co na siebie wkładają.

– Ale przecież to prawo... – podjął tata.

– Każdy kraj ma jakieś prawo. Nie wszystkie nam się podobają.

– To prawda. Ja bym tych naszych też pogonił... – tata dał się zbić z tropu, ulegając swojej niechęci do francuskich polityków. Zupełnie jakby zapomniał, że rozmawia z księciem należącym do klanu, który w Arabii Saudyjskiej stanowi prawo.

Miałam wrażenie, że Badr manipuluje moimi rodzicami, ale nie chciałam się wtrącać, bo najmniejszy konflikt sprawiłby, że będą się o mnie jeszcze bardziej martwić. A przecież chodziło o to, by ich uspokoić.

Wkrótce potem rozmowa zesłała na tematy dalekie od tych budzących wątpliwości. Mama wypytywała mnie o szczegóły wesela, a tata ekscytował się opowieściami o drogich samochodach, wspomnieniami z lotu odrzutowcem Badra i narzekaniem na piekielne temperatury. Pamiętam, że ta ostatnia uwaga wywołała u Badra natychmiastową reakcję.

– Och, Arabia Saudyjska może jest gorąca, ale daleko jej do piekła, a zdecydowanie bliżej do raju! – zaprotestował.

Tata nie uznał tego za afront, choć ja zauważyłam, że Badrowi nawiązanie do piekła w kontekście jego kraju zdecydowanie nie przypadło do gustu. To był pierwszy raz, kiedy dało o sobie znać jego przywiązanie do religii. Nigdy wcześniej się z nim nie zdradzał. Zawsze miałam wrażenie, że wiara jest tłem, częścią jego kultury, ale nigdy integralnym elementem jego samego. To przypomniało mi też o tym, że czas wreszcie podjąć ciągle omijany temat wyznania. Według Hayat miałam zostać muzułmanką, ale do tej pory nikt mnie o to nie pytał, włączając w to mojego przyszłego męża.

W końcu musiałam do tego nawiązać. Dzisiaj, postanowiłam. Kiedy tylko zostaniemy sami. I rzeczywiście – gdy po pożegnaniu moich rodziców znaleźliśmy się w sypialni sam na sam, podjęłam temat:

- Wiesz, że nie jestem muzułmanką...
- Jeszcze – odparł Badr z uśmiechem.
- Jak mam to rozumieć? – spytałam, trochę oburzona jego pewnością siebie.
- Wkrótce nią zostaniesz, prawda? Nie mogę poślubić wyznawczyni innej religii.
- Ja nie wyznaję żadnej religii...
- W sumie to i lepiej, nie będziesz musiała porzucać swojej wiary.
- Ale kto ci powiedział, że w ogóle chcę mieć jakąś religię? – Narastała we mnie irytacja. – Ja nie wierzę w Allaha...

- Wiara jest kwestią edukacji – wyjaśnił z chłodnym przekonaniem Badr.
- Uważam wręcz odwrotnie!

Spuścił wzrok, ale po chwili go podniósł i znowu się uśmiechnął.

- Chcesz powiedzieć, że jestem głupi, bo wierzę w Boga?

– Nie... – Nie chciałam go urazić, ale nie chciałam też, by ktokolwiek narzucał mi wiarę, a tym bardziej szantażował mnie nią emocjonalnie. – Nie jesteś głupi. Dobrze wiesz, że jesteś najmądrzejszym mężczyzną, jakiego znam, ale nie rozumiem, dlaczego muszę przyjmować islam... Ja tego nie czuję...

– Mądrzy ludzie wypowiadają się na temat rzeczy, które poznali, a ja wiem, że ty jesteś mądra. Spróbuj, poznaj, zdobądź wiedzę, a jeśli nadal będziesz uważała, że islam nie jest dla ciebie, nie będę cię do niczego zmuszał.

– Ale nasz ślub jest za niecały tydzień! Jak w tak krótkim czasie mam zdobyć wiedzę, którą niektórzy studiują latami?

– Wystarczy ci kilka lekcji, by zdecydować. Jutro przyślę tu osobę, która zna odpowiedzi na wszystkie pytania.

Pamiętam, jak mój dziadek powtarzał, żeby wystrzegać się ludzi, którzy twierdzą, że znają odpowiedzi na wszystkie pytania. Ale po słowach Badra uznałam, że to nie czas, by o tym wspominać. Badr miał rację w tym, że mądrzy ludzie wypowiadają się na tematy, które zgłębili, a ja o islamie nie wiedziałam absolutnie nic poza tym, że jest religią terrorystów, patriarchy i represjonowanych kobiet. A jednak czas spędzony w tym kraju uświadomił mi, że tyle z tego jest prawdą, co wierutną bzdurą.

Następnego dnia opiekę nad moimi rodzicami przejęła Hayat. Mogłam być spokojna, że dzięki niej zobaczą Arabię Saudyjską od najciekawszej strony. Wrażenia związane z poznawaniem nowego czekały również mnie.

Moją nauczycielką okazała się starsza, pochodząca z Egiptu kobieta, dawna niania Badra i Hayat. Doskonale władała językiem francuskim, więc nie miałyśmy problemu z barierą językową, a do tego tak bardzo kochała mojego przyszłego męża i jego siostrę, że nie mogłam mieć zastrzeżeń co do jej intencji.

Amina, bo tak się nazywała, była jedyną osobą, której Lubna ufała w kwestii wychowania swoich dzieci – i jeśli nawet zezwalała innym służącym na opiekę nad Badrem i Hayat, zawsze musiała mieć na nich oko Amina.

– Madame Lubna była świętą kobietą. Allah z pewnością przyjmie ją do raju z otwartymi ramionami – powiedziała na początek, wspominając lata opieki nad dziećmi i swoją dawną chlebobawczynię.

- Bardzo żałuję, że nie mogłam jej poznać – odparłam.

- Jeszcze możesz, tylko musimy nad tym popracować.

Szybko się zorientowałam, że Amina ma na myśli spotkanie w raju po śmierci. Ale ja wciąż miałam kłopoty z wykrzesaniem z siebie wiary, że to w ogóle jest możliwe.

- Nie wierzysz w to – zauważyła po chwili moja nauczycielka.

Pokręciłam głową.

- A jest coś, w co wierzysz?

- Wierzę w miłość.

- Widziałaś kiedyś miłość?

– Widzę ją między ludźmi. Między mną a Badrem. Między mną a moimi rodzicami.

– Widzisz jej objawy, ale samej miłości nie widziałas. Nie mogłaś, bo jest niewidzialna, a jednak daje się odczuć. To przecież bardzo silne uczucie. Taki właśnie jest Bóg. Niewidzialny, ale obecny. Ślady jego obecności widać wszędzie, na każdym kroku. Jego nie możemy dotknąć, ale możemy dotknąć to, co dla nas stworzył...

To było wybitnie dobre porównanie i naprawdę dało mi sporo do myślenia, przede wszystkim jednak złamało mój upór. Wcale nie byłam już taka pewna, że nie istnieje moc, która tym wszystkim rządzi. Skoro byłam przekonana o istnieniu miłości, choć nigdy jej nie widziałam, dlaczego byłam też przekonana o nieistnieniu Boga, który był tak samo niewidzialny, a zdaniem wielu równie sprawczy.

To nie tak, że nagle doznałam olśnienia i uwierzyłam w Boga, ale nie chciałam być ignoranką. Pragnęłam poznać religię, która pochłonęła bez reszty tak wiele osób, i sprawdzić, na czym polega jej przyciąganie.

Amina opowiedziała mi o podstawach islamu i choć trudno mi było przyjąć niektóre z jej przekonań, jego pięć filarów uznałam za całkiem istotne. Szczególnie spodobał mi się obowiązek przekazywania jałmużny ubogim. Uznałam to za bardzo nowoczesne podejście do religii. Wychowana w laickim kraju o chrześcijańskich tradycjach, byłam przyzwyczajona, że przekazywanie pieniędzy zawsze ma jeden kierunek – od wiernych do Kościoła. W islamie wierni mają pomagać tym, którzy zdecydowanie bardziej tego potrzebują, czyli ubogim.

Spodobała mi się skromność meczetów i fakt, że nikt nie twierdzi, iż to dom Boży, a jedynie dom modlitwy... Zaczynałam dostrzegać rzeczy, które wcześniej nie przychodziły mi nawet do głowy.

A później zaczęły się schody, bo doszliśmy do tematu kobiet. Amina nigdy nie czuła się dyskryminowana ze względu na płeć, ale w tej kwestii trudno było nam się zgodzić, bo jej argumenty, że mężczyźni zostali wyposażeni w bardziej sprawny mózg i siłę po to, by mogli pracować więcej i ciężiej, a swoją pracą utrzymywać kobiety, w ogóle mnie nie przekonywały. Sama zresztą była ich zaprzeczeniem. Na oko miała minimum siedemdziesiąt lat. Zaczęła pracować, zanim skończyła dziesiąty rok życia, i mimo sędziwego wieku wciąż nie mogła odpocząć.

– Nie dane mi było wyjść za mąż – rozwiła moje wątpliwości.

– A gdybyś wyszła, nie musiałabyś pracować?

– Pracowałabym dla mojego męża, a on dla mnie – odpowiedziała niezrażona.

To brzmiało niemal jak partnerstwo i faktycznie tak właśnie można spojrzeć na patriariat, w którym mąż utrzymuje żonę, a ona służy jego wygodzie. Oboje pracują i oboje czerpią z tego korzyści. Niektórzy pewnie się w tym odnajdują, ale ja nie byłabym w stanie. A może w ogóle nie powinnam tego rozpatrywać? Przecież jeśli zostanę żoną Badra, nigdy nie będę musiała pracować. To on będzie pracował dla mnie. Moja wewnętrzna feministka zaczęła mi podpowiadać rozwiązanie. Może ja też, tak jak Hayat, nie powinnam walczyć z systemem, tylko pozornie przystać na jego zasady, a później próbować zmienić go od środka?

Hayat i Amina były muzułmankami, ale różniły się pod każdym względem. Zrozumiałam, że jeśli faktycznie chcę poślubić Badra, powinnam przyjąć pewne zasady panujące w jego kraju, ale wcale nie muszę tego robić na czyichś warunkach. Mogę tu żyć po swojemu.

Jeszcze tego samego wieczoru powiedziałam ukochanemu, że spełnię jego życzenie.

– Przejdę na islam – wyszeptalam, bo sama bardzo bałam się tych słów.

– Kochana Amina! Poza mamą tylko ona potrafiła mnie przekonać do jedzenia kofty.

– Ja uwielbiam koftę. Gdybyś mi powiedział, że jest wybór pomiędzy islamem a koftą...

– Uważaj, Emily – zatrzymał mnie Badr, mrugając porozumiewawczo. – Muzułmance nie przystają takie porównania.

– Muzułmanki nie żartują?

– Nigdy z islamu.

Zrobiło się poważnie. Zamilkłam, ale Badr szybko znalazł sposób na rozluźnienie atmosfery.

Uwielbiałam momenty, kiedy zdejmował ze mnie ubranie. Miał tę niezwykłą umiejętność rozbierania mnie i siebie jednocześnie. Noc, podczas której zdecydowałam się zostać muzułmanką, była przepełniona gorącym seksem. Jeśli tak właśnie miał wyglądać mój raj, to nie miałam wątpliwości, że

podjęłam właściwą decyzję.

Amina stała się moją muzułmańską nianią i przeprowadziła mnie przez cały proces przyjmowania wiary. On sam bardzo mnie zaskoczył, bo znowu w żaden sposób nie przystawał do wyobrażeń dziewczyny z chrześcijańskiej, przynajmniej w swej historii, Europy.

Konwersja na islam jest niezwykle prosta, chociaż muzułmanie jej za taką nie uznają, podkreślając jej głębokie znaczenie. Jedynym, co musi zrobić człowiek przyjmujący tę religię za swoją, jest wypowiedzenie szahady – zdania zwanego świadectwem wiary: *La ilaha illa Allah, Muhammad rasoolu Allah*, co oznacza: „Nie ma prawdziwego Boga oprócz Allaha, a Mahomet jest Wysłannikiem (Prorokiem) Boga”.

Kiedy ktoś wypowiada szahadę z przekonaniem i zrozumieniem jej znaczenia, staje się muzułmaninem. Ale to dopiero początek, bo aby być muzułmaninem w pełni, należy również uwierzyć, że Koran jest dosłownym słowem Boga, objawionym przez niego samego, uznać nadejście Sądu Ostatecznego i działalność proroków oraz wyrzec się czczenia innych bóstw. Ważne jest też przestrzeganie religijnych zasad wynikających z pięciu filarów islamu, Koranu i hadisów.

Konwersji na islam można dokonać samodzielnie albo w obecności świadków, trzeba jednak pamiętać, że o ile przyjęcie religii jest prostym aktem, zrezygnowanie z niej uważa się za grzech śmiertelny i w niektórych krajach karze więzieniem, a nawet śmiercią.

Przyjęcie nowej religii wiązało się z jeszcze jedną ważną dla mnie zmianą. O ile wypowiedzenie słów szahady nie zrobiło na mnie większego wrażenia, o tyle zmiana imienia na islamskie była dla mnie bardzo istotna.

– Rozmawiałam o tym z Badrem – powiedziała Hayat. – On wybrał dla ciebie imię Lamis.

Imię mi się podobało, choć w pierwszej chwili się zirytowałam.

– Nie mógł mi tego sam powiedzieć?

– Zostawił to mnie. On nie jest dobry w tych sprawach.

– W tych sprawach? To znaczy w nadawaniu imienia swojej żonie? Często to robi? Jak mniemam, swoim poprzednim żonom imion zmieniać nie musiał... – Denerwowałam się coraz bardziej.

Hayat mnie przytuliła.

– Kochanie, ty nie masz w sobie nic z tamtych dziewczyn, jesteś zupełnie wyjątkowa. A mojemu bratu musisz wybaczyć. Faceci czasami nie potrafią mówić najprostszych rzeczy...

– Opowiesz mi o jego żonach?

– Tak, ale nie teraz... To nie jest dobry moment.

To musiało mi wystarczyć. Spojrzałam na Hayat, która wyraźnie czekała na mój uśmiech, uśmiechnęłam się więc.

– No, już się nie denerwuj. Lamis to piękne imię.

– Trochę podobne do Emily. Lamis – Emily. Emily – Lamis – powtarzałam.

– Po arabsku oznacza ono „delikatna w dotyku”.

No tak, nie miałam wątpliwości, że autorem tego pomysłu musiał być Badr.

Przyznam, że przyjęcie islamu nie było dla mnie w żaden sposób metafizycznym przeżyciem, ale na dzień przed moim ślubem zdarzyło się coś, co ewidentnie nosiło takie znamiona. Mama odebrała telefon z Francji. Jej siostra miała dla niej teoretycznie smutną wiadomość, choć w moich rodzicach wywołała ona tylko nieodpartą chęć do żartów.

Babcia umarła.

– Wiedziałem, że tego nie zniesie – skomentował tata. – Wołała się stąd zawinąć niż doczekać chwili, w której jej wnuczka zostanie żoną Araba – skomentował tata.

Mama początkowo próbowała trzymać fason, ale doznała ze strony teściowej tylu nieprzyjemności, że już dawno pogrzebała ich relację. Jej śmierć jedynie ostatecznie to przypieczerowała.

– Chcecie jechać na pogrzeb? Może powinniśmy odwołać wesele? – zapytałam.

– Absolutnie, córeczko! – zaoponowała mama. – Babcia będzie musiała na nas poczekać. A jeśli nie będzie chciała, to jak zwykle zostanie sama. – Oczywiście zdawała sobie sprawę z tego, że babcia po raz pierwszy nie ma nic do powiedzenia.

– Zdążymy ją pochować. Teraz najważniejsza jesteś ty i twoja przyszłość – dorzucił tata. Badr chyba najbardziej przejął się śmiercią babci.

– Jesteś pewna, że twoi rodzice nie chcą lecieć do Francji? Możemy to przecież bez problemu załatwić.

– Nie, w Paryżu na pogrzeb czeka się dłużej niż tutaj. Wy chowacie zmarłych niemal zaraz po śmierci, a u nas to trwa. Poza tym babcia będzie skremowana, co jeszcze bardziej wydłuży cały proces.

– Może zatem niech ją skremują, a ja wyślę samolot, by przywiózł ją tutaj? – zaproponował mój przyszły mąż. I choć brzmiał całkiem poważnie, mnie rozbawił niemal do łez.

– To byłaby ostateczna zemsta na skrajnej bigotce i rasistce! Ona nie miała pojęcia, że przyjechałam islam, nie sądzę też, że знаła datę naszego ślubu, a jednak wolała zejść z tego świata, zanim za ciebie wyszłam. Gdybyśmy przywieźli tu teraz jej prochy, chyba prędzej sama rozsypałaby się na pustyni, niż zniosła widok naszego wesela. Nawet skremowana dałaby nam popalić!

– Chyba bardzo nie lubiłaś swojej babci – zauważył Badr.

– Zasłużyła sobie. Obróciła życie moich rodziców w koszmar, a i w stosunku do mnie nigdy nie była miła. Zresztą w stosunku do ciebie też. Czy naprawdę nie pamiętasz tej jędzy, która obraziła cię, kiedy przyjechaliśmy do rodziców na pierwsze święta?

– Pamiętam ją doskonale, ale nie czułem się obrażony. Po prostu nie przypadłem jej do gustu.

– Dałeś jej wtedy popalić. Nigdy nie widziałam, by ktoś tak koncertowo utarł jej nosa.

– Ale to ciągle twoja babcia, twoja rodzina – tłumaczył Badr.

Ja jednak myślałam tylko o tym, że wychodzę za cudownego mężczyznę, dla którego wartości rodzinne są ważniejsze niż cokolwiek innego. To wróżyło nam fantastyczną wspólną przyszłość.

ROZDZIAŁ 10

Nikah

Arabskie śluby z reguły znacznie różnią się od tych europejskich, choć dziś już mają sporo elementów wspólnych. W czasie, kiedy ja wychodziłam za Badra, w Arabii Saudyjskiej wciąż jeszcze hołdowano konserwatywnym tradycjom. No, chyba że był to ślub w rodzinie królewskiej – te wymykały się utartym schematom i czerpały z najmodniejszych światowych trendów, a radykalni klerycy mogli się im jedynie przyglądać z wściekłością.

Zanim jednak nadszedł ten wielki wieczór, czekało mnie mnóstwo emocji. Ślub w Arabii Saudyjskiej nie jest kilkugodzinnym wydarzeniem – to długi, wielodniowy rytuał, a nasz ze względu na to, że moi rodzice nie byli muzułmanami, rozpoczął się, zanim jeszcze przyjechałam do Arabii Saudyjskiej. O czym oczywiście nie miałam pojęcia.

Tradycyjnie jako panna młoda powinnam wysłać *wali* – czyli w moim przypadku tatę – aby reprezentował mnie na zgromadzeniu świadków. Musi ich być przynajmniej dwóch, a zgoda na ślub musi zostać wyrażona w obecności pobożnego muzułmanina, który przypieczętowanie *nikah*.

„Prorok Mahomet, wysłannik Allaha, powiedział: «Nie ma małżeństwa bez *wali* i dwóch prawych świadków»...”⁵. Chociaż wszyscy obecni podczas *nikah* mogą potencjalnie być świadkami, lepiej mieć dwóch formalnych świadków, którzy podpisują umowę małżeńską i mogą zostać wezwani w razie jakichkolwiek problemów.

W przekonaniu niektórych muzułmanów konieczna jest zgoda dojrzałej panny młodej – bez niej nie można wydać jej za mąż. „Wysłannik Allaha powiedział: «Dziewica nie może zostać wydana za mąż bez jej pozwolenia». Pytali, w jaki sposób wydawana jest jej zgoda. Odpowiedział: «Jej milczenie»”⁶. Jest to zatem pytanie o zgodę bardzo pozorne, bo w myśl tradycji muzułmanka nie powinna się odzywać w obecności mężczyzn.

Kiedy panna młoda udzieli swojemu *wali* pozwolenia na wydanie jej za pana młodego, lepiej, aby jej świadkami było dwóch spośród jej *mahramów*, czyli męskich krewnych. Wprawdzie oświadczenie jest ważne bez świadków, jednak w razie problemów ich zeznania będą potrzebne, by udowodnić, że kobieta zgodziła się na to małżeństwo.

Te reguły pozornie wydają się bardzo przychylne pannie młodej, ale w praktyce oddają całą władzę nad jej zamążpójściem mężczyznom, niemal kompletnie pozbawiając ją samą decyzyjności.

Kilka tygodni po pierwszym świątecznym spotkaniu w domu moich rodziców, na którym Badr mi się oświadczył, ponownie poleciliśmy do Paryża. Moi rodzice byli tak zachwyceni swoim przyszłym zięciem – a także, nie ukrywajmy, jego książęcym statusem – że postanowili wydać na jego cześć iście królewskie przyjęcie, zapraszając na nie oprócz wielu znajomych również kilka ciotek, wujków i mojego kuzynostwa. My też nie przylecieliśmy sami. Badr spytał mnie, czy możemy zabrać jego kuzyna, który właśnie wtedy spędzał czas w Wielkiej Brytanii. Ani ja, ani moi rodzice nie mieliśmy nic przeciwko temu, zwłaszcza że Malik był niemal kopiają mojego narzeczonego. Był starszy o niespełna dwa lata, miał bardzo podobną osobowość, a i z wyglądu bardzo go przypominał, co zresztą stało się podstawą do wielu żartów.

– Jak Badr wyjedzie, zawsze będziesz mogła na mnie liczyć – zapowiedział niedługo po tym, jak się poznaliśmy.

Nie widziałam w tej deklaracji nic złego, ale Badr natychmiast zareagował.

– No, no! Nawet się do niej nie zbliżaj! – zagroził z uśmiechem. – Jemu żadna się nie oprze.

– Ja się oprę – zapewniłam, podejmując grę.

Malik wyraźnie uznał to za wyzwanie, bo od tej pory często rzucał pod moim adresem aluzje, które miały znaczyć, że jest gotowy do podjęcia się roli zastępcy swojego kuzyna w każdym momencie. Zawsze puszczałam te uwagi mimo uszu, zwłaszcza że Malik był naprawdę bardzo miłym chłopakiem, którego nie dało się nie lubić.

Na przyjęciu moi rodzice starali się zrobić wrażenie i choć – jak się wkrótce okazało –

saudyjskich standardów nie udało się im dogonić, na te francuskie było naprawdę wystawnie. Kiedy wreszcie wszyscy usiedliśmy przy stole, rozpoczęły się rozmowy na ulubiony od kilku tygodni temat moich rodziców – ślubu ich córki. Byłam tym nieco skrępowana, ale Badr bardzo chętnie go podejmował.

Kiedy wszyscy już się najedli i napili, Badr zapytał, czy będę miała coś przeciwko, by porozmawiał z moim tatą o naszym ślubie. Oczywiście się zgodziłam, nie mając pojęcia, że właśnie wysyłam swojego *wali* na *nikah*. Tata zaprosił Badra, Malika, wujków i kuzynów do swojej biblioteki, którą urządził na wzór tych znanych z filmów. Nie brakowało tu brandy i cygar. Książki grały drugorzędną, raczej dekoracyjną rolę, choć tata lubił czytać – po prostu rzadko robił to w swojej bibliotece. To był raczej ekscentryczny kaprys pana w zaawansowanym średnim wieku, w którego domu było zbyt dużo niewykorzystanych pomieszczeń.

To właśnie tutaj w obecności męskich członków mojej rodziny Badr oświadczył mojemu ojcu oficjalnie, że chce mnie poślubić, i poinformował go, że mój *mahr* będzie wynosił milion dolarów, będzie wpłacany na moje europejskie konto na początku każdego roku naszego małżeństwa i zwielokrotniany z każdym dzieckiem, jakie mu dam.

Tata był oszołomiony tą kwotą, choć nie bardzo rozumiał, czym w ogóle jest *mahr*. Badr musiał mu wyjaśnić, że to zwyczajowa opłata, jaką panna młoda otrzymuje od swojego męża przed ślubem. Na tym tradycyjne elementy obrzędu się skończyły, bo *nikah* powinien zostać jeszcze potwierdzony przez imama lub świadka o nieskazitelnej opinii i będącego pobożnym muzułmaninem. Jedynym muzułmaninem poza Badrem, jaki przebywał w tym czasie w bibliotece mojego ojca, był Malik, a on raczej nie spełniał warunku nieskazitelności i pobożności.

I tak – zupełnie poza moją świadomością – zaczął się mój ślub. Jego kontynuacja miała miejsce dopiero, gdy moi rodzice dotarli do Arabii Saudyjskiej.

W tygodniu poprzedzającym wesele odbyła się zdecydowanie bardziej tradycyjna część zaślubin. Ubrano mnie na nią w szmaragdowozieloną suknię, choć i tak skrywała ją *abaja*, a moją twarz zasłaniał *nikab*.

W tej uroczystości brał udział mój tata jako *wali*. Oboje z Badrem stawiliśmy się przed imamem, którego Badr poinformował o wcześniej zatwierdzonej przez mojego tatę wysokości *mahru*. Imam wygłosił kazanie zwane *sunna khutba*, a następnie zwrócił się do mojego ojca z pytaniem, czy wyraża zgodę na małżeństwo. Po przetłumaczeniu go tata potwierdził, że nie ma nic przeciwko temu, a wtedy imam spytał Badra, czy przyjmuje mnie za żonę.

– Przyjmuję! – powiedział z radością mój ukochany.

Mnie nikt o nic nie pytał. Pomyślałam nawet, że panowie mogliby sami wziąć ten ślub, bo ja nie byłam im do niczego potrzebna. Jak się później okazało, nie było to dalekie od prawdy – wiele tradycyjnych małżeństw w Arabii Saudyjskiej zawarto bez udziału panien młodych.

Ceremonię zakończyły słowa imama: *Barak Allahu laka wa baraka alayka wa jama'a baynakuma bikhayr* – „Niech Allah was błogosławi i niech Jego błogosławieństwo zstąpi na was i zjednoczy was w dobroci”.

Byliśmy mężem i żoną w świetle saudyjskiego prawa. W Europie zaraz potem nastąpiłoby wesele, ale nie tutaj. Wprawdzie po formalnościach *nikah* odbyło się niewielkie przyjęcie w gronie najbliższej rodziny – na marne sto osób, wliczając w to dzieci – ale nikt nie uznałby tego za wystarczające celebrowanie tak ważnej chwili.

Nasze wesele odbyło się dopiero pięć dni później. Poprzedniego dnia Hayat zabrała mnie do hammamu i SPA. Wróciłam z niego totalnie obolała. Kobiety, które zdierały ze mnie warstwy martwego naskórka i pozbawiały moje ciało wszelkiego owłosienia, nie miały litości. Momentami myślałam, że tego nie przeżyję, a gdy te tortury wreszcie się skończyły i wróciłyśmy do willi, moja skóra dosłownie płonęła czerwienią.

– Spokojnie, zamówiłam ci masaż, ból zaraz minie – zapowiedziała Hayat.

– Masaż? – Byłam przerażona. – Nie pozwolę się już dziś nikomu dotknąć!

– Zaufaj mi.

– O nie, po tym wszystkim...

– Zaufaj mi! – powtórzyła Hayat z uśmiechem, choć tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Nie protestowałam już dłużej. I dobrze zrobiłam. Dwie Balijski, które się mną zajęły, sprawiły, że wspomnienie tortur związanych z poprzednimi zabiegami zupełnie uleciało z mojej głowy, a wszelkie zaczerwienienia zniknęły jak za dotknięciem magicznej różdżki. Czułam się zrelaksowana i gotowa, choć nadal nie byłam pewna, co mnie czeka następnego dnia.

Na razie jednak okazało się, że ten, który jeszcze nie dobiegł końca, ma dla mnie kolejną niespodziankę. Hayat, chyba w trosce o moje zdrowie psychiczne, rozsądnie dozowała atrakcje jedna po drugiej. Gdy dziś wspominam wszystko, co działo się w moim ślubnym tygodniu, myślę, że faktycznie była to najlepsza strategia.

Kiedy zrelaksowana i gotowa na spokojny przedślubny wieczór wyszłam z pokoju masażu, który znajdował się w naszej willi, Hayat przywitała mnie kolejnym pytaniem:

– Gotowa na swoją Laylat Al Ghumra?

– Laylat... co?

– Laylat Al Ghumra, noc henny – wyjaśniła takim tonem, jakby to było absolutnie oczywiste. – Nie możemy cię wydać za mąż bez henny. Dziewczyny już się schodzą, ale nie spiesz się, makijażystka i fryzjerka się tobą zajmą. Ja pozwoliłam sobie wybrać ci sukienkę. Możesz mi wierzyć, żadna cię nie przebije, choć wiele będzie próbowało.

I tak nie miałam nic do powiedzenia, więc nie protestowałam. Postanowiłam poddać się planom Hayat, która ewidentnie świetnie realizowała się w roli mojej przewodniczki po ślubnym arabskim świecie.

Dwie godziny później wyglądałam jak milion dolarów. Hayat miała rację – sukienkę, którą dla mnie wybrała, trudno było przebić. Ta też była zielona, ale zdecydowanie mniej konserwatywna od kreacji, którą miałam na sobie podczas ceremonii przekazania mnie mężowi. Prosta w kroju, leżała na mnie jak druga skóra i cała się mieniła tysiącami maleńkich zielonych kamieni. Miała tylko jeden minus – była nieprawdopodobnie ciężka. Nie zamierzałam jednak narzekać, bo wyglądałam w niej zniewalająco.

– Badr jest prawdziwym szczęściarzem. Zawsze miał piękne żony, ale ty bijesz na głowę każdą z nich – skomentowała z satysfakcją Hayat.

Znowu przypomniała mi o poprzednich małżeństwach mojego męża – i znowu zrobiła to w momencie, gdy nie było czasu na zadanie nurtujących mnie od dawna pytań. Moja ciekawość jednak rosła. Kochałam Badra i nie miałam zamiaru rozliczać go z przeszłości, ale jednocześnie uważałam, że powinnam ją znać. Nie podchodziłam do tego emocjonalnie, po prostu byłam ciekawa. Przeszłość to przeszłość, podejrzana jest tylko wtedy, gdy ktoś ją ukrywa.

Kiedy tylko byłam gotowa, Hayat porwała mnie na dół, gdzie w niemal celebryckim stylu powitało mnie kilkadziesiąt pięknych, ubranych w kreacje jak prosto z wybiegu, kobiet w różnym wieku. Nie miałam wątpliwości, że wszystkie poza moją mamą, którą wypatrzyłam na czele tego tłumu, są Arabkami i najpewniej należą do rodziny Al Saudów. Choć ja żadnej z nich wcześniej nie poznałam, one zdawały się doskonale wiedzieć, kim jestem, i traktowały mnie tak, jakby wpadły na urodziny do najlepszej przyjaciółki.

Zasypały mnie kwiatami, prezentami, uściskami i pocałunkami. Każda z nich przedstawiała mi się, podając swoje imię i wyjaśniając, kim jest. Czyją żoną, kuzynką, siostrą... Niektóre wspominały o dziecięcych zabawach z Badrem, inne powoływały się na jego przyjaźń z ich mężami lub braćmi. Każda miała jakąś historię prowadzącą do mojego męża, a więc i do mnie, ale ja nie byłam w stanie zapamiętać żadnej z nich.

Impreza rozpoczęła się już w trakcie przyjmowania przeze mnie powitań i gratulacji, bo czekające na swoją kolej kobiety formowały grupki, racząc się poczęstunkiem i drinkami. Bezalkoholowymi, jak podejrzewałam, choć sądząc po ich szampańskich humorach, nie mogłam mieć pewności.

Wreszcie ta część spotkania dobiegła końca i zasiadłyśmy na sofach oraz fotelach ustawionych w *majlisie*. Mebli było tu znacznie więcej niż zwykle, tak by wygodnie pomieścić wszystkie kobiety. Kiedy już każda zajęła miejsce, do sali weszło kilkanaście zgrzebnie ubranych dziewcząt, które – jak

okazało się chwilę później – specjalizowały się w malowaniu ornamentów henną. Jedna z nich podeszła do mnie, usiadła na małym krzeselku, które przyniosła ze sobą, łagodnym ruchem ujęła moją dłoń, po czym przyjemnie łaskocząc, zaczęła zdobić palce. Była niezwykle utalentowana. Wpatrywałam się w dzieło powstające na moich rękach z nieskrywaną fascynacją. Widziałam wcześniej dłonie pomalowane henną, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że to zwyczaj związany ze ślubami. I choć dziś wiele arabskich panien młodych rezygnuje z tego obrządku, ja bardzo się cieszę, że miałam okazję wziąć w nim udział i mieć swoją własną Laylat Al Ghumra. Zwłaszcza że był to przedsmak zabawy, jaka czekała nas już następnego wieczoru. Miałam okazję poznać kobiety z rodziny, zanim stanę przed nimi jako debiutantka.

Po tym, jak rytuał zdobienia henną się skończył, ściany willi zadrżały od muzyki. Wszystkie prezenty, których niezliczone ilości przyniesiono na moją cześć, wyeksponowano na stołach wzdłuż holu. Hayat wytłumaczyła mi później, że to wyraz szacunku i wdzięczności. W ten sposób składa się gościom symboliczne podziękowanie za podarunki, choć sądząc po atmosferze, większość z zebranych pań wcale nie była podziękowaniami zainteresowana. Zdecydowanie bardziej interesowała je zabawa. Połowa już po pierwszych taktach muzyki ruszyła do tańca.

Byłam zachwycona tym widokiem, ale nie dane mi było podziwiać go w roli obserwarki, bo zaraz i ja zostałam porwana w wir zabawy. Przypomniały mi się nie tak dawne imprezy z Aliną i Karen, nasze szaleństwa na parkiecie do białego rana, pijackie wybryki i podrywanie chłopaków. Wszystko to było bliskim wspomnieniem, a wydawało się zamierzchną przeszłością. Teraz byłam częścią zupełnie innego świata i choć nie zdążyłam się w nim jeszcze zadomowić, czułam, że wszystko – absolutnie wszystko – się zmieniło.

Tańce skończyły się sporo po drugiej w nocy, a były tylko przedsmakiem tego, co czekało mnie nazajutrz. Saudyjskie wesela zwykle rozpoczynają się po dziesiątej wieczorem, rzadko wcześniej, i trwają do świtu. Czekala mnie zatem kolejna doba pełna emocji.

Mój mąż dołączał do mnie w nocy, ale poza tym nie spędzaliśmy razem czasu. W dniu wesela też tak było. Mnie wydawało się to zupełnie niewłaściwe, nie mogłam zrozumieć, dlaczego Badr mnie unika. Jediną osobą, której mogłam się na to poskarżyć, była oczywiście Hayat.

– Oj Lamis, *habibti*, nawet nie wiesz, jakie masz szczęście – skomentowała. – Wiele kobiet, również tych, które bawiły się na twoim przyjęciu, nie znało swoich mężów, zanim za nich wyszły. Ty dobrze poznałaś Badra, to cudowne, że za nim tęsknisz, ale wierz mi, że w rodzinie nie jeden marszczy czoło, wiedząc, że mieszkacie razem od chwili, gdy przyjechałaś do Królestwa. Takie rzeczy dopiero po ślubie...

– Ale my już jesteśmy po ślubie...

– Spokojnie, już jutro całe to szaleństwo wokół was się skończy i będziecie mogli rozpocząć zwyczajne nudne życie jako mąż i żona.

– Nie reklamujesz tego najlepiej – westchnęłam. – Ty też się nudzisz w swoim małżeństwie?

– Nie, ale mój mąż jest gejem – zaśmiała się Hayat.

No tak, wciąż jeszcze pamiętałam te imprezy w klubach gejowskich Manchesteru. Nigdzie nie bawiłam się lepiej. Tymczasem już tylko godziny dzieliły mnie od największej imprezy w życiu.

Moja suknia ślubna była absolutnie nie z tej ziemi. Jej wybór trwał kilka dni, a żeby dokonać wstępnej selekcji, Hayat sprowadziła do willi ponad pół tysiąca projektów. Dwadzieścia modelek prezentowało je niestrudzenie przez niemal cały dzień. Po kilku godzinach nie byłam już w stanie odróżnić jednej od drugiej, a przed oczami miałam tylko biel, zupełnie jakbym zgubiła się w czasie wędrówki przez śniegi Antarktydy. Odpuściłam więc i zdałam się na wybór szwagierki, która – zupełnie niezrażona moją nieobecnością – nadal ganiała modelki po zaaranżowanym w willi wybiegu. Finalnie wybrała trzy kreacje i spośród nich miałam wytypować tę jedyną, choć najchętniej poszłabym do ślubu w kiece z H&M. No, może z Top Shopu, ale to tylko jeśli byłabym naprawdę bardzo zakochana.

Ostatecznie na weselu pojawiłam się w przepięknej zwiewnej sukni od Eliego Saaba, choć Vera Wang czekała w pogotowiu, na wypadek gdyby coś wydarzyło się z tą pierwszą. Same te kreacje i dobrane do nich buty kosztowały prawie milion dolarów – oczywiście nie licząc biżuterii. Choć żyłam w zbytku przez długi czas, a i później nigdy nie brakowało mi pieniędzy, nadal uważam te ceny za

wysoce niemoralne.

Ślub odbywał się w tradycyjnej formule – mężczyźni bawili się osobno, a kobiety osobno. W sali dla pań było ich sporo ponad tysiąc, może nawet tysiąc pięćset. Nigdy nie poznałam prawdziwej liczby, ale moje szacunki nie mogły być dalekie od prawdy. Istny tłum zasiadł na potężnej widowni zastawionej elegancko przystrojonymi krzesłami zwróconymi w kierunku sceny. Scena zaś tonęła w kwiatkach – zwisały nad nią girlandy misternie plecione z orchidei, tworzące istnie baśniowe tło dla aksamitnej, bogato zdobionej sofy, którą ustawiono w jej centralnym punkcie.

Kiedy większość kobiet zajęła miejsca, do sali wpłynęło kilkadziesiąt identycznie ubranych służących z tacami wypełnionymi małymi filiżankami z herbatą, pralinami w kilkunastu rodzajach oraz migdałami obsypywanymi prawdziwym złotem w jego jadalnej odmianie. Obsłużenie takiej liczby gości wydawało się nadludzkim zadaniem, ale służące poradziły sobie z tym nadzwyczaj sprawnie, a gdy już wszystkie zebrane ciotki, siostry i kuzynki zostały odpowiednio przywitane poczęstunkiem, Hayat, która dyrygowała całym przedsięwzięciem – choć wynajęła do tego celu kilku skoordynowanych reżyserów – dała mi znak, że mam wyjść na scenę i usiąść na sofie.

– Nie musisz nic mówić. Po prostu wyjdź, ukłoń się i usiądź. Nie zapomnij się uśmiechać, a przede wszystkim nie potknij się na schodach – instruowała. – No już, idź...

Wysłałam przy ogłuszającym aplauzie zebranych kobiet. Większość z nich widziała mnie po raz pierwszy w życiu, pewnie były i takie, które miały problem z umiejscowieniem mnie w rodzinnej hierarchii, ale nie przeszkadzało im to wiwatować na moją cześć. Niektóre gwizdały, inne wołały coś po arabsku, ale wszystkie zdawały się bardzo mi przychylnie. Kłaniałam im się wielokrotnie, a gdy brawa i okrzyki zaczęły tracić na sile, zgodnie z instrukcją Hayat usiadłam na sofie.

Przez kolejny kwadrans nie działo się praktycznie nic. Z ustami rozciągniętymi w nieustannym uśmiechu zaczynałam się czuć jak manekin w witrynie sklepowej. W końcu sala ponownie rozbrzmiała gromkimi brawami. Początkowo nie miałam pojęcia, co się dzieje, ale szybko się zorientowałam, że ta kolejna fala wiwatów jest na cześć Badra, który w towarzystwie Malika i dwóch innych młodych chłopaków, których nie miałam jeszcze okazji poznać, właśnie zmierzał w kierunku sceny. W normalnych warunkach kobiety w takiej chwili musiałyby się zakryć, ale cóż znaczyło czterech chłopaków w konfrontacji z kilkunastoma setkami pań. Nikt tu nie przejmował się konwenansami.

To wszystko miało w sobie coś ze spektaklu, ale jednocześnie było bardzo miłe. Badr podszedł do mnie, ukłonił się, ujął moją dłoń i pomógł mi wstać. Następnie przytulił mnie mocno, co wywołało kolejną falę entuzjazmu na sali. Kiedy ten stopniowo cichł, mój mąż wziął do ręki mikrofon i powiedział:

– Lamis, najdroższa, dzień, w którym cię poznałem, na zawsze pozostanie jednym z najszczęśliwszych w moim życiu. Sprawiałaś, że po latach, które spędziłem na samotnej wędrówce przez świat, wreszcie odnalazłem spokój. Moje skolatanie serce przepełniło się radością, a moje oczy zaczęły patrzeć w przyszłość. Wiem, że to Allah postawił cię na mojej drodze. Wiem, że moja mama, odchodząc z tego świata, zostawiła tu miłość, która wreszcie znalazła swoje miejsce. I wiem, że połączy nas już na zawsze.

Kiedy skończył, znowu mnie przytulił i czule pocałował. Tym razem sala nie zareagowała brawami od razu, wiele kobiet ocierało łzy wzruszenia, dopiero kiedy opanowały emocje, znowu rozległ się gromki aplauz. Ode mnie nikt nie oczekiwał wyznania. Powinam się na to obruszyć, ale wtedy byłam zadowolona, bo wzruszenie odbierało mi głos, a w głowie czułam kompletną pustkę. Za to w sercu wyłącznie miłość. Byłam w moim mężu zakochana na śmierć i życie i miałam nadzieję, że jego słowa spełnią się w każdym calu.

Po swojej przemowie Badr został obstąpiony przez ciotki i kuzynki, a i mnie wiele z nich wyczuwało, często wspominając Allaha przy uściskach. Gdy wreszcie nam odpuściły, mój mąż wrócił na salę, na której bawili się mężczyźni. Panie jednak nie miały zamiaru robić z tego tragedii, bo właśnie w tym momencie wesele przybrało obrót, którego nie mogłam się spodziewać nawet po próbie, jaką miałam szansę obserwować poprzedniego wieczoru.

Tradycyjnie tańce rozpoczynają na saudyjskich weselach rodzice państwa młodych, a że u nas na sali kobiet była tylko moja mama, złapałam ją za rękę i ruszyłyśmy na parkiet. Nie poznawałam jej. Widziałam ją smutną tysiące razy, uśmiechniętą też zdarzało mi się ją widywać, ale nigdy nie widziałam

jej w takim nastroju. Radość z mojego zamążpójścia sprawiła, że była jedną z najbardziej szalonych tancerek.

– Nigdy więcej wina – powiedziała ku mojemu zdumieniu, gdy po kilkudziesięciu minutach postanowiła zrobić sobie przerwę. – My we Francji udajemy, że bez niego nie potrafimy się bawić, a tu proszę, ani grama alkoholu i taka zabawa!

Saudyjska abstynencja była dla mojej mamy, miłośniczki wina, prawdziwym odkryciem kulturowym. I choć po powrocie do Paryża nie zarzuciła swojej pasji, znacząco ją ograniczyła, wszystkim gościom opowiadając, jak fantastycznie można się bawić bez alkoholu.

Moi rodzice byli w Arabii Saudyjskiej ponad dwa tygodnie, ale razem spędziłyśmy bardzo niewiele czasu. Dotarło to do mnie dopiero podczas wesela, gdy obserwowałam moją mamę w wirze zabawy. Oni zdawali się akceptować ten stan rzeczy, a ja powoli się orientowałam, że moje życie bezpowrotnie się zmieniło. Będąc w mojej ojczyźnie, Badr i ja spędzaliśmy praktycznie cały czas z moimi rodzicami, będąc u niego – byłam od nich niemal zupełnie odizolowana, nawet gdy znajdowali się na wyciągnięcie ręki. A najgorsze jest to, że zajęło mi sporo czasu, by w ogóle to zauważyć.

Nie mogłam jednak już niczego zrobić. Stałam przed wyborem: walczyć z zasadami związanymi z moim nowym statusem albo zaakceptować je i spróbować odnaleźć szczęście. Miałam u swego boku mężczyznę, w którym byłam szaleńczo zakochana, i to wtedy liczyło się dla mnie najbardziej. Zwłaszcza że po weselu czekała nas podróż, w trakcie której po raz pierwszy od dłuższego czasu mogliśmy być znowu tylko we dwoje.

Badr zabrał mnie do prywatnego kurortu na Malediwach. Od kiedy przyleciałam do Arabii Saudyjskiej, miałam wszystko, czego zapragnęłam, na skinienie dłoni, choć tak naprawdę najbardziej brakowało mi obecności mojego ukochanego. Tam miałam już wszystko. I jego, i luksus, który wprawdzie początkowo mi nie imponował, jednak szybko do niego przywykłam.

Po kilku dniach z dala od ludzi, telefonów i wszelkich problemów postanowiłam wreszcie zapytać Badra o jego poprzednie małżeństwo.

– Po co do tego wracać? Teraz liczysz się tylko ty – odpowiedział ze swoim uroczym uśmiechem.

Ja jednak nie zamierzałam dać za wygraną.

– Nie chcę do tego wracać, po prostu pragnę znać przeszłość swojego męża – upierałam się.

– Przeszłość twojego męża... była smutna... dopóki... nie pojawiłaś się... w jego życiu. – Badr całował mnie pomiędzy kolejnymi słowami. Zaczął się do mnie dobierać, ale ja nie chciałam dać się zbyć. Odwróciłam głowę, unikając kolejnego pocałunku. – Hej, jesteś moją żoną od kilku dni i już mnie unikasz? – spytał z miną zbitego psa.

– Na razie to ty unikasz... odpowiedzi na moje pytanie.

Badr chyba zrozumiał, że jego metoda nie zadziała, bo usiadł na brzegu łóżka i spuścił głowę.

– Naprawdę chcesz o nich rozmawiać?

– Nie musimy rozmawiać o nich. Ale chcę wiedzieć, co się z nimi stało i dlaczego wam nie wyszło.

– No dobrze, opowiem ci, ale musisz obiecać, że potem porzucisz ten temat i nie będziemy już nigdy więcej do tego wracać.

– Obiecuję – odparłam, ciesząc się ze swojego małego zwycięstwa.

Wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, że nie będę w stanie dotrzymać danego słowa. Wbrew temu, co twierdził Badr, ta historia wcale nie była bez znaczenia w kontekście naszej przyszłości. Wręcz przeciwnie – miała na nią ogromny wpływ.

5 Ibn Hibban.

6 Buchari.

ROZDZIAŁ 11

Żony

Książę Hafiz, ojciec Badra, był człowiekiem, który nie lubił wchodzić w konflikty, głównie dlatego, że nie potrafił się w nich odnaleźć. Jedno, co na pewno mu wychodziło, to wybieranie stron, które gwarantowały mu większe korzyści. To dlatego pozostawał pod tak wielkim wpływem swojego teścia, który zrobił sobie z Hafiza chłopca na posyłki, zlecając mu z reguły brudną robotę. Książę nie zawsze był zadowolony z woli teścia, ale nigdy się jej nie sprzeciwiał. A ponieważ należał do osób ze sporymi aspiracjami, lecz niskim poczuciem własnej wartości, był dla ojca Lubny partnerem idealnym. Wystarczyły mu pochwały i dostęp do wygodnego życia, a bez zmruczenia oka dawał się wykorzystywać swojemu teściowi. Ten zaś chętnie podpierał się tytułem Hafiza tam, gdzie było mu to na rękę. Szczególnie przydatne okazywało się to w przedsięwzięciach w Europie i Stanach, gdzie hasło „saudyjski książę” otwiera wiele drzwi i wielu rzuca na kolana.

Kiedy do władzy doszedł król Fahd, a stosunki pomiędzy Hafizem i Lubną zaczęły się ochładzać, książę próbował się uniezależnić od teścia i zacząć działać na własną rękę. Szybko jednak w bardzo bolesny sposób przekonał się, że takie ruchy nie mają większego sensu, a przy okazji naraził się jednemu ze swoich kuzynów, Mohammedowi, który od tej chwili stał się jego potężnym wrogiem.

Fahd bin Abdulaziz Al Saud nie zapisał się w historii Arabii Saudyjskiej jako najlepszy z jej władców. Kazał się tytułować Strażnikiem Dwóch Świętych Meczetów zamiast Waszą Wysokością, co wskazywało na jego podejście do spraw państwowych. W tym zaś nie było mowy o jakiegokolwiek liberalizacji islamskiego prawa. Wręcz przeciwnie – za jego rządów ulemowie i policja religijna zyskali na znaczeniu, a segregacja płciowa i rygor w egzekwowaniu prawa koranicznego znacznie się zwiększyły. Ceny ropy bardzo spadły, a sam Fahd, żyjąc w strachu przed obaleniem monarchii, do którego doszło w Iranie zaledwie trzy lata przed jego koronacją, zamiast rozwijać państwo, przeznaczał ogromne pieniądze na zbrojenia. Większość funduszy zaplanowanych na budowę szpitali i innych miejsc użyteczności publicznej finansowała armię oraz wojnę Saddama Husajna z Iranem.

W strachu przed obaleniem postanowił nie narażać się również rodzinie, która po latach zaciskania pasa – oczywiście jak na standardy saudyjskiej rodziny królewskiej – mogła znowu cieszyć się możliwością wydawania kroci praktycznie bez kontroli.

Oczywiście ci, którzy byli bliżej króla, mieli w tej kwestii zdecydowanie większe przywileje – a Hafiz miał szansę należeć do tej grupy dzięki swoim rodzinnym powiązaniom. Niestety, aby utrzymać wysoką pozycję i czerpać z niej benefity, potrzebne są nie tylko powiązania, ale także intelekt i spryt, a tego ojcu Badra ewidentnie brakowało.

Jedna z saudyjskich firm deweloperskich, która miała ogromne nadzieje na zbudowanie potęgi, całkiem słusznie założyła, że jedynym sposobem, by to osiągnąć, są kontakty z dworem. Tak właśnie swoją nieprawdopodobną fortunę zbudowały koncerty Olayan – należący do rodziny, z której pochodzi matka Badra, czy Saudi Binladen Group, założony przez ojca najsłynniejszego terrorysty islamskiego w historii, Osamy bin Ladena.

Każdy, kto chce zbić fortunę na rynku deweloperskim w Arabii Saudyjskiej, wie, że bez protekcji dworu nie ma na to najmniejszych szans. To było niedługo po tym, jak Fahd zasiadł na tronie i nieznany był jeszcze kierunek jego polityki, choć po latach rozbudowy państwa można było przypuszczać, że pójdzie on śladami swoich poprzedników. Hafiz, o którego lekkomyślności i naiwności wiedziało wielu, wydawał się idealnym człowiekiem, by ułatwić dojście do króla, ale niedługo po zmianie władcy w pałacu Al Yamamah wygodne miejsca wokół tronu mościło sobie wielu książąt, konkurencja była naprawdę spora.

Hafiz próbował dotrzeć do króla z projektem budowy kilkunastu nowoczesnych biurowców w centrum Rijadu – projektem, który miał go finansowo uniezależnić od ciągle kontrolującego go teścia. Mimo całej swojej naiwności Hafiz zaczynał odczuwać negatywne skutki tej relacji, choć miał świadomość, że w razie zerwania ich biznesowej unii jego fortuna znacznie się uszczupli.

Teść korzystał z usług Hafiza z dwóch powodów. Po pierwsze, uważał go za nieudacznika, a tylko przydzielając mu zadania, sprawiał, że ten mógł się do czegoś przydać. Po drugie, dzięki temu układowi miał kontrolę nad resztą rodziny. W podobny sposób zresztą uzależnił od siebie wszystkich synów i zięciów.

Będąc osobą o wielkich wpływach, teść Hafiza szybko się dowiedział, że ten lobbuje na rzecz konkurencyjnej, choć dużo mniejszej firmy. Sam zresztą miał chrapkę na tak prestiżowy kontrakt, spodziewając się, że w najbliższych latach w Królestwie podobnych przedsięwzięć deweloperskich będzie znacznie mniej. W lekcji pokory miał mu pomóc właśnie książę Mohammed, który w przeszłości negocjował wiele kontraktów budowlanych, zwłaszcza tych w prowincji Rijad, a dla króla Fahda pertraktował ogromny kontrakt na zakup broni od Wielkiej Brytanii.

Sposób na pozbawienie Hafiza szans na posłuch w pałacu był dość prosty – wystarczyło skompromitować go w oczach króla. Mohammed miał po temu wszelkie narzędzia. Na początek zbliżył się do Hafiza po przyjacielsku i obiecał mu spotkanie z królem w celu przedstawienia projektu.

Król Fahd miał raczej łagodne usposobienie, ale potrafił się gwałtownie irytować. W sprawach biznesowych nie lubił zagłębiać się w detale i oczekiwał przedstawienia efektów. W tej kwestii prezentacja firmy, którą miał nadzieję przedstawić królowi książę Hafiz, nie miała sobie równych. Kilkanaście grafik prezentujących nowoczesne centrum, jakie stolica zyska po zakończeniu realizacji projektu, zostało przygotowanych przez wytrawnych artystów. Były to czasy, kiedy podobnych wizualizacji nie przygotowywało się na komputerze, ale te i tak były prawdziwymi dziełami sztuki.

– Jestem przekonany, że zrobią na królu piorunujące wrażenie – zapewnił książę Mohammed, gdy Hafiz zapoznał go z treścią prezentacji.

I mówił prawdę. Zapomniał tylko dodać, że owo piorunujące wrażenie będzie związane głównie z ciskaniem gromów.

Prezentacja miała się odbyć w pałacu Erga, w którym podpisano mnóstwo opiewających na miliardy kontraktów zmieniających Arabię Saudyjską w nowoczesny kraj. Ale to nie był ten przypadek.

W ogromnej sali, bogato zdobionej złotem, marmurem i lakierowanym na wysoki połysk drewnem tekowym, przy masywnym okrągłym stole zasiadł król Fahd otoczony swoimi najbliższymi współpracownikami. Znajdował się w tym gronie książę Mohammed, ale było też miejsce dla Hafiza. On był tu łącznikiem pomiędzy potencjalnym inwestorem w osobie króla i firmą, która miała zrealizować przełomowy projekt.

Niewątpliwie miejsce w jednym szeregu z rodziną królewską i ministrami bardzo mu schlebiało. Po drugiej stronie stali doskonale przygotowani przedsiębiorcy, którzy na dany znak rozpoczęli pełną pasji prezentację. Nikt w jej trakcie nie śmiał obserwować reakcji króla, zresztą zwieszane z głów *ghutry* dość mocno ograniczały pole widzenia. Nie minęło jednak pięć minut, gdy wokół władcy zrobiło się poruszenie. Fahd wstał i nie rozglądając się na boki, wyszedł z sali tylnym wyjściem. Tuż za nim jeden po drugim komnatę opuścili pozostali uczestnicy spotkania. Ostatecznie w sali został tylko książę Hafiz. Kompletnie zdezorientowany, nie miał pojęcia, co się właśnie wydarzyło. Nie potrafił też wyjaśnić tego przedstawicielom firmy, na której rzecz lobbował.

Kilka minut później do pomieszczenia weszło dwóch urzędników, którzy nie byli wcześniej obecni na spotkaniu.

– Król Fahd życzy sobie, żebyście natychmiast opuścili jego pałac. Straż odeskortuje was do wyjścia – powiedział jeden z nich.

Hafiz, wciąż zagubiony, nie miał innego wyjścia, jak tylko poddać się królewskiej woli. Chciał spytać, co się wydarzyło, ale urzędnicy nie wyglądali ani na chętnych do dyskusji, ani na takich, którzy posiadaliby w tej kwestii jakąkolwiek wiedzę.

Księciu przez długi czas nie dawało spokoju, co tak naprawdę wydarzyło się w pałacu Erga, a że jedyną osobą, która była w stanie mu to wyjaśnić, był Mohammed, próbował się z nim usilnie skontaktować. Okazało się to trudne, jednak gdy w końcu się udało, ich rozmowa nie trwała długo.

– Miałeś przedstawić królowi szczegóły kontraktu zbrojeniowego, a ty przyprowadziłeś mu jakichś pajaców z kolorowankami – powiedział Mohammed, doskonale zdając sobie sprawę, że nie taka była umowa.

– Jakiego kontraktu zbrojeniowego? Od początku mówiłem ci o budowie biurowców... – odpowiedział zaskoczony Hafiz.

– Pamiętam wyraźnie, że rozmawialiśmy o zbrojeniach.

– Nie, dobrze wiesz, że o nich nie rozmawialiśmy!

– Wybacz, kuzynie, ale ja zajmuję się teraz głównie wzmacnianiem naszej armii. Dobrze wiesz, że Saddam grozi Kuwejtowi. Na razie jest zajęty Iranem, ale nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Król jest obecnie zainteresowany wyłącznie armią, a nie budową ładnych domków.

– To po co mnie zaprosił?

– Zaprosił cię, żebyś mu pomógł w realizacji misji wzmacniania państwa. A ty przyprowadziłeś jakichś marzycieli. Te piękne obrazki nie obronią saudyjskich kobiet i dzieci, gdy nadejdą ciężkie czasy...

Hafiz zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że został celowo wystawiony przez Mohammeda. Dokładnie pamiętał, jakie były ustalenia, o pomyłce nie mogło być mowy, bo żadna firma zbrojeniowa nie leżała w kręgu jego zainteresowań. To nie mogło być przejęzyczenie, nieporozumienie – to było celowe działanie. Tego dnia Mohammed stał się jego dozgonnym wrogiem, choć Hafiz jeszcze przez długie lata nie miał pojęcia, że książę działał na zlecenie jego teścia, a jego głównym celem było wytrącenie mu z ręki wszelkich narzędzi służących uniezależnieniu się od niego.

Kiedy umarła Lubna, jej ojciec nie miał pretensji do Hafiza. Nie widział zresztą w tej śmierci winy zięcia. Zupełnie innego zdania był Badr, który całą swoją złość po stracie matki skupił na ojcu. Działał jak zranione zwierzę, które kąsa i zadaje ciosy na oślep. Jednym z takich ciosów miało być poślubienie córki śmiertelnego wroga swojego ojca. Książę Mohammed ewidentnie lubował się w dogryzaniu kuzynowi, bo na zaloty Badra, pomijające tradycyjną umowę pomiędzy rodzicami, zareagował z ogromnym entuzjazmem.

Żoną Badra miała zostać druga w kolejności urodzenia córka księcia Mohammeda, Malal. Miała wtedy szesnaście lat i od dawna była przygotowana do zamążpójścia. Badr oczywiście nie miał zamiaru angażować się w życie małżeńskie. W dalszym ciągu studiował w Wielkiej Brytanii i planował wrócić tam zaraz po ślubie. Książę Mohammed oczekiwał jednak, że zięć zajmie się jego córką i zgodnie z tradycją założy z nią rodzinę.

W tej kwestii Mohammed się przekonał, że zemsta bywa mieczem obosiecznym. Mszcząc się na swoim ojcu, Badr przy okazji zupełnie niezamierzenie odegrał się na jego największym wrogu. Jego małżeństwo trwało niespełna rok. Rozwiódł się z Malal, informując o tym wyłącznie jej ojca. Nie licząc dnia ślubu, widział się z żoną zaledwie kilka razy. Po rozwodzie już nigdy.

– Porzuciłeś ją tak po prostu? – Byłam oburzona i zaskoczona, że opowiada mi to tak szczerze, bez najmniejszych wyrzutów sumienia. – Mnie też tak porzucisz?

– Nie, jej nie kochałem. Za tobą szaleję.

– Ale zniszczyłeś jej życie!

– To jej ojciec to zrobił. Doskonale wiedział, że jedynym powodem, dla którego chcę się z nią ożenić, jest chęć odegrania się na moim tacie.

– Co się z nią stało?

– Z kim?

– Z Malal! A z kim!

– Umarła. Zachorowała i umarła.

– Przez ciebie?

– Nie, nie miałem nic wspólnego z jej chorobą – odpowiedział Badr chyba nieco urażony tym zarzutem.

Miałam poczucie, że mój mąż nie mówi mi wszystkiego, ale nie drażyłam. Jak było w rzeczywistości, dowiedziałam się dużo później. Nie wiem, czy gdybym знаła prawdę, moje życie potoczyłoby się inaczej, choć pewnie zastanowiłabym się dwa razy, czy chcę zostać matką dzieci Badra. Wiem jednak na pewno, że prawdziwa historia jego drugiej żony odwiodłaby mnie od tego. Ale wtedy, na Malediwach, poznałam wyłącznie jej mocno okrojoną wersję.

Po studiach Badr wrócił do Królestwa. Miał zamiar zająć się biznesem i korzystając ze spadku

po matce, książęcych koneksji oraz zdobytego wykształcenia, multiplikować swoją fortunę. Przychodziło mu to z ogromną łatwością. Zainwestował w sieć luksusowych hoteli butikowych rozwijającą się w Europie, a później sprowadził ją do Arabii Saudyjskiej, skąd rozpoczęła ekspansję na Bliski Wschód, od Dubaju począwszy. Inwestował odważnie, ale rozważnie. Jako dwudziestopięcioletniak był w stanie pochwalić się znacznie większym sukcesem finansowym niż jego ojciec, który żeby utrzymać wysoki status, musiał się bogato ożenić i niemal całe życie dawać poniżać na krótkiej smyczy swojego teścia.

Sukcesy w biznesie sprawiły, że Badr poczuł się gotowy, by ponownie podjąć temat małżeństwa. Jego kuzyni, będąc w jego wieku, z reguły mogli się już pochwalić gromadką dzieci, a on nie miał nawet żony. Rozpoczął więc jej poszukiwania – na własną rękę, bo jego kontakty z ojcem nie uległy żadnej poprawie. Wciąż żywił do niego ogromną urazę i choć od śmierci Lubny minęło kilka lat, nie był gotowy mu wybaczyć.

Wiadomość o tym, że książę Badr poszukuje kandydatki na żonę, szybko rozniosła się po rodzinie. I choć prawdziwa wersja historii jego poprzedniego małżeństwa była powszechnie znana, w jego orbicie pojawiła się spora liczba niczym niezrażonych kandydatek.

Bardzo możliwe, że nachalne zaloty wielu ciotek i wujków, którzy narzucali się mu z propozycjami oddania swoich córek, sprawiły, że Badr postanowił jednak wybrać żonę spoza klanu Al Saudów. Finalnie została nią Habiba, dwudziestoletnia, a więc całkiem dojrzała jak na saudyjskie warunki, córka jednego z saudyjskich biznesmenów Fariza Al Hakhani. Ich związek był początkiem nie tylko małżeństwa, ale także nowego biznesu Badra. Fariz był potentatem w dystrybucji luksusowych elementów wystroju wnętrz, a jego sprowadzane z całej Azji – również zupełnie nielegalnie z Iranu – dywany były jednym z najbardziej pożądanym towarów w domach saudyjskich milionerów.

Układy biznesowe dobrze wróżyły małżeństwu. A jeszcze lepiej fakt, że niespełna rok po ślubie na świecie pojawił się pierwszy potomek pary, syn, któremu nadano imię Ali. Trudno było o lepszy start, ale mimo tak fantastycznych początków meta dla Habiby i Badra była bardzo blisko.

To był wiosenny dzień, w Rijadzie zaczynało się robić naprawdę gorąco. Habiba odpoczywała przy pałacowym basenie, co jakiś czas spoglądając na bawiącego się w pobliżu dwuletniego synka. Malec był pod opieką służby, dlatego pani domu mogła się swobodnie relaksować. Słońce przygrzewało przyjemnie, zaglądając spod parasola, który chronił twarz kobiety pieczołowicie wybieloną drogimi kremami. Delikatny szmer palm, muskanej wiatrem wody, ciche rozmowy służby i śmiech radośnie dokazującego Alego kołysały ją do popołudniowej drzemki, gdy z błokiego stanu wyrwał ją histeryczny wrzask jednej ze służących, który zainicjował falę kolejnych. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Gwałtowny skok do wody jednej z pracujących w pałacu Azjatek, płacz, dramatyczne okrzyki.

Habiba zerwała się na równe nogi. Wreszcie dotarło do niej, co jest powodem tego poruszenia. Na brzegu basenu zupełnie bez ruchu leżał jej mały synek, a przemoczona do suchej nitki służąca, która chwilę wcześniej wyciągnęła go z wody, uciskała jego drobną klatkę piersiową.

Matka doskoczyła do siniejącego chłopca.

– Ratujcie go! Ratujcie – krzyczała, zupełnie nie wiedząc, co robić.

Na szczęście poza dziewczyną, która wyłowiła malca, przytomnie zachował się jeszcze ktoś ze służby, bo wkrótce w ogrodzie pojawili się ratownicy medyczni. Widząc panią domu w kostiumie kąpielowym z narzuconym niedbale jedwabnym szalem, cofnęli się o krok.

– No co tak stoicie?! Ratujcie mojego syna! – wrzasnęła Habiba, jednak mężczyźni wciąż stali bez ruchu.

Wreszcie dotarło do niej, co jest tego powodem. Wiedząc, że liczy się każda sekunda, porwała z leżaka, na którym jeszcze kilka minut wcześniej beztrudno odpoczywała, swoją *abaję*, szal naciągnęła na głowę, po czym natychmiast wróciła na miejsce, gdzie pałacowa służąca walczyła o życie małego księcia.

Uspokojeni wyglądem pani domu, ratownicy w końcu przystąpili do działania. Ali żył, ale był nieprzytomny. Jego stan, podobnie jak szanse na ocalenie, trudno było ocenić. Kolejne tygodnie miały zdecydować o jego przyszłości.

Kiedy największe zagrożenie minęło, lekarze mieli dla rodziców chłopca dwie wiadomości. Oboje wysłuchali ich osobno, bo wypadek znacząco wpłynął na ich relacje. Ali miał żyć, ale zbyt długi czas pod wodą spowodował niedotlenienie jego mózgu. Resztę swoich dni miał spędzić z wieloma niepełnosprawnościami. Niedługo po usłyszeniu tych wieści Badr i Habiba ostatecznie się rozstali.

– Zostawiłeś swoją żonę z niepełnosprawnym dzieckiem? – zapytałam, przerażona tym, co odkrywam o Badrze, nie mniej niż jego poprzednią historią.

– Nie, to Habiba nie chciała mieć ze mną nic wspólnego – odparł.

– Chciała rozwodu po wypadku Alego?

– Załamała się, zamknęła w sobie. Odizolowała mnie od syna i bez reszty poświęciła się jego pielęgnacji. Myślę, że to kwestia wyrzutów sumienia. Ona czuła się winna. Do wypadku doszło, gdy Ali był pod jej opieką...

– Ale przecież zajmowały się nim nianie.

– Nianie zostały ukarane. A Habiba ukarała sama siebie...

Badr wyraźnie sposepniał. Trudno się dziwić – w końcu rozpadło się jego kolejne małżeństwo, pierwsze, którego naprawdę chciał, a do tego jego syn został inwalidą. Trudno mi było sobie wyobrazić tak koszmarnie doświadczenia. Niestety i w tej historii prawda wyglądała zupełnie inaczej, wtedy jednak uwierzyłam w jego słowa i poczułam się w pewnym sensie uspokojona. Najważniejsze było dla mnie to, że poznałam jego historię. Dotąd niepewność kładła się cieniem na naszej relacji, a teraz w końcu mogłam odetchnąć z ulgą. Reszta naszego miesiąca miodowego była niczym raj na ziemi.

Niedługo po powrocie do Arabii Saudyjskiej czekała na nas fantastyczna wiadomość – za nieco ponad osiem miesięcy mieliśmy zostać rodzicami! Widząc radość Badra, utwierdziłam się w przekonaniu, że to jednak on padł ofiarą swojej byłej żony, choć z tyłu głowy ciągle kołatała mi myśl, że w kraju, w którym mężczyźni decydują niemal o wszystkim, odizolowanie ojca od dziecka jest wręcz nieprawdopodobne.

Jedną z cech, które poważnie utrudniają mi życie, jest to, że drobne wątpliwości dojrzewają we mnie z czasem i potrafią urosnąć do rangi ogromnego, spędzającego sen z powiek problemu. Tak było i w tym przypadku. Po prostu musiałam wrócić do tego tematu. Nie potrafiłam się powstrzymać.

– Nigdy nie chciałeś odszukać swojego synka? – spytałam któregoś dnia, będąc już w piątym lub szóstym miesiącu ciąży.

Badr spojrzał na mnie z wyraźnym zaskoczeniem.

– Znowu do tego wracasz?

– Tak tylko myślę... Nasze dziecko jeszcze się nie urodziło, a ja już nie wyobrażam sobie, że mogłabym spędzić bez niego choćby moment.

– No w tej chwili byłoby to raczej trudne – próbował żartować mój mąż.

– Wiesz, o czym mówię – upierałam się przy swoim.

Badr westchnął z rezygnacją.

– Próbowałem się z nim zobaczyć. Proponowałem wsparcie, swoją obecność, ale Habiba wyraźnie sobie tego nie życzyła. Powiedziała mi, że jeśli Kocham swojego syna, pozwolę, by wychowywał się beze mnie.

– Ale dlaczego? – Nadal nic z tego nie pojmowałam.

– Trudno mi to zrozumieć. Ja naprawdę chciałem być ojcem...

– A nie mogłeś tego na niej wymusić? Przecież wy, mężczyźni, możecie tutaj wszystko...

– Nie chciałem pogarszać sytuacji. Habiba była w kryzysie psychicznym, postanowiłem, że uszanuję jej wolę...

Poczułam się źle z własnymi myślami. Zakładałam, że Badr byłby zdolny do przemocy wobec swojej żony, mało tego – dziwiłam się, że się do niej nie posunął.

Chyba to wyczuł, bo przytulił mnie i pocałował czule. Był w tym taki szczerzy, że moje serce zalała fala smutku. Kobiety potrafią czasami naprawdę ranić mężczyzn. Nawet tych, którzy z pozoru mają nad nimi przewagę.

Mam wrażenie, że Emily w swojej opowieści ciągle odwleka moment, w którym jej saudyjskie życie zmieniło się w koszmar. Próbuje je idealizować, ale ja wiem, że to tylko poza. Zanim zdecydowałem się na napisanie tej książki, zdążyła mi nakreślić w skrócie to, co ją spotkało, dlatego jestem pewny, że moment, w którym małżeńska sielanka się kończy, jest nieunikniony.

Choć wszystko, co opowiada, brzmi niezwykle ciekawie, chcę wreszcie poznać historię zaginionego księcia, o którym wspomniała na początku naszej pierwszej rozmowy.

– Celowo unikasz tego tematu, prawda? – pytam.

Emily wyraźnie nie spodziewała się tej konfrontacji. Do tej pory opowiadanie o saudyjskim życiu przychodzi jej ze sporą lekkością, ale nagle milknie i widzę, że długo waży kolejne słowa. W jej oczach pojawiają się łzy.

– Bo ja... Ja nie wierzę, że mogłam być tak naiwna – wyrzuca w końcu z siebie, pozwalając im spłynąć po policzkach.

– To chyba nie naiwność, tylko miłość – próbuję ją uspokoić.

– W moim przypadku to jedno i to samo. Ja naprawdę wierzyłam, że Badr taki nie jest, że te wszystkie historie o przebiegłych Arabach są nieprawdziwe...

– A dziś uważasz, że są prawdziwe?

– Nie, to nie tak, po prostu miałam pecha. Wiele kobiet zakochuje się szczęśliwie. Ja do dziś nie wierzę, że chłopak, który tak bardzo nienawidził swojego ojca za jego słabość i okrucieństwo, stał się jego kopią, a potem podwoił stawkę. Badr pobił mojego byłego teścia we wszystkim. Nie wyniósł z historii swojej matki żadnej lekcji. Ukarzał ojca za to, że prawdopodobnie przyczynił się do jej śmierci, a potem skrzywdził każdą osobę, która wydawać by się mogło, stała się mu bliska. I zrobił to praktycznie tak samo jak jego ojciec, może poza drobnymi różnicami.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni...

– Ale on miał być inny. Od samego początku słyszałam demoniczne historie o moim teściu i byłam pewna, że Badr ma inne podejście do kobiet. Przecież wielokrotnie ostro krytykował bezduszne prawo. Ale najwyraźniej ludzie się zmieniają...

– A może on zawsze taki był?

– Jeśli tak, to nie byłam w stanie tego dostrzec. Dla mnie na początku był cudowny.

– Kiedy przestał taki być?

ROZDZIAŁ 12

Sati

Pierwsze bóle porodowe pojawiły się w nocy. Badra nie było w tym czasie w Arabii Saudyjskiej, zresztą termin porodu miałam dopiero za dziesięć dni. Kiedy wyjeżdżał, obiecał, że wróci na czas, ale nasz pierwotny postanowił na niego nie czekać.

Było mi źle z tego powodu. Hayat, która wyjechała z Królestwa zaraz po naszym ślubie, obiecała, że przyjedzie na czas rozwiązania, jednak przekładała wizytę kilkakrotnie – a przecież była jedyną osobą, która równie dobrze rozumiała saudyjski świat co mój sposób myślenia. Jej obecność byłaby w tym czasie nieoceniona, ale niestety musiałam zdać się na służbę pod dowództwem oschłej i obcesowej Sati, która wyznawała zasadę, że poród musi boleć, i ignorowała moje jęki i narzekania.

W szpitalu nie było lepiej. Wprawdzie miałam poczucie, że kadra medyczna zna się na swoim fachu, ale nie mogę powiedzieć, żebym spotkała się z delikatnością czy życzliwością.

Czekała na mnie sala, w której przyszło na świat wiele dzieci Al Saudów. Bardziej przypominała apartament w luksusowym hotelu, ale ja nie byłam w stanie się tym cieszyć. Do dziś pamiętam głównie ogromne cierpienie. Byłam w fatalnym stanie fizycznym i psychicznym. Nieustannie płakałam, a pielęgniarki traktowały mnie, jakbym była z innej planety. Moim szczęściem było to, że poród odbierała kobieta, Saudyjka, którą postępowi rodzice wysłali na studia do Stanów Zjednoczonych, a później pozwolili pracować w zawodzie. Choć pojawiła się obok mnie dopiero, gdy akcja porodowa była naprawdę zaawansowana, jako jedyna traktowała mnie po ludzku.

Doktor Burhan uprzedziła mnie, że na przyjęcie znieczulenia jest już za późno, ale obiecała, że zrobi wszystko, bym urodziła sprawnie i możliwie komfortowo. Nie zmieniło to faktu, że ból, który towarzyszył narodzinom mojego synka, pozostanie najpotworniejszym, jaki przeżyłam. A mimo to z perspektywy czasu muszę powiedzieć, że byłabym gotowa odczuwać go nieustannie, jeśli tylko mogłabym ponownie tulić go w swoich ramionach.

Kiedy wreszcie mi go podano, nie miał jeszcze imienia. Badr chciał, żebyśmy nazwali go Hadid – i finalnie takie imię otrzymał – ale przed narodzinami wciąż nie podjęliśmy ostatecznej decyzji. Tuliłam go do siebie, a on spał, spokojnie oddychając, jakby czuł, że jest we właściwym miejscu i nic mu nie grozi.

Matki doświadczają tego, czego nikt inny nie jest w stanie nawet sobie wyobrazić. Poczucia mocy, która w nas wstępuje z chwilą narodzin dziecka. Jesteśmy w stanie zrobić absolutnie wszystko, żeby włos mu z głowy nie spadł. Ta atawistyczna sprawczość leży u podstaw przetrwania każdego gatunku. Matki stają się wojowniczkami i chronią swoje maleństwa, gotowe poświęcić za nie życie. Bywa jednak, że mają przed sobą wroga, którego nie są w stanie pokonać. I choć zostawia je przy życiu, wolałyby umrzeć niż stracić swoje dziecko. To niesamowite, ale właśnie gdy podano mi synka, poczułam to po raz pierwszy. I choć wtedy nikt nie zagrażał ani mnie, ani małemu, mój pierwotny instynkt już się gotował na taką ewentualność. Ta gotowość nigdy mnie nie opuściła.

– Jest zdrowy i silny – zapewniła mnie doktor Burhan podczas pierwszej ze swoich wizyt od czasu porodu.

– I śliczny! – dodałam z dumą.

– To prawda. Jak wycięty z obrazka. Dzieci to najpiękniejsze z istot. Są jak anioły... – powiedziała rozmarzona.

– Jest pani matką? – zapytałam, czując nagłą potrzebę nawiązania emocjonalnej więzi z kimkolwiek, kto okazał mi choć trochę sympatii.

– Nie. Kobiety takie jak ja nie zostają matkami w tym kraju – odparła z uśmiechem, ale w jej głosie pobrzmiwał smutek. – Jesteśmy wyklęte.

Nie rozumiałam, co oznacza zwrot „kobiety takie jak ja”. Doktor Burhan jawiła mi się jako uosobienie sukcesu. Młoda, piękna, wykształcona, pracująca w prestiżowym zawodzie, i to w kraju, w którym w tamtych czasach pracę zawodową podejmowało zaledwie kilka procent kobiet. Szybko

jednak do mnie dotarło, że właśnie to, za co ją podziwiałam, było jej przekleństwem.

– Moi rodzice próbowali wydać mnie za męża, ale żaden z w miarę światłych chłopaków nie chciał mieć żony lekarki – wyjaśniła.

– Nie byli chyba zbyt światli, skoro mieli z tym problem – zauważyłam, żywo oburzona.

– Nawet całkiem niezłe wykształceni chłopcy, którzy decydują się na życie w Królestwie, często uważają, że kobiety nie powinny pracować. To się powoli zmienia, ale większość z nich uważa to za ujmę dla męskiego honoru.

– Głupota faktycznie jest ujmą, ale nie ma nic wspólnego z tym, czy kobieta realizuje swoje marzenia... – zareagowałam, wciąż nie mogąc się pogodzić z takim podejściem.

– Nie nazwałabym tego głupotą – odparła lekarka. – To raczej kultura tego kraju. Oni są tak kształtowani, tak wychowywani, obserwują to od małego, więc trudno się dziwić, że gdy dorastają, tak właśnie myślą.

To było zadziwiające, że pomimo swojej sytuacji wciąż miała tyle zrozumienia dla patriarchy, który najpierw kazał jej wybierać pomiędzy karierą a szczęściem rodzinnym, a później karał za wybranie kariery. Była pełna pokory, jakby zupełnie pogodzona z tym, że choć jest wybitną kobietą, żyje w kraju, który nie uznaje jej wartości, dopóki nie zostanie żoną i matką.

– A nie myślała pani, by porzucić tę pracę i zamienić ją na szczęście rodzinne? – spytałam.

– Nie, bo wtedy mężczyźni w moim kraju gotowi uwierzyć, że my, kobiety, nadajemy się wyłącznie do rodzenia dzieci. Owszem, to piękny dar i cieszę się, że mogę asystować w takich chwilach matkom, ale nie zamieniłabym tej pracy na własną rodzinę. Przede wszystkim nie chcę wybierać. Mam nadzieję, że będzie mi jeszcze dane zostać matką, ale jeśli nie, to i tak nią jestem. Powitałam na tym świecie tyle dzieci, że mogłabym założyć największe na świecie przedszkole.

Doktor Burhan fascynowała mnie bezgranicznie. Byłam jej pacjentką przez następne trzy lata. Przyjęła mój kolejny poród i dbała o moje zdrowie do czasu, aż wyjechała z kraju. Nie wiem, czy obudził się w niej trudny do pokonania instynkt macierzyński, czy się poddała, a może po prostu się zakochała. Faktem jest, że pewnego dnia zniknęła, a ja dowiedziałam się tylko tyle, że teraz mieszka w Stanach Zjednoczonych. Nie łączyło nas nic poza relacją lekarka – pacjentka, ale i tak była jedną z najbliższych mi osób w czasie, gdy mieszkałam w Królestwie. To smutne, bo pokazuje, jak bardzo byłam tam samotna.

Badr pękał z dumy, dosłownie skakał ze szczęścia. Przyleciał do Rijadu dwa dni po narodzinach Hadida i natychmiast do nas przyszedł. Wraz z nim w szpitalnym apartamencie pojawiło się mnóstwo zupełnie zbędnych – i horrendalnie drogich – prezentów. Wszystkie były elementami mocno przesadzonej wyprawki. Jediną rzeczą, która faktycznie się przydała, było nosidełko stylizowane na sportowe auto Bugatti.

– Nie miałam pojęcia, że firmy samochodowe produkują sprzęt dla dzieci – powiedziałam, patrząc na to przedziwne w formie, ale naprawdę imponujące cudo.

– Bo nie produkują. To zaprojektowali specjalnie dla mnie. Mój syn od swoich pierwszych dni będzie jeździł najlepszymi samochodami! – Badr pękał z dumy.

Powstrzymałam cisnącą się na usta krytykę saudyjskiego zbytku, ale przyznam, że przychodziło mi to z coraz większą łatwością. Zwłaszcza gdy widziałam, jak mój mąż szaleje ze szczęścia. Od pierwszej chwili, gdy wziął go w swoje ramiona, byłam pewna, że jest w stanie zrobić dla Hadida wszystko. Nie mogłam wtedy przypuszczać, że jego miłość do tego malca wkrótce zmieni się z bezgranicznej w bezwzględną i stanie się moim największym w życiu przekleństwem. W tamtej chwili wszystko zapowiadało sielankę. Gdy tylko pojawił się w szpitalu i pocałował mnie na przywitanie, dziękując za syna ze szczerymi łzami w oczach, zapomniałam, jak bardzo byłam rozczarowana, że nie ma go przy mnie w trudnych chwilach porodu. Nie miałam mu tego za złe. Wrócił, był z nami i to było najważniejsze.

Wreszcie też mogłam wrócić do naszej willi. Pamiętam, że wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że wracam do domu. Po raz pierwszy byliśmy tam w komplecie – my i nasz synek. Musiałam się przyzwyczaić do nowej sytuacji, ale jeszcze bardziej do tego, że w roli matki próbowały mnie wyręczyć cztery nianie. Trzy z nich już znałam – pracowały wcześniej w willi, choć nie w charakterze niań, ale

jedna była zupełnie nowa. Zatrudniono ją specjalnie dla Hadida. Próbowaly mnie wyręczać dosłownie we wszystkim i przyznam, że momentami było mi to na rękę, bo mogłam się wysypiać, co nie jest dane większości młodych matek. Bywały jednak momenty, gdy ciągła obecność obcych kobiet w intymnych chwilach z moim maluszkiem mocno mnie irytowała. Do kulminacji doszło pewnej nocy, jakieś dwa tygodnie po porodzie.

Hadid od samego początku był niejadkiem. W porach karmienia przystawiałam go do piersi, ale już po kilku łykach odrzucał pokarm. Widziałam osądzający wzrok niań, próbowałam go karmić mimo wszystko, ale nie mogłam tego przecież robić na siłę. Sati, która mimo że nie była opiekunką mojego synka, często zaglądała do pokoju przeznaczonego do opieki nad nim, podczas jednej z prób karmienia rozwścieczyła mnie do żywego.

– *Bad milk...* – wymamrotała z odrazą, widząc Hadida odrzucającego moją pierś.

Złe mleko! Zepsute mleko! Co ona sobie wyobraża?

Byłam bliska wybuchu, ale wiedziałam, że przede wszystkim muszę zadbać o mojego synka. Odłożyłam go do łóżeczka i podeszłam do Sati, czując narastającą wściekłość. Chyba się wystraszyła, bo skuliła się i zasłoniła twarz przedramieniem.

– Myślisz, że cię uderzę? – rzuciłam. – Nie jesteś warta tego, żeby cię dotknąć. Od pierwszego dnia nie masz w mojej sprawie do powiedzenia nic miłego. Zastanawiam się tylko, kto dał ci prawo do wyrażania opinii na mój temat! – grzmiałam jak chyba nigdy przedtem.

– *Sorry, princess* – wymamrotała wyraźnie przerażona Sati.

– Nie potrzebuję twoich przeprosin ani tym bardziej twoich opinii. Jeśli jeszcze raz zbliżysz się do mojego syna albo do mnie, zapewniam cię, że wylecisz z tego kraju. I nie będziesz do tego potrzebowała samolotu.

Spuściła głowę i pospiesznie wybiegła z apartamentu. Choć pozornie osiągnęłam swój cel, wcale nie byłam z siebie dumna. Przeciwnie – rozplakałam się ze złości i niemocy. Nie sądziłam, że spotka mnie tyle przykrości ze strony osoby, której życie było zapewne dużo mniej szczęśliwe niż moje. Nie mogłam jej jednak na to pozwolić.

Gdy Hadid zaczął płakać, ruszyłam w kierunku jego łóżeczka, ale zanim do niego dotarłam, był już na rękach jednej z niań. Odebrałam jej go i powiedziałam, że chcę zostać sama. Tego dnia nikogo już nie dopuściłam do mojego dziecka. Poczułam, że robię błąd, pozwalając, by opiekowało się nim tyle kobiet, ale przecież od ponad roku sama nie mogłam się nawet ubrać bez obecności służącej. Tego dnia jednak dwukrotnie udało mi się z powodzeniem nakarmić synka i obiecałam sobie, że będę z nim spędzać więcej czasu – bez względu na panujące w rodzinie Al Saudów standardy. W końcu to ja, a nie te wszystkie nianie, nosiłam go przez prawie dziewięć miesięcy pod sercem.

Przypomniałam sobie, że jednym z prezentów, który dostałam z okazji narodzin Hadida, była niania elektroniczna. Taką jeszcze mogłam zaakceptować. Nie była pyskata ani wszędobylska. Nikomu nic nie mówiąc, zainstalowałam ją przy jego łóżeczku, a odbiornik zabrałam do swojej sypialni. Tak, swojej, a nie naszej, bo Badr od kilku dni znowu nieprzerwanie był w podróży. Tej nocy, kiedy usłyszałam dobiegający z odbiornika płacz synka, zerwałam się z łóżka i pobiegłam do jego pokoju. Okazało się jednak, że mimo pośpiechu nie byłam tam pierwsza.

W pomieszczeniu panował półmrok, rozświetlony jedynie leniwym światłem sączącym się z lampki przy dziecięcym łóżeczku. Hadida jednak w nim nie było. Dopiero po chwili zauważyłam, że jedna z niań, ta nowa, siedzi w fotelu i tuli mojego synka do piersi. Nie płakał już. Podeszłam bliżej i ku swemu przerażeniu dostrzegłam, że dziewczyna karmi go własną piersią!

– Co ty robisz? – zareagowałam gwałtownie, ale tak, by nie niepokoić Hadida.

Spojrzała na mnie z zaskoczeniem, jakby była pewna, że wiem, iż mnie zastępuje.

– Przestań natychmiast! – rozkazałam i wyciągnęłam ręce po dziecko.

– Przepraszam – powiedziała karnie, wyraźnie spłoszona.

– Masz nigdy więcej nie karmić mojego syna!

– Ja zwolniona? – spytała bliska płaczu.

– Nie, ale tylko ja będę go karmić. Tylko ja! – Byłam bliska płaczu, bo zaczynało do mnie docierać, do jakiej sytuacji doprowadziłam. – Idź już.

Służąca zniknęła, a ja usiadłam ze śpiącym Hadidem na rękach i zaczęłam szlochać. Czułam się bezsilna. Wzbierała we mnie wściekłość, gdy myślałam, że Hadid był karmiony przez obcą kobietę, podczas gdy ja umierałam ze strachu o niego i tonęłam w poczuciu winy, bo nie chciał przyjmować mojego pokarmu. Nie mniejszą wściekłością przepełniała mnie myśl o tym, że ktoś podjął tę decyzję za mnie. Zostałam potraktowana przedmiotowo, jakby jedyną rzeczą, jakiej ode mnie oczekiwano, było wydanie na świat dziecka. O całej reszcie stanowiły inne osoby bez słowa konsultacji ze mną.

Zastanawiałam się, czy Badr wie o tej sytuacji. On sam nigdy się nie zajmował zarządzaniem służbą. W willach i pałacach należących do króla i saudyjskich książąt rzadko który z właścicieli czy domowników podejmuje decyzje dotyczące prowadzenia domów. To zadanie majordomusów albo zaufanych służących wyższej rangi, często też osobistych sekretarzy.

Nie wiedziałam, kto zarządza służbą w naszej willi. Nigdy mnie to nie interesowało, a jedyną osobą, która zdawała się wybijać spośród jej szeregów, była Sati. Wyglądało na to, że cieszyła się sporym zaufaniem mojego męża. Wiedziałam, że nie mogę tej sprawy tak zostawić, i gdy tylko Badr wrócił do Arabii, natychmiast go skonfrontowałam.

– Wiedziałeś, że nasz syn jest karmiony przez obcą kobietę? – rzuciłam z wściekłością.

Mąż spojrział na mnie ze szczerym zdumieniem.

– Jaką obcą kobietę?

– Jedną z niań, ta nowa, karmiła go piersią...

– A tak, Sati wspominała coś o tym.

Wściekłość wezbrała we mnie nową falą.

– Czyli wiedziałeś!

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Najważniejsze, by nasz syn był karmiony o odpowiednich porach. Powinnaś się cieszyć, że nie budzi cię w nocy...

– Wcale mnie to nie cieszy! I nie mogę uwierzyć, że ty nie masz z tym problemu!

– A dlaczego miałbym mieć? Wiele dzieci w naszej rodzinie zostało wychowanych na mleku swoich niań, nie ma w tym nic dziwnego.

– Ty też?

– Nie, ale moja mama była najlepszą matką na świecie.

Te słowa zabolowały jak cios prosto w serce.

– Uważasz więc, że ja nie jestem dobrą matką?

– Nie, wcale tak nie uważam, ale słyszałem od Sati...

– Nawet mi o niej nie wspominaj. Chcę, żeby ta kobieta zniknęła z naszego życia.

– Tego akurat żądać nie możesz – odpowiedział Badr stanowczo.

– Dlaczego? Masz z nią romans? To okropny babsztyl!

Mój mąż podszedł do mnie, spojrział mi prosto w oczy, po czym wycedził przez zęby:

– Nigdy więcej tak o niej nie mów. A niedorzeczna myśl o romansie pokazuje tylko, że dzieje się z tobą coś niepokojącego. Ogarnij się. Sati ma rację, nie nadajesz się do opieki nad dzieckiem.

Nogi się pode mną ugięły. Badr bywał wobec mnie niemiły, ale nigdy wcześniej nie potraktował mnie tak obcesowo. Nagle jakaś wredna służka z przerostem ambicji stała się dla niego autorytetem ważniejszym od własnej żony! Czułam się pozbawiona wartości, a słowa o tym, że nie nadaję się do opieki nad dzieckiem, mnie przerażyły. Jednocześnie byłam ogromnie ciekawa, na czym tak naprawdę polega moc Sati i dlaczego Badr tak bardzo liczy się z jej zdaniem. Wydawało mi się, że saudyjscy arystokraci mają dość lekceważący stosunek do służby. Obserwowałam to zresztą na co dzień. Sati jednak była wyjątkiem. Zaczęłam się jej przyglądać dokładniej i szybko zrozumiałam, że faktycznie cieszy się uprzywilejowaną pozycją w willi. Zagadką wciąż pozostawało dla mnie, dlaczego tak jest.

Jedyną osobą, która mogła mi to wyjaśnić, była Hayat. Szwagierka niedługo po naszej kłótni z Badrem przyleciała do Arabii Saudyjskiej wraz ze swoim mężem i synkiem. Mały Ibrahim nie był już taki mały, miał trzynaście lat i zapowiadał się na niezłego przystojniaka. Lata spędzone w Anglii sprawiły, że nie pasował już do kraju swoich rodziców, ale Hayat i Murad starali się, by będąc w Królestwie, poznawał jego kulturę, dlatego musiał nauczyć się chodzić w *thobie*, co ewidentnie nie było mu na rękę.

Ciche dni po awanturze o karmienie Hadida i o Sati były już za nami, dlatego powitaliśmy z Badrem naszych gości w wesołej atmosferze. To był naprawdę miły dzień, a przyjazd Hayat miał dla mnie większe znaczenie, niż mogłam sobie wyobrazić. Czekałam na nią jak na dawną przyjaciółkę, ale radość ze spotkania obudziła we mnie też wyrzuty sumienia. Od kiedy przyjechałam do Arabii Saudyjskiej, nie miałam kontaktu z Aliną, Karen i Markiem, jakby kompletnie przestali istnieć. Nie zaprosiłam ich nawet na ślub, ale to był taki szalony czas... A potem ciąża, poród, nie miałam do tego wszystkiego głowy, choć czułam się bardzo samotna. Wiedziałam, że muszę zrobić wszystko, by odzyskać z nimi kontakt, na razie jednak miałam u swego boku osobę najbliższą mi w tym kraju.

Po kilku godzinach spędzonych na biesiadowaniu przyszła pora na zajęcia w podgrupach. Podział był oczywisty. Badr zabrał Murada i Ibrahima do swojej stadniny, a my z Hayat miałyśmy przestrzeń na nasze babskie sprawy. Po pobieżnym zrelacjonowaniu wydarzeń ostatnich miesięcy nadszedł wreszcie czas na zadanie pytań o Sati.

Kiedy opowiedziałam szwagierce o karmieniu piersią przez nianię i o komentarzu, że moje mleko jest zepsute, a potem jeszcze o reakcji Badra, uśmiechnęła się znacząco. Nie miałam pojęcia, co ten uśmiech oznacza, ale wiedziałam, że ma w tej kwestii sporo do powiedzenia.

Sati pracowała w pałacu Lubny i Hafiza od swoich młodszych lat. Co ciekawe, mimo że wyglądała na Azjatkę, była w połowie Saudyjką. Jej matką była balijska służąca, która również pracowała dla Al Saudów, a ojcem prawdopodobnie któryś z książąt, choć nigdy nie zostało ujawnione który. Bardzo prawdopodobne, że Hafiz, a być może nawet i Lubna to wiedzieli, ale utrzymywali w tajemnicy.

Sati zawdzięczała im życie, bo wiele spośród dzieci, które urodziły się w wyniku gwałtów na służących, ginęło w niewyjaśnionych okolicznościach, a tylko nielicznym pozwalano dorastać. Dość powiedzieć, że ktoś mądry w odpowiednim momencie doradził matce Sati, by nigdy nie ujawniała, że ojcem dziecka jest saudyjski książę, a ją samą ukrywała do momentu, gdy będzie zdolna do pracy na dworze.

Paradoksalnie Sati miała większe szanse na szczęśliwe życie, należąc do służby, niż zdradzając, że jest córką księcia. Kiedy miała szesnaście lat, trafiła do pałacu Lubny i Hafiza. Bardzo szybko zaprzyjaźniła się z księżniczką. Była od niej młodsza o niecałe dwa lata, a Lubna słynęła z otwartości w stosunku do służących. Choć sama spędzała na wychowywaniu swoich dzieci sporo czasu, ufała Sati w kwestiach opieki nad nimi. Była jedną z nielicznych osób, które miały dostęp do Badra i Hayat, i szybko stała się ważną postacią w ich życiu, co w znaczący sposób wpłynęło na jej status. Kiedy dzieci zaczęły dorastać, w podejściu Sati dało się zauważyć coraz większe faworyzowanie Badra i coraz surowsze traktowanie jego siostry.

– Miała istną obsesję na jego punkcie. Traktowała go jak swojego syna. Nie było rzeczy, która mogłaby spowodować, że się na niego zdenerwuje. A Badr naprawdę potrafił być nieznośny. On zresztą też ją uwielbiał – wyznała Hayat z przekąsem.

– To chyba się nie zmieniło. Żebyś wiedziała, jak na mnie naskoczył, gdy zasugerowałam, by nie zbliżała się do Hadida...

– Jestem w stanie to sobie wyobrazić. Gdyby tylko mogła, najchętniej pewnie sama by karmiła Badra piersią! – zaśmiała się.

– Ugh... właśnie to sobie wyobraziłam – powiedziała, udając odruch wymiotny. – Zupełnie nie rozumiem tego podejścia. Służba powinna być traktowana z szacunkiem, ale to jest niezdrowe. Jestem przekonana, że on prędzej wystawiłby za drzwi mnie niż tę zołzę.

– Oj, to na pewno. Ja też nie miałam szans. Na początku mnie tolerowała, później ewidentnie nie lubiła, a z czasem wprost znienawidziła.

– Miała powody?

Kiedy Hayat miała siedem lat, podczas nieobecności rodziców pewnego dnia zupełnie bez uprzedzenia Sati kazała jej założyć *abaję* i zasłonić twarz. Hayat nie rozumiała, dlaczego miałyby to zrobić – miała już na sobie *abaję*, ale nigdy nie zasłaniała twarzy. Prawo nie nakazuje tego tak małym dziewczynkom, choć są rodziny, w których już w tym wieku muszą się zasłaniać. W pałacu Lubny i Hafiza nie było takiego przymusu, ale Sati miała zupełnie inne zdanie.

– Zasłoń się! Gorszysz swojego brata! – rzuciła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Badr miał wtedy dziewięć lat i poza tym, że był jej *mahramem*, czyli nie musiała się przed nim zasłaniać, nie wykazywał jeszcze zainteresowania płcią przeciwną. A jeśli nawet by tak było, nie interesowałby się przecież swoją siostrą.

Sati jednak była nieprzejednana. Uparła się, że skoro Hayat jest pod jej opieką, nie może narażać swojej moralności na szwank. Dziewczynka nie miała wyjścia – musiała spełnić wolę opiekunki, ale nie zamierzała puścić jej tego płazem. Dlatego gdy ta nie patrzyła, Hayat ozdobiła swoją *abaję* farbami, wymalowując na niej kwiaty, słońce, księżyc i gwiazdy. Te ostatnie najbardziej rozeźliły fanatyczną służącą. Uznała, że to żydowski symbol, który podpowiedział Hayat sam szatan. Obecność księżycy, który jest symbolem islamu, nie ratowała w jej oczach sytuacji. Była wściekła. Zawołała Badra i to jemu kazała wymyślić karę dla siostry.

Szczęśliwie Badr przepadał za swoją siostrą i nie miał zamiaru jej skrzywdzić. Był jednak w trudnym położeniu, bo nie chciał też urazić ukochanej opiekunki.

– Skoro tak sobie pomalowała tę *abaję*, to niech teraz ją nosi – zawyrokował, przekonany, że taka kara nie skrzywdzi siostry.

Sati była wyraźnie zawiedziona, ale że była pod wpływem Badra, uznała jego wolę za świętą. I tak Hayat musiała nosić własnoręcznie zdobioną *abaję*.

– To musiało wyglądać okropnie, ale dla mnie te malunki były najpiękniejsze na świecie, więc nie miałam z tym problemu, zwłaszcza że Sati już następnego dnia mi odpuściła.

– Nie jest zbyt konsekwentna – zauważyłam, puszczając oko do szwagierki.

– Konsekwentna nie, ale na pewno niezrównoważona. Nasza mama z czasem też się o tym przekonała, ale ceniła ją za oddanie, a przede wszystkim nie chciała zrywać więzi, jakie łączyły Sati z Badrem. Uważała, że to ważne, by jej syn miał opiekę, na wypadek gdyby jej samej zabrakło.

– To trochę dziwne...

– Trochę? – prychnęła Hayat. – To absolutnie chore! Ale mama wiedziała, że Sati jest spokrewniona z Al Saudami, i chyba miała wobec niej jakieś wyrzuty sumienia. Jednocześnie to pokrewieństwo sprawiało, że Sati wydawała się jej godna zaufania.

– Jakby przeczuwała, że młodo umrze...

– Myślę, że tego nie przeczuwała. Kiedy zachorowała, Badr miał siedemnaście lat, był prawie dorosły, ale Sati wciąż była dla niego ważna. A po śmierci mamy stała się jeszcze ważniejsza. Ciągał ją ze sobą wszędzie, jakby pragnął, by zastąpiła mu matkę...

– A gdy wyjechałyście z mamą do Oksfordu? Czy Sati pojechała z wami?

– Do Oksfordu tak, ale do Hiszpanii już nie. To tam, poza Arabią, mama się zorientowała, że Sati ma nie do końca poukładane w głowie i może być niebezpieczna. Wtedy bardzo sprytnie odpięła ten wagonik.

Sati stała się dla Lubny i Hayat prywatnym *muttawą* w grzesznej Wielkiej Brytanii. Oprócz wielu obowiązków narzuciła sobie dodatkowo, choć nikt od niej tego nie oczekiwał – dbała o ich moralność. Oczywiście Hayat, ze względu na swój wiek, była na jej celowniku najczęściej, ale Lubna też odczuwała skutki radykalizmu służącej.

Początkowo przejawiał się on głównie narzekaniem Sati na to, jak Hayat się ubiera, wychodząc z ich oksfordzkiej willi. Lubna próbowała jej tłumaczyć, że w Anglii to nic zdrożnego, że tu nie ma obowiązku zasłaniania się na ulicach. Sati oczywiście to wiedziała, ale nie przyjmowała tego za wystarczający argument. Kiedy tylko na ulicy pojawiła się jakaś zasłonięta od stóp do głów muzułmanka, a obie księżniczki były w pobliżu, w triumfalnych spazmach udawadniała, że szanujące się wyznawczynie islamu – niezależnie od kraju – zasłaniają się przed pożądlivym okiem mężczyzny.

Ani Lubny, ani Hayat oczywiście to nie przekonywało, bo zamieszkanie w Anglii miało oznaczać wolność od nakazów, które komplikowały ich życie, ale Sati nie zamierzała złożyć broni. Gdy Lubna próbowała ją dyscyplinować, służąca używała najbardziej skutecznej amunicji – Koranu. Wtedy księżniczka traciła argumenty, bo o ile nie zamierzała ulegać Sati w kwestiach ubioru, o tyle nie mogła przecież podważać słów objawionych prorokowi.

Widząc to, Sati sięgnęła po ostateczny oręż. Nawiązała kontakt z imamem z lokalnego meczetu

i ściągnęła go do willi swej pani, by skonfrontować ją z duchownym i wytłumaczyć, jak powinna się prowadzić muzulmanka.

– Wow, ona naprawdę jest bezczelna! – zakrzyknęłam, słysząc te rewelacje.

– Oj tak. Jeśli się na coś uprze, nie ma mowy, by ktoś ją odwiódł od celu. Mój tata mówił na nią *princess*, to oczywiście nawiązywało do jej pochodzenia, ale zdecydowanie bardziej oddawało sposób, w jaki się zachowywała.

– Nic dziwnego. Twój rodzice rozpuścili ją jak dziadowski bicz, a Badr ewidentnie kontynuuje tradycje.

– Ja jej nie znosiłam. W zasadzie odpuściła mi dopiero, gdy wróciłam do Arabii Saudyjskiej z Hiszpanii i zaczęłam się zasłaniać, nawet będąc w pałacu. Mama ostrzegła mnie, że ciążę mam ukrywać przede wszystkim przed Sati. Ona wydawała się bardziej niebezpieczna niż mężczyźni.

– To naprawdę chore... I ja mam się teraz z nią użerać? Powiedziałaś, że wasza mama „odczepiła ten wagonik”. Jak to zrobiła? Może ja też spróbuję?

– Obawiam się, że w twoim przypadku to się nie uda...

Pomysł wyjazdu do Hiszpanii pojawił się niedługo po tym, jak w willi wybuchła awantura po przymusowej wizycie imama. Lubna kategorycznie odcięła Sati od życia mieszkańców i nakazała jej poruszanie się jedynie pomiędzy kuchnią a swoim pokojem. Zabroniła jej także wychodzenia dokądkolwiek poza sklepem. Zapomniała tylko o tym, że Sati wciąż ma kontakt ze światem za pomocą telefonu. To wtedy służąca wpadła na pomysł, że poinformuje Badra o tym, iż jego matka cierpi na depresję, prawdopodobnie wywołaną tęsknotą za Arabią Saudyjską. On z pewnością przekona Lubnę, by wróciła do ojczyzny, a wtedy moralność obu księżniczek zostanie uratowana. Tym razem jednak sprawy nie poszły po jej myśli.

Badr przyjechał do willi i porozmawiał z matką, która faktycznie nie czuła się najlepiej psychicznie, ale powodem tego nie była tęsknota za ojczyzną, tylko angielska pogoda. To wtedy właśnie zrodził się pomysł wyjazdu do hiszpańskiej Marbelli. Sati oczywiście też szykowała się do podróży, ale Lubna podeszła ją podstępem. Tym razem to ona wykorzystała jej słabość, słabość do Badra.

– Nie chcę zostawiać mojego syna samego, czy byłabyś tak dobra i zaopiekowała się nim? – zapytała księżniczka.

Sati oczywiście się zgodziła, choć nie oszukujmy się – nie mogła odmówić. Czuła, że atmosfera między nią a księżniczką się oczyściła, a ona dostała nową, wprost wymarzoną misję.

Lubna i Hayat wyjechały. Szybko jednak się okazało, że Badr nie potrzebuje opieki Sati i nawet nie zagląda do opuszczonej przez matkę i siostrę willi. Po kilku tygodniach osobiście odesłał służącą do pałacu rodziców. Miała tam na niego czekać. Przez kolejne kilka lat pozostawała więc w uśpieniu, wypatrując chwili, kiedy odzyska swoje wpływy w rodzinie.

– I teraz je odzyskała – zauważyłam ze złością.

– Odzyskała je dużo wcześniej. Ona chyba sobie ubzdurzyła, że jest w stanie zastąpić Badrowi matkę, a mój głupi brat na to pozwala – prychnęła Hayat. – Obróciła w koszmar życie jego dwóch poprzednich żon, a teraz próbuje zrobić to samo z tobą. Jeśli pokłóciłaś się z Badrem o nią, to niestety mam kiepskie wieści. Jej władza jest tu nadal silna.

– Masz pomysł, jak się jej pozbyć?

– Nie. Ona jest jak karaluch, przetrwa nawet apokalipsę nuklearną. Mogę ci doradzić tylko jedno: izoluj ją od siebie i Hadida. Na wszelki wypadek nie zwierzaj się żadnej ze służących, bo jak ją znam, manipuluje nimi wszystkimi.

– Czyli mam siedzieć jak na szpilkach w domu, który podobno jest mój?

– Porozmawiam z Badrem, choć o Sati rozmawialiśmy już wiele razy. Niestety on ma do niej ogromny sentyment, a od śmierci mamy uważa ją za anioła, którego mama zostawiła na ziemi po to, by go chronił. Do tego wszystkiego to Sati dała mu znać, gdy mama dostała wylewu... Faktem jest, że dzięki niej mama niemal od razu trafiła do szpitala i gdyby tylko lekarze nie zwlekali z jej ratowaniem, pewnie nadal by żyła. Badr jest jej bardzo wdzięczny. A tobie trudno będzie z nią wygrać.

Gdyby przed poślubieniem Badra ktoś zapytał mnie, czego się boję najbardziej, odpowiedziałabym, że drugiej żony, którą poślubi, gdy już będziemy małżeństwem. Nie mogłabym

chyba znieść konkurowania o jego względy. I choć zapewniał mnie, że tego nie zrobi, nigdy nie wpadłabym na to, że konkurencję będę miała w osobie służącej. To było tak niedorzeczne, że momentami się z tego śmiałam. Najczęściej jednak myśl o Sati wywoływała we mnie wściekłość.

Po jakimś czasie postanowiłam, że nie dam się dłużej terroryzować i pokażę jej, kto tu rządzi. Potrzebowałam do tego wsparcia. Niestety Hayat wróciła do Anglii, ale był ktoś, kto mógł do mnie przyjechać – i doskonale się nadawał do mojej misji.

CZĘŚĆ III

ROZDZIAŁ 13

Wizyta

Gdyby Sati była typową służącą z Bali, stanęłabym na rżęsach, by ją tam odesłać, ale ona nigdy na Bali nie była. Urodziła się w Arabii Saudyjskiej i w zasadzie była u siebie. Al Saudowie zalegalizowali jej pobyt, a później nawet nadali jej obywatelstwo. Pod tym względem była nie do ruszenia, ja jednak wierzyłam, że jest na nią jakiś sposób.

Wpadłam na szaleńczy pomysł, by zaprosić do siebie Karen, Alinę i Marka. Do siebie – jak to brzmi... Wiedziałam, że to bardzo ryzykowny pomysł. Karen – rozwrzeszczana, głośna i nieustraszona, Mark nazywający samego siebie *flaming homosexual*, i Alina, która flirtowała z każdym, kto wpadł jej w oko. To mógł być przepis na katastrofę, ale postanowiłam, że spróbuję. Nie zamierzałam być beużyteczną i znudzoną księżniczką, odwiedzaną przez męża z doskoku i od czasu do czasu wyprowadzaną na spacer jak ozdobny piesek. Nie tak to sobie wyobrażałam. Przede wszystkim jednak liczyłam na to, że dawni przyjaciele pomogą mi się rozprawić z Sati. Kompletnie sobie tego nie wyobrażałam, nie wiedziałam, co może się zmienić, ale podświadomie potrzebowałam wsparcia. A w tej kwestii na Badra nie mogłam liczyć.

Muszę jednak przyznać, że stosunki między nami nie były najgorsze. Bez najmniejszych problemów zgodził się na przyjazd moich brytyjskich przyjaciół, był dla mnie bardzo miły, a w łóżku znów między nami iskrzyło. Na tyle, że zanim jeszcze Karen, Alina i Mark dotarli do Królestwa, dowiedziałam się, że znowu jestem w ciąży.

Postanowiłam jednak nie mówić jeszcze o tym Badrowi. Zresztą i tak na czas wizyty moich przyjaciół wyjechał. Wiedziałam, że jeśli mu powiem, będzie się martwił, może nawet naśle na mnie swojego ulubionego szpiega, a tak miałam szansę dobrze się bawić, póki jeszcze byłam w stanie założyć szpilki, a dziecko nie zrobiło sobie zabawki z mojego pęcherza moczowego.

Nie widzieliśmy się półtora roku, jednak kiedy rzucili mi się na szyję, miałam wrażenie, że nic się nie zmieniło.

– No cześć, księżniczko Leo! – Karen ścisnęła mnie mocno, ograniczając dostęp tlenu do moich płuc.

– Lamis – poprawiłam ją, gdy tylko uwolniłam się z jej ramion.

– No przecież mówię.

– *Hello, princess!* – przywitał mnie Mark ze swoją ulubioną manierą.

Alina początkowo milczała. Zanim się ze mną przywitała, odegrała pieczołowicie wyćwiczone dygnięcie, jakiego oczekuje się od poddanych przy spotkaniach z koronowanymi głowami. A potem wybuchnęła śmiechem i przytuliła mnie z całych sił.

Nie wiem, dlaczego tak długo zwlekałam ze ściągnięciem ich do Arabii. W jednej chwili sprawili, że wszystkie moje troski zniknęły bez śladu. Miałam genialny nastrój i zamierzałam zrobić wszystko, by nie opuszczał mnie przez co najmniej dwa kolejne tygodnie, bo tyle mieli spędzić w Królestwie moi przyjaciele.

Karen i Alina wyglądały dość komicznie w swoich *abajach*, ale obie zdawały się w nich odnajdować, choć ewidentnie był to dla nich bardziej kostium halloweenowy niż prawnie wymagany strój. Zastanawiałam się, jak będą wyglądały nasze imprezy w saudyjskiej wersji. Do tej pory odbywały się wyłącznie w klubach i pubach, a do tego przy udziale sporej ilości alkoholu. Tutaj nie było mowy ani o jednym, ani o drugim, chociaż Karen wkrótce udowodniła mi, jak bardzo się w tej kwestii myliłam.

– To co? Jedziemy na imprezę! – zakomunikowała przy entuzjastycznych okrzykach Marka i Aliny. – Zdaje się, że mamy sporo do nadrobienia!

– Obawiam się, że źle trafiłaś. W tym kraju nie ma gdzie imprezować – zareagowałam, myśląc, że schłodzę ich entuzjazm. – Zrobimy sobie imprezę tutaj.

– Z całym szacunkiem, księżniczko Leo, ale zabieramy cię na miasto. To my wydajemy tu rozkazy!

– Lamis – poprawiłam odruchowo, choć wiedziałam, że to zupełnie zbyteczne.

Karen nie miała pamięci do imion. Nigdy nie nauczyła się imienia mojego męża, dla niej każdy Arab był Ahmedem, a ja już na zawsze zostałam księżniczką Leą. Wiedziałam, co mogą oznaczać słowa „zabieramy cię na miasto” w ustach Karen. Nawet w Wielkiej Brytanii jej alkoholowe wybryki często wymykały się prawu. Tu, w Arabii Saudyjskiej, mogły się skończyć wręcz tragicznie, ale nie chciałam psuć im zabawy.

– Masz jakąś karocę, limuzynę, czym tam cię wożą...? – spytała moja przyjaciółka.

– Mamy kierowcę. Ale najpierw musisz mu powiedzieć, dokąd chcesz jechać. W tym kraju z takimi rzeczami nie ma żartów.

Chwilę to zajęło, ale w końcu Karen wyjęła lekko sfatygowaną kartkę, na której zapisane były słowa: *Dorrat Al Jadawel, Riyadh*, a pod spodem: *Jake's Party*.

– Wiesz, gdzie to?

Nie miałam pojęcia.

Okazało się, że w samolocie Karen zagadnęła grupę amerykańskich żołnierzy, którzy wracali do bazy w Rijadzie. Przegadali ze sobą całą podróż, a na koniec Amerykanie zaprosili trójkę moich przyjaciół do amerykańskiego *compound* – strzeżonego osiedla dla obcokrajowców, w którym nie obowiązywały surowe saudyjskie zasady, a dostęp do alkoholu i zabawy był znacznie łatwiejszy niż gdzie indziej. W sumie mogłam się spodziewać, że Karen znajdzie jakiś sposób, by zaszaleć nawet w kraju, w którym alkohol jest zupełnie zakazany, ale obstawiałam raczej, że pod koniec pierwszego tygodnia pobytu w desperacji sama zacznie go pędzić.

Jedynymi imprezami, na jakich byłam od czasu, kiedy przyleciałam do Królestwa, był mój hennowy wieczór paniński i wesele, a jedyną używką, z jaką miałam do czynienia, była szisza, którą paliłam podczas wyjścia z Hayat. Poza tym moje życie było zupełnie pozbawione tego typu rozrywek. To miało się zmienić już tego wieczoru.

Compound to słowo doskonale znane zarówno mieszkańcom saudyjskich miast, jak i ekspatom, którzy postanawiają osiedlić się w Królestwie na stałe lub okresowo. To często luksusowe osiedla zamieszkiwane przez obcokrajowców pracujących na kontraktach w saudyjskich firmach lub w wojsku. Wymykają się one surowym zasadom panującym w kraju, będąc swoistymi enklawami wolności. Za wysokimi murami otaczającymi *compound* kobiety nie muszą się zasłaniać przed mężczyznami ani przestrzegać innych zasad, które na co dzień ograniczają ich wolność.

Dorrat Al Jadawel stanowi jeden z bardziej znanych *compound*. Zbudowany pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, jest domem dla około tysiąca ludzi, głównie Amerykanów i Brytyjczyków. Mieszkają oni w willach, które z zewnątrz nawiązują do architektury arabskiej, ale urządzone są w zachodnim stylu.

Na terenie tego zamkniętego osiedla znajduje się ogromna restauracja, która jest w stanie pomieścić jednorazowo nawet połowę mieszkańców osiedla. Do dyspozycji mają oni też bar, teatr, kręgielnię, salon fryzjerski i kosmetyczny.

W kraju takim jak Arabia Saudyjska skupiska przedstawicieli Zachodu są idealnym celem dla ekstremistów, dlatego bezpieczeństwo traktuje się tam niezwykle poważnie. Dostępu do osiedla broni dwudziestoczęterogodzinna ochrona, zaś po jego terenie nieustannie spacerują lub jeżdżą konno patroli. Wszystko jest monitorowane, a strategiczne miejsca wyposażone są w czujniki i bariery ruchu na podcierwień.

Mimo tych zabezpieczeń w 2003 roku Dorrat Al Jadawel było jednym z osiedli zaatakowanych przez terrorystów z Al Kaidy. Napastnikom nie udało się dostać na teren kompleksu, ale zaatakowali strażników, a następnie zdetonowali dwutonową bombę pod jego bramą, zabijając siebie, dwóch ochroniarzy i raniąc wiele innych osób.

Kilka godzin później wystrojeni jak na imprezę sylwestrową wsiedliśmy do jednej z pałacowych limuzyn i ruszyliśmy w kierunku Dorrat Al Jadawel. Moi goście byli w szampańskich nastrojach, ja musiałam trochę udawać. Tak naprawdę byłam bowiem przerażona możliwymi konsekwencjami tego wypadu. Nie miałam pojęcia, co się wydarzy, ale znając Karen w wersji imprezowej, miałam powody do niepokoju.

Gdy podjechaliśmy pod ogromną bramę, przy naszym samochodzie natychmiast pojawiło się dwóch uzbrojonych strażników. Rozmawiali z kierowcą, ale ten chyba nie bardzo potrafił wytłumaczyć im, dlaczego chcemy wjechać na teren osiedla. Mając nieprzyjemne doświadczenia sprzed zaledwie dwóch lat, ochroniarze byli naprawdę bardzo ostrożni. Sprawdzili dokładnie samochód detektorami ładunków wybuchowych, a następnie kazali otworzyć bagażnik i odsunąć wszystkie okna, ale w dalszym ciągu nie byli przekonani, że mamy prawo wjechać na teren obiektu.

Nie rozumiałam ani słowa z ich rozmowy, nikt z nas nie rozumiał, ale Karen zachowała się najbardziej przytomnie i podała jednemu ze strażników kartkę, którą dostała od znajomych z samolotu. Ta zaś okazała się dokumentem znacznie bardziej znaczącym, niż mogłoby się wydawać. Niczym wytrych podziały dwa słowa: *Jake's Party*. Na ich widok na twarzy strażnika pojawił się szeroki uśmiech.

– *Aaaaa! Mr. Jake! Come on, welcome!* – powiedział i natychmiast otworzył przed nami bramę.

Nie miałam pojęcia, kim jest Mr. Jake, ale ewidentnie musiał być kimś ważnym. Choć przez cały czas spędzony na sprawdzaniu samochodu miałam cichą nadzieję, że zostaniemy odprawieni, bardzo się ucieszyłam, gdy wysiadłam już po drugiej stronie muru.

Z pozoru okolica nie różniła się jakoś szczególnie od tego, do czego zdążyłam się już przyzwyczaić w Rijadzie, ale faktycznie można tu było poczuć powiew wolności. Karen w jednym momencie pozbyła się swojej *abai* i chusty, którą bardzo nieudolnie zasłaniała głowę, a Alina i ja szybko poszłyśmy w jej ślady. To było naprawdę wspaniałe znaleźć się poza domem i nie musieć się przed nikim zasłaniać czarnymi tkaninami. Wprawdzie zdążyłam już je polubić, a nawet dostrzec w nich pozytywy, jak choćby możliwość ukrycia przed światem mankamentów garderoby, braku makijażu czy niezbyt udanej fryzury, ale jednego nie mogłam znieść. To był przymus, nakaz pochodzący od mężczyzn. Gdyby nie on, wiele kobiet dużo chętniej nosiłoby *abaje* i *hidzaby*. A na pewno znacznie mniej miałyby z nimi problem. Tu nie chodzi bowiem o sam strój, tylko o ideologię i zniewolenie, które on symbolizuje. Do dziś jestem przekonana, że zniesienie tego nakazu nie spowodowałoby, że wszystkie kobiety odwiesiłyby swoje stroje do szafy. Nadal by je nosiły, ale z dumą i co najważniejsze – z własnego wyboru.

Wyglądałyśmy jak milion dolarów. Trzy miliony dolarów. Pięć, jeśli liczyć Marka, bo mężczyzna w Arabii Saudyjskiej zawsze liczy się podwójnie. Szybko się zorientowaliśmy, gdzie jest impreza. Muzyka dochodziła z jasno oświetlonego osiedlowego baru. Kiedy tam dotarliśmy, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Opisywanie tego nie ma większego sensu, wystarczy przypomnieć sobie scenę z dowolnego filmu, w którym młodzież szaleje na imprezie w wypasionej willi z basenem. Gdyby saudyjska policja religijna to zobaczyła, jej funkcjonariusze albo masowo dostaliby zawału, albo na miejscu stracili wszystkich uczestników.

Karen i Alina szybko wmieszały się w tłum, a Mark dzielnie pozostał u mojego boku. Sytuacja całkowicie do przewidzenia. Dziewczyny nadal były singielkami i właśnie znalazły się na imprezie pełnej heteroseksualnych facetów, spośród których wielu było żołnierzami. Dla Marka nie było to pole łowów. Jedyne, co złowił, to dwa drinki w barze. Podał mi jednego, a ja wzięłam łyk, ale natychmiast go wypłułam. Gdy tylko poczułam jego smak na języku, przypominałam sobie o swoim stanie.

– *Bitch!* Jesteś w ciąży! – zawołał z entuzjazmem Mark.

– Przed tobą niczego się nie ukryje – odparłam z uznaniem.

– Wiesz, w sumie się nie dziwię. Jakbym miał takiego przystojniaka w domu, chyba ciągle chodziłbym w ciąży! – zaśmiał się.

– Tak się składa, że rzadko miewam go w domu – powiedziałam ze smutkiem.

Mark natychmiast spoważniał i przyjrzał mi się uważnie.

– Brzmisz, jakbyś nie była zbyt szczęśliwa.

– W sumie to sama nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Nie jestem ani szczęśliwa, ani nieszczęśliwa.

W tamtym momencie po raz pierwszy to nazwałam. I dokładnie tak się czułam w swoim małżeństwie z Badrem. Nie miałam powodów, być czuć się nieszczęśliwą, ale też żadnych – poza Hadidem – do bycia prawdziwie szczęśliwą. Czułam się jak mucha, którą uwięziono w szklance. Niby z widokiem na cały świat, ale jednak ograniczona.

– Oj, gdybyś nie miała bułeczki w piecyku, upiłbym cię i zaraz wszystko byłoby dobrze – powiedział Mark z troską, zupełnie jakby alkohol mógł zmienić moją sytuację.

Przeglądałam się wszystkim tym fantastycznie bawiącym się ludziom i czułam się coraz gorzej. Na co dzień nie mogłam robić tylu rzeczy, że nawet gdy na chwilę zwrócono mi wolność, nie potrafiłam z niej korzystać. Nagle poczułam ogromną tęsknotę za rodzicami, za domem, ale tym z dzieciństwa. Chciałam znowu poczuć się swobodnie, jednak wiedziałam, że tu, w Królestwie, nigdy nie będzie to możliwe.

Podjęłam decyzję: jak tylko Karen, Alina i Mark wrócą do siebie, odwiedzę rodziców w Paryżu. Kto wie, może nawet polecę do Europy razem z moimi przyjaciółmi. Ta myśl momentalnie poprawiła mi nastrój. Poczułam ekscytację, a ciemne chmury natychmiast odpłynęły znad mojej głowy. Będzie fantastycznie! Rodzice wreszcie poznają swojego wnuka, a ja znowu poczuję się ich małą córeczką.

Impreza w Dorrat Al Jadawel skończyła się, gdy na niebie pojawiła się różowa łuna zwiastująca wschód słońca. Kiedy dotarliśmy do naszej willi, ziemię zalewały już pierwsze nieśmiałe promyki.

W progu powitała nas Sati. Zacięty wyraz twarzy zdradzał jej myśli. Przez chwilę obserwowała, jak zupełnie pijana i lekko rozespana Karen próbuje utrzymać pion, wysiadając z samochodu. Mark, który dzielnie próbował jej towarzyszyć, też z trudem trzymał się na nogach, a Alina – przekonana, że jest zupełnie trzeźwa – zrobiła kilka kroków i runęła jak długa. Próbując ją podnieść, sama również nie utrzymałam równowagi, choć nie miałam we krwi ani grama alkoholu.

Zamieszanie na podjeździe wzbudziło zainteresowanie służby. Jestem przekonana, że nigdy wcześniej nie widzieli niczego podobnego. To, co dla nas jeszcze niedawno było na porządku dziennym, dla nich stanowiło zupełnie niespotykane zjawisko.

Gdy wszyscy siedzieliśmy na ziemi, pokładając się ze śmiechu, Sati wróciła do willi i zaszyła się gdzieś, tak że nie widziałam jej przez cały dzień. Nie żebym za nią tęskniła, ale znałam ją już na tyle dobrze, by wiedzieć, że ta sytuacja będzie mieć swoje konsekwencje.

I miałam rację.

Moi goście spędzili kolejne godziny na odsypianiu kaca, a ja kołłam wyrzuty sumienia wobec Hadida, tuląc go do siebie, jakbym w ten sposób chciała wynagrodzić mu swoją nocną nieobecność. Opowiadałam synkowi o planach wyjazdu do Paryża, o jego dziadkach i o tym, co będziemy razem robić. Wiem, że tego nie rozumiał, ale uspokajał się, gdy słyszał mój głos, a ja uwielbiałam do niego mówić. Miał takie rozumne oczka. Słuchał z prawdziwym zaciekawieniem i robił rozkoszne minki.

Nie potrzebowałam snu. Miałam w sobie tyle energii! Jedynym, co chwilami zakłócało mój błogi spokój, były pojawiające się co jakiś czas nudności. Wiedziałam jednak, że jestem w ciąży, więc się tym nie przejmowałam. Zwłaszcza że nie tylko ja tego dnia wymiotowałam w naszej willi. Nie miałam tylko pojęcia, że stanie się to jednym z głównych elementów aktu oskarżenia wobec mnie. A ten – w zupełnie niespodziewanych okolicznościach – odczytano już następnego dnia.

Badr był w podróży po Azji i nie spodziewałam się jego powrotu wcześniej niż za trzy tygodnie. Tym większe było moje zdziwienie, gdy obudził mnie kolejnego poranka.

– Musimy porozmawiać – powiedział, gwałtownie mnie szturchając. Żadnego pocałunku na przywitanie, żadnych uścisków, czułych słów.

Zerwałam się z łóżka, zaskoczona, ale też przestraszona jego zachowaniem.

– Oczywiście... – wyszeptalam, podchodząc do niego, by się przywitać, ale gdy tylko znalazłam się blisko, odwrócił się. – Badr, co się stało?

– To ja będę zadawał pytania! – warknął, po czym pchnął mnie ze złością.

To był pierwszy raz, kiedy dotknął mnie w taki sposób. Pierwszy i przełomowy, ale zdecydowanie nie ostatni.

Nie poznawałam go, nie rozumiałam, dlaczego tak się wobec mnie zachowuje, ale miałam podejrzenia, kto stoi za jego nagłym powrotem.

Przestraszona, próbowałam znaleźć jakiś sposób, by uspokoić Badra.

– Czy możemy o tym porozmawiać na spokojnie? Mamy w domu gości... – Użyłam tego argumentu, choć w naszej gigantycznej willi nie było szans, by z jednego skrzydła do drugiego dotarło choćby słowo nawet najgłośniejszej kłótni.

– Twoi goście są już na lotnisku – rzucił mój mąż oschle, ale z wyraźną satysfakcją w głosie.

– Jak to? – wyszeptalam, zupełnie zdezorientowana. – Jak mogłeś...?

– Mogłem! To mój dom! – warknął, nie pozostawiając mi złudzeń, gdzie jest moje miejsce.

Nie miałam pojęcia, co robić. Niespodziewany stres wywołał u mnie bóle podbrzusza. Nagle poczułam, że muszę zwymiotować. Odwróciłam się i ruszyłam w kierunku łazienki, ale Badr złapał mnie za ramię.

– Nie pozwoliłem ci odejść! – wrzasnął.

Nie mogłam nic powiedzieć. Próbowałam powstrzymać torsje, ale w pewnym momencie nie było to już możliwe. Zgięłam się wzdłuż i zwymiotowałam na dywan w sypialni.

– Ty obrzydliwa pijaczko! Sati miała rację! – krzyknął z odrazą.

Przynajmniej potwierdził moje przypuszczenia. Na dźwięk jej imienia wezbrała we mnie wściekłość.

– Mogłam się domyślić, że uwierzysz temu kłamliwemu babsku, a nie własnej żonie! – rzuciłam w histerii.

Badr znowu zareagował siłą. Złapał mnie za szyję i ścisnął moją szczękę tak mocno, że miałam wrażenie, iż zaraz pęknie.

– Nigdy nie waż się tak o niej mówić – wycedził, po czym uwolnił mnie z uścisku.

– Mówię prawdę! – wrzasnęłam z bezsilności. – Nie wiem, co ta zołza ci nagadała, ale nie wypilałam nawet kropli alkoholu! Nie piłam, bo jestem w ciąży! Dlatego mam mdłości... To pierwszy miesiąc.

Na jego twarzy pojawiło się zmieszanie. Pewnie pomyślał, że moja wersja ma sens. Oczywiście, że go miała, bo była prawdziwa, choć ta przedstawiona przez Sati również wydawała mu się bardzo prawdopodobna. Widziałam, że jest zdezorientowany. Może nawet żałował, że potraktował mnie tak obcesowo, a teraz nie wiedział, jak to wszystko naprawić. Właśnie się dowiedział, że po raz kolejny zostanie ojcem. Ogromna radość mieszała się z wściekłością i poczuciem zdrady. Oboje zresztą czuliśmy to samo. Nigdy się nie spodziewałam, że nasze drobne kłopoty małżeńskie będą narastały w takiej formie, że słowa zmieniają się w bolesne ciosy.

Badr stał jeszcze przez chwilę zupełnie oniemiały, po czym wyszedł z sypialni. Wtedy puściły wszystkie hamulce utrzymujące moje emocje na wodzy. Rozplakałam się tak, że aż mnie dławiło. Nie nadążałam z ocieraniem łez, spływały po moich policzkach istną lawiną. Tak bardzo chciałam być teraz w domu moich rodziców. W miejscu, gdzie nikt nigdy nie odważyłby się podnieść na mnie rękę, gdzie czułam się chciana i kochana. W Arabii Saudyjskiej miałam tylko dwie osoby, które prawdziwie kochałam. Hadid nie był w stanie mnie pocieszyć, choć sama jego obecność była dla mnie ogromnym wsparciem. Badr z miłości mojego życia zmieniał się w największe życiowe rozczarowanie. Nie wiedziałam, czy z tej drogi jesteśmy jeszcze w stanie zawrócić.

Stres sprawił, że późnym popołudniem zasnęłam. Obudziłam się kilka godzin później w pokoju pełnym kwiatów. Nie wiedziałam, kiedy je wniesiono ani kto to zrobił. Mogłam się tylko domyślać, na czyje życzenie. Po raz drugi tego dnia obudziłam się totalnie zaskoczona. Wiedziałam, że Badr zrobił to, by mnie przeprosić, ale najbardziej ucieszył mnie fakt, że napięcie między nami wyraźnie spadło. Teraz już będziemy mogli porozmawiać normalnie, jak dwójka kochających się ludzi.

Chwilę później okazało się, że moje nadzieje były płonne. Mój mąż nie pojawił się w sypialni. Próbowałam się do niego dodzwonić, ale jego telefon nie odpowiadał. Był wyłączony lub poza zasięgiem. W kwiatkach znalazłam jedynie liścik, w którym Badr jak gdyby nigdy nic dziękował mi za to, że dam mu kolejne dziecko, i wyznawał miłość. Najwyraźniej nie uważał, że słowo „przepraszam” było równie na miejscu. Chyba że chciał mnie przeprosić twarzą w twarz. Były czasy, kiedy każda nasza sprzeczka kończyła się gorącymi przeprosinami, po których trudno było złapać oddech. Może te czasy wróciły?

Wysłałam na korytarz i przesłałam wszystkie pokoje, ale Badra nigdzie nie było. W końcu postanowiłam zapytać o niego Sati. Zadzwoiłam przez interkom, którego wciąż jeszcze dość często używaliśmy. Służba miała obowiązek natychmiast odpowiadać na wezwanie, a najczęściej robiła to właśnie Sati.

– Czy wiesz, gdzie jest mój mąż? Chciałabym podziękować mu za to morze kwiatów w mojej sypialni... – wyjaśniłam, zamierzając podkreślić, że mimo usilnych prób skłócenia nas Badr nadal stoi po mojej stronie.

– Sądzę, że gdzieś nad Indiami – odpowiedziała Sati z nutą złości.

– Gdzie?

– W drodze do Singapuru.

– Okej, dziękuję – odparłam i rozłączyłam się.

Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że Badr się poddał, nie chciał już o nas walczyć. Kwiaty wysyła się żonom, które zachodzą w ciążę, bo tak wypada. Z żonami, które się kocha, mężowie rozmawiają, uprawiają seks, są przy nich... Ja byłam doceniana wyłącznie jako inkubator. Cała reszta moich potrzeb przestała się liczyć.

Jeszcze raz wybrałam numer Badra i odczekałam, aż zgłosi się automatyczna sekretarka.

– Dziękuję za kwiaty. Oddzwon do mnie, proszę. Muszę ci powiedzieć coś ważnego – nagrałam się, a potem rozłączyłam.

Telefon do mnie widocznie nie znalazł się na liście priorytetów mojego męża, bo Badr skontaktował się ze mną ponad dobę później, w dodatku w nocy.

– Chciałaś porozmawiać – rzucił oschle.

– Miałam nadzieję, że zrobimy to w cztery oczy.

– Nie mogłem zostać. W ogóle nie powinienem był przerywać tej podróży, ale Sati...

– Tak, wiem – wtrąciłam gwałtownie. – Proszę, nie wspominaj o niej.

– Znowu zaczynasz?

– Niczego nie zaczynam. Po prostu źle się czuję z powodu tego, co się między nami dzieje. Ciebie ciągle nie ma, ja wiecznie jestem sama, a gdy tylko próbuję jakkolwiek cieszyć się życiem, wkracza upiorna służąca, która kłamstwem i manipulacją psuje wszystko między nami.

– Sati o ciebie dba. To prawdziwy anioł.

– Tak, tak, już to słyszałam. Wiem, że ją kochasz. Nie wiem tylko, czy kochasz mnie...

– Oczywiście, że tak – zapewnił natychmiast. – Nikogo nie kocham bardziej.

– Chciałabym to znowu poczuć.

– Nie wiem, jak miałbym ci to udowodnić. Przecież zamówiłem ci kwiaty...

– I zaraz potem wyjechałeś. Myślisz, że kwiaty zastąpią nam normalne stosunki w małżeństwie?

Ja się tu duszę, Badr. Chciałabym odpocząć. Chcę polecieć do Paryża, do rodziców. Zostanę tam kilka tygodni, wrócę do równowagi. To mi dobrze zrobi.

Mój mąż milczał przez dłuższą chwilę.

– Jesteś w ciąży – rzucił w końcu.

– To początek, mogę bez problemu latać...

– Nigdzie nie polecisz!

– Nie możesz mi tego zabronić – powiedziałam, zupełnie zaskoczona jego reakcją.

– Nie mogę? W takim razie szerokiej drogi – prychnął i się rozłączył.

Szybko sobie przypomniałam, że przecież jestem saudyjską żoną w kraju, w którym kobiety muszą prosić swoich mężów, ojców, braci lub synów o zgodę na podróżowanie. Badr wcale nie musiał mnie zamykać w willi, nie musiał więzić – wiedział, że nikt nie wypuści mnie z tego kraju bez jego zgody. Nie było na to szans.

Nie mogłam powiedzieć o tym rodzicom, choć mama szybko wyczuła, że jest coś ze mną nie tak.

– To tylko tęsknota, mamusi. Ale wszystko jest w porządku, naprawdę – przekonywałam. – Jak tylko minie pierwszy trymestr i poczuję się lepiej, na pewno do was przylecę.

To musiało uspokoić ich na jakiś czas. Miałam nadzieję, że Badr w końcu zmieni zdanie i pozwoli mi polecieć z Hadidem do Paryża. Mógłby nawet udać się tam z nami, przecież moi rodzice wprost za nim przepadali.

Następnego dnia obudziła mnie lawina wiadomości od Karen, Aliny i Marka. Relacjonowali to, jak wyglądały ich ostatnie godziny w Arabii Saudyjskiej, ale przede wszystkim martwili się o mnie. Musiałam natychmiast im odpisać, bo istniało spore prawdopodobieństwo, że opowiedzą o tym, co

zaszło, moim rodzicom. A wtedy już nie udało mi się ich uspokoić.

Okazało się, że mój mąż nie tylko mi urządził dzień z piekła rodem.

O piątej rano do kwater zajmowanych przez Karen, Alinę i Marka wtargnął ten sam mężczyzna, którego nie udało mi się zidentyfikować, ale który ewidentnie działał na zlecenie Badra. Nie miał problemu z wejściem do apartamentów zajmowanych przez kobiety, bo reprezentował powszechne wśród radykałów podejście, że te z Zachodu nie zasługują na szacunek, skoro same się nie szanują.

W każdym pokoju padł taki sam rozkaz:

– Zbierać się! Za piętnaście minut samochód odwiezie was na lotnisko!

Nie było miejsca na dyskusję, choć Karen próbowała. Chciała rozmawiać ze mną, ale mężczyzna powiedział tylko:

– To jest życzenie księżniczki Lamis. *Khalas!*

Wszyscy troje byli na tyle przestraszeni, że spakowali się przed wpływem kwadransa. Na lotnisku wcale nie było milej. Zarezerwowano im dopiero nocny lot, ale nie pozwolono swobodnie czekać na niego w hali odlotów. Bez żadnego powodu – poza chęcią upokorzenia ich – zostali zamknięci w lotniskowym pokoju służącym do przetrzymywania nielegalnych imigrantów, który od celi różnił się w zasadzie tylko tym, że wyglądał jak zgrzebne biuro. Nie mieli warunków do odpoczynku, dostępu do jedzenia ani wody, a przed drzwiami stali strażnicy. Do tego wyłączono klimatyzację, więc w pokoju wielkości sześciu metrów kwadratowych już po godzinie brakowało tlenu. Było tak duszno, że każde z nich na zmianę kładło się pod drzwiami, by przez szparę między nimi a podłogą zaczerpnąć choć odrobinę powietrza. To jednak nie koniec tortur. Każdy miał prawo skorzystać z toalety tylko raz w ciągu kilkunastu godzin tego swoistego aresztu. A i tam byli odprowadzani pod nadzorem, o intymności nie mogło być mowy.

To wszystko było upokarzające, niepotrzebne i zdecydowanie niezasłużone. Kiedy w końcu ich wypuszczono, by przeszli odprawę, w ich paszporty wbito pieczętkę z dożywotnim zakazem wjazdu na teren Królestwa. Zupełnie jakby po tym, jak zostali potraktowani, mogli chcieć tu wrócić.

ROZDZIAŁ 14

Kasia

Emily zdecydowała się opowiedzieć swoją historię po śmierci księżniczki Kasi Al Thani, a do mnie dotarła dzięki jednemu z wielu wywiadów na ten temat, których udzieliłem. Zmarła księżniczka zasługuje w tej opowieści na swoje miejsce. Nie tylko dlatego, że dodała odwagi Emily, ale ponieważ była niezwykłą kobietą, którą jak wiele jej podobnych kobiet zwiodyły źle ulokowane uczucia.

Choć ich losy różnią się znacząco, mają wspólny mianownik. Obie padły ofiarą bogatych i wpływowych mężczyzn z arystokratycznych arabskich rodów, a bronią, którą w nie wymierzono, były ich dzieci. Oczywiście takie sytuacje zdarzają się na całym świecie. Ludzie najpierw kochają się nad życie, później śmiertelnie nienawidzą, a walcząc ze sobą, wyrrywają sobie dzieci. Ale w stosunku do kobiet, które są byłymi żonami Arabów i mieszkają w krajach arabskich, prawo jest bezlitosne i rzadko przyznaje im możliwość opieki nad dziećmi, a często wręcz ogranicza kontakt z nimi do zera. Jakby nigdy nie miały dzieci albo na zawsze je utraciły.

Polityczne przewroty i przymusowe abdykacje dość często goszczą na kartach historii Kataru. Pod tym względem kraj zdecydowanie wyróżnia się na tle swoich sąsiadów znaną Zatoką Perską. Rządząca nim rodzina Al Thani u władzy jest od trzech wieków, chociaż współczesny Katar jako państwo istnieje dopiero nieco ponad pięćdziesiąt lat.

Niespełna rok po ustanowieniu Kataru jako państwa, które znamy dziś, jego pierwszy emir, szejk Ahmad Al Thani, został obalony przez swojego kuzyna Khalifę. Nieco ponad dwie dekady później on też stracił tron w wyniku bezkrwawego przewrotu, którego dokonał jego własny syn Hamad. Hamad również nie był emirem do końca życia. Prawdopodobnie pomny tego, co zrobił swojemu niedołęzniejącemu ojcu, w 2013 roku abdykował i według oficjalnych doniesień dobrowolnie oddał władzę swojemu synowi Tamimowi. Ten zasiada na tronie do dziś.

Chętnych do objęcia posady katarskiego emira nie brakowało, choć tym najbardziej znanym był pierworodny syn Kalify, Abdelaziz. Jego ojciec dokonał udanego przewrotu i zasiadł na tronie, co utwierdziło Abdelaziza w przekonaniu, że i on osiągnie w tej kwestii sukces. Próbował pozbawić władzy swojego wuja Hamada, który zwolnił go z funkcji wpływowego ministra finansów. Po utracie stanowiska Abdelaziz wyjechał do Francji, gdzie osiadł na stałe. Nie porzucił jednak marzeń o powrocie na szczyty władzy w swoim kraju. Zaczął formować opozycję i w 2011 roku próbował dokonać przewrotu. Poniósł sromotną porażkę, a granice jego kraju zamknęły się przed nim bezpowrotnie.

Siedem lat przed tym, jak Katar uznał Abdulaziza za persona non grata, szejk poznał w Paryżu przepiękną Amerykankę polskiego pochodzenia, Kasię Gallanio. Zakochał się w niej natychmiast i po same uszy. Choć był dwa razy starszy od swojej wybranki, postanowił o nią zawalczyć.

Kasia pojechała do Paryża na wakacje z przyjaciółką ze studiów, która w tym czasie była w związku z francuskim bankierem.

– Byłam piątym kołem u wozu – powiedziała, opowiadając tę historię w swoim ostatnim w życiu wywiadzie.

Tak się złożyło, że klientem narzeczonego jej przyjaciółki był właśnie szejk Al Thani. Kasia przypadkowo znalazła się wraz ze swoimi towarzyszami w domu arystokraty. Książę natychmiast zwrócił uwagę na piękną i lekko zagubioną dziewiętnastoletnią studentkę. Zaczęli rozmawiać, wymienili się adresami mailowymi i wyglądało na to, że na tym ich znajomość się skończy. Ale zanim młoda dziewczyna wróciła do Los Angeles, katarski książę zdążył zalać ją lawiną romantycznych maili, setkami kwiatów i drogimi prezentami.

Kasia zgodziła się na kolejne spotkanie, na którym szejk Abdulaziz ujął ją swoją osobowością – a trzeba przyznać, że charyzmy nie odmawiają mu nawet jego wrogowie. Para zaczęła się spotykać, a jakiś czas później pojawiło się między nimi uczucie. Urodzona w Krakowie, wychowana w Los Angeles, Kasia Gallanio miała zostać katarską księżniczką.

Ich ślub był bajkowy, jak przystało na początek baśniowego życia, ale szybko się okazało, że to

bajka z wieloma czarnymi bohaterami. Młoda żona musiała sprostać surowym regułom dworu, jednak choć bardzo się starała, coraz częściej była powodem konfliktów.

Kiedy zaszła w ciążę i urodziła bliźniaczki, Malak i Yasmin, jej sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała. Była młodą dziewczyną, która mimo tego, jak potoczyło się jej życie, wciąż miała ochotę czerpać z niego pełnymi garściami, co jej dużo starszy mąż często odbierał jako afront. Mimo to małżonkowie starali się pracować nad różnicami i ratować łączące ich uczucie, czego owocem była kolejna córeczka, dwa lata młodsza od swoich sióstr księżniczka Reem. Dla Abdulaziza Al Thani była ona już dwunastym dzieckiem. Z pierwszą żoną miał ich sześcioro, a z drugą, podobnie jak i z trzecią, trójkę.

Ich małżeństwo przetrwało zaledwie pięć lat. Pozew o rozwód złożony w Paryżu, gdzie Abdulaziz Al Thani został zesłany po nieudanym puczu, rozpoczął kilkunastoletnią batalię o dzieci, która zakończyła się dopiero w momencie śmierci księżniczki. Jej mąż na wiele lat odciął ją od kontaktu z córkami, co spowodowało u niej poważne problemy ze zdrowiem fizycznym i psychicznym. To z kolei wzbogacało jego arsenal oskarżeń podczas rozpraw sądowych. Oskarżał żonę o alkoholizm i zażywanie narkotyków, choć ludzie, którzy ją otaczali, zaprzeczali tym doniesieniom. Trudno rozstrzygać o wiarygodności słów siedemdziesięcioletniego obecnie księcia. Mocno zszargane zdrowie psychiczne jego żony mogłoby wskazywać na to, że nie były bezpodstawne, choć równie dobrze mogły być wysane z palca i krzywdzące.

Dużo większy kaliber zarzutów pojawił się w tej sprawie stosunkowo niedawno. Siedemnastoletnie bliźniaczki Malak i Yasmin zdecydowały się opuścić apartament ojca i przeprowadzić do mieszkającej w hiszpańskiej Marbelli matki. W odpowiedzi księżę odciął je od majątku, a wkrótce potem obie zostały wezwane przed sąd w charakterze świadków.

Zeznania Yasmin zaskoczyły wszystkich, również ich matkę. Nastoletnia księżniczka wyznała, że głównym powodem ucieczki od ojca był fakt, że ten molestował ją seksualnie. Księżę oczywiście wszystkiemu zaprzeczył, ale jeśli zarzuty jednej z bliźniaczek były prawdziwe, oznaczało to, że ich młodsza siostra, nadal mieszkająca z ojcem w jego paryskiej posiadłości, jest w niebezpieczeństwie, zwłaszcza że ten zupełnie ograniczył jej kontakt z matką i siostrami.

Mimo pojawienia się nowego wątku w sprawie Kasia Al Thani przegrała walkę o prawo do opieki nad dziećmi ze swoim wpływowym mężem, a podejrzenia o molestowanie córki zostały objęte osobnym śledztwem. Sąd zdawał się w ogóle nie brać ich pod uwagę w kwestiach rozwodowych.

W sprawach takich jak ta trudno oczywiście rozstrzygać o racjach i winach, chociaż jeden z ostatnich postów Kasi Al Thani na Instagramie mówi sporo o bataliach sądowych, w których stawką jest dobro dzieci. Rodzice często zdają się o nim zapominać.

Wahałam się, czy opublikować ten post na moim IG, ale po otrzymaniu tylu słów wsparcia, przy świadomości tego, jak wielu rodziców jest w tej samej sytuacji, postanowiłam podzielić się moją historią.

Po pierwsze, mężczyzna nigdy nie powinien lekceważyć matki swoich dzieci. I odwrotnie. Bez względu na to, jak szalony, zdenerwowany, zazdrosny lub złośliwy jest ojciec moich dzieci, robię wszystko, co w mojej mocy, aby utrzymać, chronić, kochać, wychowywać, karmić i edukować moje dziewczynki. Nie jestem idealna, ale bardzo się staram.

Dzieci NIGDY nie powinny być pionkami w rozgrywkach między rodzicami.

Ojciec moich dzieci, księżę Abdulaziz Khalifa Al Thani, od ponad roku nie zapłacił ani centa alimentów, aby wesprzeć i wychować nasze dzieci.

Moim zdaniem jest to oburzające, niesprawiedliwe i zawstydzające. Bez względu na to, jaki się ma status finansowy, jest to niemoralne, ponieważ ofiarą są znowu dzieci... Jest to jednak tym bardziej upokarzające, gdy jest się miliarderem i księciem Kataru.

Pod tym postem pojawiło się tysiące komentarzy ze słowami wsparcia. Wiele z nich napisały kobiety, które znajdują się w podobnej sytuacji – byli mężowie albo odcinają je od dzieci, albo odcinają dzieci od pieniędzy.

Kolejny post na koncie księżniczki to zdjęcie jej i jej dwóch przepięknych córek. Pod zdjęciem matka zwraca się do nich we wzruszających słowach, które wkrótce miały się okazać pożegnaniem.

Moje najdroższe,

nigdy nie zapominajcie, jak bardzo Was kocham. Życie jest pełne chwil dobrych i złych. W trudnych momentach, kiedy poczujecie się przytłoczone, nie zapominajcie, kim jesteście. Wyprostujcie swoją koronę i okażcie odwagę. Wyciągajcie naukę ze wszystkiego, z czego możecie. Bądźcie niesamowitymi, inspirującymi, potężnymi i pełnymi współczucia kobietami. Wiem, że potraficie.

Kocham Was, mamusia

Niespełna dwa tygodnie później jedna z córek powiadomiła hiszpańską policję, że nie może skontaktować się z matką. Funkcjonariusze udali się na teren kompleksu apartamentów Puerto Banús w Marbelli, gdzie mieszkała Kasia Al Thani. Po wejściu do jej wartego blisko dwa i pół miliona euro penthouse'u znaleźli ją martwą. Ciało leżało w łazience, twarzą do podłogi. W sypialni znaleziono potłuczone szkło, plamy krwi, a na łóżku ślady wymiocin. W apartamencie było też sporo butelek po wódce.

Sprawa wydawała się dość oczywista i policja skłaniała się ku wersji wydarzeń, która zakładała celowe lub przypadkowe przedawkowanie alkoholu, być może również narkotyków. Ale sekcja zwłok nie stwierdziła jednoznacznie przyczyny śmierci księżniczki. Dodatkowo nie udało się znaleźć nagrań z kamer monitoringu z czasu, kiedy prawdopodobnie nastąpił zgon Kasi Al Thani, mimo że w kompleksie zainstalowano ich całkiem sporo. Do sprawy niczego nie wniosły też próby przesłuchania sąsiadów, bo okoliczne apartamenty były w tym czasie puste. Nikt niczego nie słyszał. Nie znaleziono też żadnych śladów wskazujących na włamanie czy jakkolwiek przemoc.

Oczywiście jedną z osób, które automatycznie nasuwają się jako podejrzanego, jest były mąż Kasi Al Thani, książę Abdulaziz, ale mimo ich wieloletniej toksycznej walki sądowej nie miał silnego motywu. Przeciwnie wygrał sprawę o opiekę nad dziećmi, a w tej karnej, związanej z molestowaniem, to córka, a nie żona była dla niego największym zagrożeniem.

Nie istnieje wiele przesłanek, by podejrzewać Abdulaziza o zlecenie zabójstwa, raczej na pewno nie ma na to żadnych dowodów, ale z pewnością można stwierdzić, że to, w jaki sposób traktował swoją byłą żonę i jak postępował wobec swoich dzieci, przyczyniło się do jej śmierci. Niedługo przed odejściem z tego świata Kasia spędziła kilka miesięcy w szpitalu, próbując ratować swoje zdrowie psychiczne. Nie ma wątpliwości, że jej problemy były związane z walką o córkę i oczernianiem ze strony byłego męża, który chciał w ten sposób zapewnić sobie wygraną w procesie.

Adwokaci zatrudnieni przez księcia w trakcie wieloletniej batalii argumentowali, że jego ekszona stanowi zagrożenie dla dzieci – jako rzekoma alkoholiczka i narkomanka nie mogła się nimi zajmować. Z takimi zarzutami dysponującej nieporównywalnie mniejszym majątkiem kobiecie trudno było walczyć, a w dodatku zostawiały one bolesne piętno na jej psychice, co niewątpliwie miało wpływ na jej odejście w tak młodym wieku.

Kasia Al Thani nie była jedyną, która przeżyła podobny koszmar. Francuzka Candice Cohen-Ahnine zaangażowała się w zacieklą walkę o opiekę nad dzieckiem z saudyjskim księciem Sattamem Al Saudem, którego poznała w londyńskim klubie Browns w 1998 roku. Ich małżeństwo przetrwało sześć lat, a jego owocem była córeczka Aya.

Powodem sporów między małżonkami miała być wiara. Kobieta była żydówką. Decydując się na ślub z saudyjskim księciem, przeszła na islam, ale najbliżsi jej męża nie wierzyli w tę zmianę i ingerując w ich małżeństwo, przekonywali, że Candice nie jest prawdziwą muzułmanką. Kroplą, która przelała czarę goryczy, była jednak decyzja jej męża, który w 2006 roku postanowił poślubić swoją kuzynkę. Tłumaczył, że musi to zrobić ze względu na relacje rodzinne, ale Candice nie chciała się zgodzić na bycie drugą żoną. Jej sprzeciw wywołał ogromny gniew męża i całej rodziny. Została uwięziona w pałacu, ale udało jej się uciec i dotrzeć do ambasady francuskiej w Arabii Saudyjskiej, która pomogła jej wydostać się z kraju.

Kobieta musiała zostawić w nim swoją córeczkę, ale przed francuskim sądem wytoczyła byłemu mężowi sprawę o opiekę nad dzieckiem. Po trwającym kilka lat procesie, na początku 2012 roku, sąd przyznał jej prawo do wyłącznej opieki nad dzieckiem. Ponieważ jednak książę opierał się przed zastosowaniem się do wyroku, kobieta miała podjąć próbę wyjazdu do Arabii Saudyjskiej z zamiarem

odebrania dziecka.

Niedługo po ogłoszeniu wyroku książę Sattam udzielił wywiadu magazynowi „Nouvel Observateur”, w którym powiedział, że „w razie potrzeby wyjedzie jak bin Laden i ukryje się z Ayą w górach”.

– Francja nie ma prawa domagać się jej powrotu. Jest obywatelką saudyjską i księżniczką. Nie mogą zmusić księżniczki do opuszczenia jej kraju – dodał.

Walka Candice o córkę była bardzo zacięta. Jej determinacja spotkała się z wieloma groźbami ze strony saudyjskiego dworu, które ujawniono dopiero po śmierci kobiety.

Niedługo po ogłoszeniu wyroku Candice Cohen-Ahline wypadła z okna luksusowego bloku mieszkalnego na Polach Elizejskich. W wyniku odniesionych obrażeń zmarła w szpitalu Pitié-Salpêtrière w Paryżu. Podczas dochodzenia policja wykluczyła samobójstwo. Nie ma wątpliwości, że Candice została wypchnięta z okna, podobnie jak oczywisty wydaje się motyw i zleceniodawca.

– Żałujesz, że poznałaś Badra? – pytam, bo słysząc historię Emily i znając losy Kasi Al Thani, trudno mi się oprzeć wrażeniu, że takie związki są bardzo niebezpieczne. Nawet jeśli wiem, że podobne rzeczy zdarzają się na całym świecie pomiędzy ludźmi tej samej narodowości czy wyznania.

– Nie. Był miłością mojego życia – odpowiada Emily bez zastanowienia.

– I ani trochę nie chodziło o pragnienie, by zostać arabską księżniczką?

– Nigdy nie miałam takich ambicji. Przez długi czas nie miałam przecież pojęcia, kim jest Badr. Zdążyłam się w nim zakochać, zanim się dowiedziałam, że jest bogaty. Bardzo zręcznie udawał przede mną zwyczajnego chłopaka. Bardzo tęskniłam za tamtym Badrem i chyba dlatego tak długo starałam się wszystko naprawić. Łudziłam się, że to, co złe, odejdzie w zapomnienie i nasz los jeszcze się odwróci. Ja po prostu znałam go jako innego człowieka i ciągle czekałam na jego powrót.

– A nie sądzisz, że to była tylko poza, żeby cię zdobyć?

– Myślę, że dużo więcej dziewczyn w o wiele prostszy sposób można złapać, świecąc przed nimi złotym rolexem. Nie musiał tego robić, a jednak chciał. Jestem przekonana, że jego osobowość jest bipolarna. Badr łączy w sobie tego skromnego, uroczego chłopaka i bezwzględnego, złośliwego cynika. – Emily pokazuje mi zdjęcia, które mają tego dowodzić. – Sam zobacz, jak bardzo się różni na tych dwóch fotkach.

Faktycznie – na jednej z nich widać przesympatycznego, trochę pokracznie skulonego chłopaka w dżinsowej koszuli. W okularach z ciemnymi oprawkami sprawia wrażenie nieśmiałego, nawet nieco wycofanego. Dla porównania na drugim zdjęciu Badr występuje w *thobie*. Wyprostowany, pewny siebie, z zaciętym wyrazem twarzy. Wiem, że to ta sama osoba, ale nigdy bym tego nie powiedział, gdybym zobaczył te zdjęcia bez kontekstu.

– Ja zakochałam się w tym chłopaku w okularach. I wiem, że on też mnie wtedy bardzo kochał. Szaleliśmy za sobą.

– Brzmisz tak, jakbyś nadal nie wyzbyła się uczuć do niego...

– Minęło tyle lat, że już ich nie ma. Przeszłam terapię i dziś wiem, że żyłam złudzeniami. Dobrze wiem też, co musiała czuć Kasia Al Thani, gdy najpierw odizolowano ją od córek, a potem dowiedziała się, że straciła władzę rodzicielską. Mimo że jej córki były prawie dorosłe, ona nadal o nie walczyła. Tak były dla niej ważne.

– Ty też walczyłaś...

– Tak, ale moja walka wyglądała zupełnie inaczej. To była dużo bardziej skomplikowana sprawa, bo moje dzieci nie mieszkały w Europie. Nie było mowy o tym, że mój były mąż stanie do równej walki o prawa do opieki. On po prostu mi je odebrał. Ale najgorsze jest to, że nie miałam pojęcia, jakie są losy jednego z moich dzieci... Zupełnie jakby zapadło się pod ziemię.

– Zaginiony arabski książę?

– Tak.

ROZDZIAŁ 15

Syn

Badr nie pozwolił mi na odwiedzin u rodziców ani po upływie pierwszego, ani drugiego trymestru ciąży. Za każdym razem tłumaczył to troską o moje zdrowie, a ja dawałam się przekonać. Choć tęsknota bardzo mi doskwierała, a chłód w naszym małżeństwie był odczuwalny nawet w najbardziej upalne dni lata, starałam się żyć myślą, że czas szybko minie i wkrótce będę mogła wreszcie zacząć podróżować. Obiecałam sobie, że jeśli nawet pomyślę o kolejnej ciąży, minie sporo czasu.

Byłam dzielna do początku siódmego miesiąca, ale w pewnym momencie doszłam do ściany. Nie wiem, czy to kwestia nagromadzonych emocji czy burzy hormonów, ale pewnego ranka wstałam i pomyślałam, że jadę do Paryża. Wiedziałam, że nie będzie to proste. Nie zdarzyło się nic, co miałoby ułatwić mi tę podróż, ale wstąpiła we mnie jakaś dziwna, całkiem niezrozumiała odwaga.

Znalazłam swój francuski paszport, którego nigdy nie anulowałam, choć Arabia Saudyjska nie pozwala na posiadanie podwójnego obywatelstwa, i spakowałam się. Sprawdziłam lot. Bezpośredni samolot do Paryża miałam za cztery godziny. Wydałam polecenie kierowcy, by przygotował samochód, i jak gdyby nigdy nic pojechałam na lotnisko w Rijadzie. Byłam w naprawdę dziwnym nastroju. Jakby coś we mnie pękło. Coś, co nie pozwoliło mi już więcej słuchać poleceń i podporządkowywać się woli mojego męża. Nadal chciałam z nim być, wciąż go kochałam i wciąż miałam nadzieję, że jeszcze będziemy zgodnym i kochającym się małżeństwem. Wspomnienia czasu, kiedy było nam cudownie, wciąż były we mnie bardzo żywe, choć coraz częściej spowijała je mgła strachu, niepewności i smutku.

Byłam gotowa przyjąć wiele surowych zasad, jakie wiązały się z mieszkaniem w Arabii Saudyjskiej, i znosiłam je bez słowa, mimo że często wymagały ode mnie cierpliwości i zginania karku. Nie widziałam jednak powodu, by wyrzekać się swoich rodziców i zrezygnować z odwiedzania ich.

Od kiedy przeprowadziłam się do Królestwa, wszystko w moim życiu toczyło się wokół rodziny Badra. Nie tylko dlatego, że jest ona najpotężniejszą w tym kraju, ale ponieważ w tradycji arabskiej zakodowany jest piękny zwyczaj utrzymywania bliskich więzów rodzinnych. Zawsze to szanowałam, jednak ja też miałam rodziców, też ich kochałam i też byli dla mnie bardzo ważni. Nie widziałam powodu, by mieli nie poznać swojego wnuka czy nie przytulić córki przynajmniej raz w roku.

Z saudyjskim paszportem nie miałabym najmniejszych szans na wyjazd z kraju. Pokazując przy odprawie paszport francuski, mogło mi się udać. Najpierw jednak musiałam kupić bilet. A pierwsze pytania o to, co robię na lotnisku sama, padły, jeszcze zanim zdążyłam dotrzeć do stanowiska linii lotniczych. Pokazałam paszport. Jeden ze strażników, którzy mnie zatrzymali, przyglądał mu się, ale wyraźnie nie starczyło mu samozaparcia, by przewertować dokładnie strony, bo po chwili oddał mi go od niechcenia.

– Francuzka? – spytał, choć było to oczywiste.

– Tak.

– Gdzie twój mąż?

– Przeszedł już odprawę – odpowiedziałam z pewnością siebie, która mnie samą zadziwiła.

Odpuścili. Udało mi się też bez większych przeszkód kupić bilet i przejść odprawę bagażową. Schody zaczęły się dopiero przy odprawie paszportowej.

– Co robiła pani w Arabii Saudyjskiej? – spytał mężczyzna siedzący za kontuarem stanowiska celnego. Przeglądał pieczołowicie mój paszport, coraz bardziej zaintrygowany.

Nie wiedziałam, co powinnam odpowiedzieć. Nie byłam tu służbowo, bo w tamtym czasie kobiety raczej w takich sprawach nie latały, a już na pewno nie z dzieckiem w wózku. Nie byłam też na wakacjach, bo turystyka w Królestwie wówczas praktycznie nie istniała.

– Byłam w odwiedzinach...

– U kogo?

– U przyjaciół.

– Jak nazywają się przyjaciele?

– Karen i Mark. Są z Wielkiej Brytanii. Mieszkają w Dorrat Al Jadawel – powiedziałam, wykorzystując imiona moich przyjaciół i nazwę osiedla, które dzięki nim odwiedziłam. W moich uszach wszystko to brzmiało całkiem sensownie, ale w tym momencie mój spontaniczny plan zaczął się kruszyć.

– A kiedy pani tu przyjechała? – spytał mężczyzna z uśmiechem, teraz już patrząc mi prosto w oczy i wymachując moim paszportem.

– Już dawno, nie pamiętam...

– Może sobie pani przypomni, bo w pani paszporcie nie ma śladu wizy wjazdowej. Może dałaby się pani namówić na powiedzenie prawdy? Ucieka pani przed mężem?

Ugięły się pode mną nogi. Ewidentnie ten człowiek miał już do czynienia z podobnymi przypadkami. W jednej chwili zdałam sobie sprawę, jak wiele luk miał mój scenariusz. Nie chodziło tylko o brak wizy wjazdowej, ale też brak paszportu Hadida. Co ja sobie wyobrażałam? Mój synek był przecież wpisany do paszportu Badra! Samodzielnie nie miałam prawa go wywieźć.

Postanowiłam natychmiast się wycofać.

– Dziękuję... Przepraszam... – wydukałam przerażona.

Strażnik nadal z satysfakcją wymachiwał moim dokumentem, szeroko się uśmiechając. Był wyraźnie zadowolony z tego, że udaremnił ucieczkę kolejnej saudyjskiej żonie. Pomijam fakt, że ja wcale nie uciekałam, ale z jego perspektywy pewnie efekt był ten sam.

– Czy mogę prosić o mój paszport? – zapytałam cicho.

– A nie ma pani przypadkiem drugiego?

Skąd wiedział?

Nie było sensu w to brnąć. Czulałam, że wszystko już się wydało. Wyciągnęłam z torebki swój saudyjski paszport, który już na pierwszy rzut oka wskazywał na to, że należę do rodziny królewskiej. To jednak bynajmniej nie usztywniło strażnika. Najwyraźniej zauważył dla siebie szansę na karierę, bo natychmiast złapał za telefon. Rozmawiał przez chwilę po arabsku, na tyle cicho, że nawet gdybym była w stanie zrozumieć, co mówi, nie miałam szans tego usłyszeć. Gdy skończył, wyszedł zza szyby, zamknął drzwi swojej kabinki i podszedł do mnie.

– Proszę za mną – powiedział całkiem uprzejmie.

Przez chwilę się wahałam, ale szybko dotarło do mnie, że nie bardzo mam wyjście. Musiałam współpracować, w przeciwnym razie znalazłabym się w jeszcze gorszym położeniu. Pozornie sytuacja nie wyglądała groźnie, mężczyzna uśmiechał się do mnie, co chwilę się odwracając, by sprawdzić, czy za nim idę, a ja pchałam wózek z Hadidem, który szczęśliwie spokojnie przespał całą tę sytuację.

– Chwila – zawołałam, gdy dotarliśmy do wyjścia z hali lotniska. – Co z moim bagażem?

– Zajmiemy się tym. Proszę za mną – usłyszałam.

Na zewnątrz zostałam poprowadzona do jednego z samochodów, którymi jeździ w Arabii Saudyjskiej straż graniczna. Wzięłam wciąż śpiącego Hadida na ręce i usiadłam z tyłu, strażnik tymczasem schował wózek do bagażnika, po czym usiadł za kierownicą.

Na tym etapie domyślałam się już, co nastąpi. Mój książęcy status zapewnił mi łagodne traktowanie, choć jestem przekonana, że miałam szczęście, trafiając na powściągliwego strażnika. Wiedziałam, że najprawdopodobniej planuje odwiedzić mnie do willi, w której mieszkałam z Badrem. I w tej kwestii się nie pomyliłam. Byłam dość zaskoczona tym, że nie musiałam podawać mu adresu. Od razu wiedział, czyją jestem żoną, a przecież nie poznał tego po nazwisku. Żon o nazwisku Al Saud są w Królestwie tysiące. Metody straży granicznej pozostały jednak dla mnie zagadką. Dość powiedzieć, że niespełna trzy godziny po tym, jak podjęłam decyzję o wyjeździe do Paryża, byłam z powrotem w domu. Niestety nie tym, w którym pragnęłam być.

Pytanie, czy Badr dowie się o całym zajściu, pozostawało otwarte. Mój mąż wciąż podróżował, więc oczywiście nie było go, gdy wyjeżdżałam. Sati na pewno widziała, jak opuszczam willę, ale skoro wróciłam niedługo później, nie bardzo miała na co skarżyć. Wprawdzie zostałam odwieziona wyraźnie oznakowanym samochodem straży granicznej, ale to przecież też niczego jeszcze nie dowodziło. Na wszelki wypadek musiałam wymyślić jakiś wybieg. Ale zanim uknułam odpowiednio wiarygodną opowieść, Badr zadzwonił do mnie i zagrzmiał:

– Chciałaś uciec?!

- Nie, oczywiście, że nie! – zapewniłam natychmiast.
- Mogłabyś przynajmniej nie kłamać. Z szacunku do mnie – warczał wściekły.
- Nie miałam pojęcia, co robić. Nie było słów, którymi mogłabym go udobruchać.
- Chciałam tylko polecieć do rodziców w odwiedzinach – wyznałam cicho.
- Po tym, jak wyraźnie ci tego zakazałem?! – wrzasnął. – Wystarczy! Nie mam już ochoty z tobą rozmawiać!

Zaraz potem się rozłączył.

Na efekty wściekłości Badra nie musiałam czekać do jego powrotu. Jeszcze tego samego dnia drzwi do mojego apartamentu zamknięto. Nie wiedziałam, kto to zrobił, ale mogłam zgadywać, że klucze z olbrzymią rozkoszą przetrzymuje Sati.

Szczerze mówiąc, przez pierwsze godziny nie miałam nawet świadomości, że zostałam uwięziona. Po prostu i tak nie miałam zamiaru nigdzie wychodzić. Chciałam być sama, a miałam to szczęście, że poza dostępem do jedzenia w moim apartamencie było wszystko, czego potrzebowałam. Zmęczona emocjami, przysnęłam na chwilę, ale zły sen szybko mnie wybudził. Dopiero gdy chciałam zająć się Hadidem, zorientowałam się, że mojego synka nie ma ze mną, a ja jestem zamknięta w swoim pokoju.

Natychmiast wybrałam numer Badra. Mąż jakby czekał na mój telefon. Tym razem to ja grzmiałam:

– Co ty sobie wyobrażasz? Jak możesz mnie zamykać?! Chcę natychmiast zobaczyć się z Hadidem! – Byłam bliska hysterii.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – powiedział spokojnie. – Mam prawo przypuszczać, że jesteś zagrożeniem dla naszego syna, więc dopóki nie ma mnie na miejscu, nie będziesz mogła się z nim zobaczyć.

– Ja? Zagrożeniem?! – wrzasnęłam, choć szybko zdałam sobie sprawę, że mój ton mógł wskazywać na to, iż odizolowanie mnie od dziecka nie jest pozbawione sensu.

– Uspokój się i zadbaj o nasze drugie dziecko – odparł mój mąż z irytującym spokojem. – Stres może mu zaszkodzić.

– To mnie w go nie wpędzaj!

– Nie ja zacząłem. Siedź w spokoju i czekaj – rzucił stanowczo i znowu się rozłączył. Kończenie rozmów w ten sposób stało się już w naszym związku standardem.

Czułam się fatalnie. Kumulowany od miesięcy stres odbijał się na moim dziecku. Odczuwałam silne bóle, było mi niedobrze. Zaczęłam się poważnie obawiać o to, co się ze mną stanie, dlatego za wszelką cenę próbowałam się uspokoić.

Kolejne godziny zmieniały się w dni, a ja zaczęłam funkcjonować w swego rodzaju transie, w którym jawa przeplatała się z chwilami snu. Nie byłam w stanie strząsnąć go z powiek, gdy znowu mnie dopadał. Nie jadłam, choć jedzenie dostarczano mi regularnie, zawsze tak, bym tego nie zauważyła. Piłam tylko herbatę, która zdawała się podtrzymywać moje funkcje życiowe. Wiedziałam, że powinnam się odpowiednio odżywiać ze względu na ciążę, ale nie potrafiłam się zmusić do jedzenia. Miałam jedynie nadzieję, że maleństwo czerpie to, czego potrzebuje, z mojego ciała, że to mu wystarczy. Przynajmniej na razie, a potem... Czy w ogóle będzie jakieś potem?

Spędziłam w takim stanie prawie dziesięć dni. Bliska depresji i zrezygnowana. Dziesiątego dnia w apartamencie pojawił się Badr i moja sytuacja z fatalnej stała się beznadziejna. Jego też nie zauważyłam, jak wchodził. Nie wiem, ile czasu siedział w salonie, zanim do niego weszłam.

– Jesteś! – zawołałam, w ostatniej chwili powstrzymując się przed rzucając mu się na szyję.

Mimo tego, co działo się w naszym małżeństwie, moje serce nadal przepełniały uczucia, które pchały mnie w jego kierunku, wciąż miałam nadzieję, że to wszystko jest jak zły sen – wydaje się realne i straszne, ale uleci z naszej pamięci, gdy tylko otworzymy oczy. W ostatnich dniach miałam wiele takich snów. Z tego też chciałam się obudzić.

Badr milczał, patrząc na mnie z nienawiścią, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam w jego oczach. Ta cisza trwała bardzo długo, ale nie odważyłam się jej przerwać. Miałam wrażenie, że właśnie w tym momencie mój mąż waży nasze losy, naszą przyszłość. Zastanawia się, co powinien ze mną zrobić, jak

mnie ukarać. Samo trwanie w tej niepewności było koszmarną torturą. W końcu jednak zdecydował się ją przerwać.

– Dlaczego nam to zrobiłaś? – zapytał głosem pełnym żalu.

Zrozumiałam, że on czuje się moją ofiarą, ale pamiętam dokładnie, że powiedział „nam”. Nie wiedziałam, jak zinterpretować to słowo, ale w jakiś przedziwny sposób wlało ono w moje serce nadzieję. Wiem, to brzmi przedziwnie, ale chyba prawdą jest to, co mówią o tonących chwytających się nawet brzytwy...

To słowo było brzytwą, bo stało się oskarżeniem. To ja miałam być winna kryzysowi w naszym związku, mimo że od początku robiłam wszystko, czego Badr ode mnie oczekiwał. Mało tego: nawet w tamtym momencie byłabym gotowa zrobić wiele, by ten związek ratować. Ale wkrótce miałam się przekonać, że nie ma już czego ratować.

– Nie chciałam cię zranić, kocham cię... Czuję się po prostu bardzo samotna i chciałam się spotkać z rodzicami... – powiedziałam łagodnym, niemal błagalnym tonem.

– Ja wyraźnie ci tego zakazałem.

– Ale nie możesz mi zakazywać kontaktów z rodzicami...

– Nie szanujesz mnie. Moje zdanie powinno się dla ciebie liczyć.

– I się liczy, nawet bardzo, ale to nie było zdanie, tylko kaprys. Ty po prostu mnie porzuciłeś w tej luksusowej klatce i w ogóle nie interesujesz się tym, co czuję.

– Daję ci wszystko.

– Nie to, czego potrzebuję. Tęsknię za tym chłopakiem, w którym się zakochałam. Wtedy najważniejsza była miłość, a teraz...

– Już mnie nie kochasz – dokończył.

– Kocham.

– Żona, która kocha, nie ucieka od swojego męża.

– Ja nie chciałam uciec. Dlaczego tego nie rozumiesz?

– Zraniłaś mnie, upokorzyłaś, zniszczyłaś to, co było między nami.

– Badr! Co ty mówisz?

Wtedy właśnie dotarło do mnie, że nie ma już odwrotu. I naprawdę zaczęłam się bać.

– Jesteś ojcem naszych dzieci. Nie chcesz, by były szczęśliwe, widząc miłość swoich rodziców?

– A jestem ich rodzicem? – To pytanie jeszcze bardziej mnie przestraszyło.

– Oczywiście, że tak! Jak możesz to kwestionować? – wybuchnęłam.

– Widziałem, jak całujesz się z tym Markiem. Może on tylko udaje, że jest gejem, żeby się do ciebie zbliżyć!

– Nie całowałam się z nim. Pocałowałam go na przywitanie... Dobrze wiesz, że to nic nie znaczy...

– W tym kraju znaczy!

Nie mogłam uwierzyć, że myślenie mojego męża tak bardzo się różni w zależności od tego, gdzie aktualnie przebywa. Przecież on spędził długie lata w Europie! Takie rzeczy jak pocałunek na przywitanie nie powinny go szokować, zwłaszcza że Arabowie też się w takich sytuacjach całują, i to znacznie czulej, tyle że nigdy nie witają się tak z osobami przeciwnej płci.

– Ja jestem tą samą dziewczyną, którą znasz z Manchesteru. Dlaczego ty się tak zmieniłeś?

– Właśnie w tym problem, że jesteś taka sama. Myślałem, że będziesz dobrą żoną, ale te twoje przyzwyczajenia...

– Jakie przyzwyczajenia?

To było przerażające. Czy on mnie oskarżał o zdradę? Chwilę potem nie miałam już wątpliwości.

– Kiedy dziecko się urodzi, zrobimy badania genetyczne. Hadida zbadam już teraz. Nawet jeśli on jest moim synem, nie wiem, czy jest tak w przypadku dziecka, które nosisz. Przecież o ciąży powiedziałaś mi dopiero, gdy wyrzuciłem tego twojego Marka z naszego domu na zbity pysk! – Badr po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy zaczął się unosić. – Może to do niego chciałaś uciec. Co? Bo wiedziałaś, że do porodu zostało już niewiele czasu? Wiedziałaś, że wszystko zaraz się wyda!

Nie było sensu z tym dyskutować. Moje zaprzeczanie nic nie dawało. On sam ukuł sobie teorię,

w którą bezkrytycznie uwierzył, a ja nie miałam żadnej mocy, by ją obalić. A potem stało się coś jeszcze dziwniejszego...

Badr, najpierw zupełnie spokojny, później wściekły do białości, teraz płakał jak dziecko. Dostrzegłam coś, czego do tej pory kompletnie nie zauważałam. Mój mąż miał ogromne problemy z emocjami. Nigdy nie stwierdzono tego medycznie, bo duma nie pozwoliłaby mu na żadną terapię, ale on nie był w pełni zrównoważony. I to nie była jego wina. Przez całe życie miotał się pomiędzy dwoma skrajnie różnymi światami. Ewidentnie nie przepracował traumy związanej ze śmiercią swojej matki, która zniknęła z jego życia zupełnie niespodziewanie i w bardzo młodym wieku. Jego i jej. Kolejne lata spędził, pielęgnując niechęć do swojego ojca i nawet nie zdając sobie sprawy, że dokładnie powieli schematy jego działania.

Patrzyłam, jak ociera łzy, i było mi go szczerze żal. Nawet po tych wszystkich słowach, które od niego usłyszałam. Po wszystkim, czym mnie do tej pory zranił. Rozpłkanie się w mojej obecności musiało go wiele kosztować, ale w tym momencie był tym wrażliwym chłopakiem, którego bez reszty pokochałam. Dumny Saudyjczyk wkrótce jednak wziął górę i doszedł do głosu.

– Zapłacisz za to! – warknął na mnie i wyszedł.

Nie widziałam go do czasu porodu i jeszcze dwa tygodnie po nim. Później zresztą też widzieliśmy się tylko raz. Ostatni raz w życiu...

Ostatnie trzy miesiące ciąży spędziłam praktycznie w niewoli. Choć nie cały ten czas w willi. Drzwi mojego apartamentu otwierały się tylko wtedy, kiedy mi coś donoszono, ale ja sama nigdy ich nie przekraczałam.

Pod koniec ósmego miesiąca zaczęłam odczuwać bardzo silne bóle i skurcze. Naprawdę się zaniepokoiłam. Miałam stały kontakt ze służbą, której mogłam zgłosić wszelkie nieprawidłowości – i muszę przyznać, że w tej kwestii nie zawadzili. Wiele z moich próśb było ignorowanych, ich realizacja celowo opóźniana, ale gdy dotyczyły ciąży, natychmiast zjawiał się lekarz.

Bardzo się bałam, że stres, jaki w ostatnich miesiącach był moim udziałem, wpłynie na dziecko. Nie mogłam go stracić. Nie przeżyłabym tego. I nie mówię tu o tym, co mogłoby mi się stać, gdyby Badr chciał się za tę śmierć na mnie zemścić. Ja po prostu sama stałam nad krawędzią, a to dziecko było jedynym, co powstrzymywało mnie przed skokiem.

Tęsknota za Hadidem bolała potwornie i jedynie to maleństwo jakkolwiek mnie pocieszało. Jego nie mogli mi zabrać. Przynajmniej na razie. Kiedy skurcze się nasiliły, wezwałam lekarza. Zbadał mnie i zapewnił, że to normalne w tak zaawansowanej ciąży. Nie byłam jednak co do tego przekonana. Potwornie się bałam.

Około piątej nad ranem następnego dnia obudziłam się z ogromnym niepokojem. Poczułam wilgoć w okolicach ud, a gdy sięgnęłam dłonią między nogi, zorientowałam się, że krwawię. Nie było to silne krwawienie, a krew zdawała się już lekko przyschnięta, tężejąca, ale wciąż na tyle świeża, by brudzić...

Natychmiast sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do lekarza. Pojawił się szybko, choć ewidentnie go obudziłam. Niedługo potem byłam już w drodze do szpitala, gdzie przeszłam serię badań. Ku mojej uldze okazało się, że dziecko żyje. Ale lekarze wykryli coś, co przede mną zataili. O tym, że moje dziecko nie urodzi się z dziesiątką w skali Apgar, dowiedziałam się dopiero z napastliwego telefonu, który odebrałam kilka godzin później.

– I co zrobiłaś! Wiedziałem, że tak będzie! Twoje pijaństwo doprowadziło do tragedii! – wrzeszczał histerycznie Badr.

Słyszałam, że płacze, i początkowo myślałam, że wie mniej ode mnie. Może usłyszał tylko o krwi. O tym, że zabrano mnie do szpitala, ale nie wie, że z dzieckiem wszystko jest w porządku.

Ale nie było. I on o tym wiedział.

– Badr, dziecko żyje, jest okej... – powiedziałam, próbując go uspokoić, choć sama miałam problem z opanowaniem emocji. To ja byłam w ciąży i to ja przez ostatnie miesiące siedziałam w zamknięciu w potwornym stresie. Nie byłam w najlepszej kondycji psychicznej, a jednak musiałam pocieszać swojego rozhisteryzowanego męża.

– Wiem, że żyje, ale nic nie jest okej!

– Jak to nie? O czym ty mówisz?

– Dobrze wiesz. Zatrąłeś je alkoholem. To ty mu to zrobiłeś!

Swoim zwyczajem znowu się rozłączył, zostawiając mnie z goniwą pytań galopującą przez głowę.

Niczego nie wiedziałam. Nie mogłam zatruć dziecka alkoholem, bo nigdy go w Arabii Saudyjskiej nie piłam. Przecież lekarze powiedzieli mi, że ciąża nie jest zagrożona...

Wcisnęłam przycisk i wezwałam opiekę do pokoju. Po chwili pojawiła się azjatycka pielęgniarka, usłużnie pytając, w czym może pomóc.

– Muszę natychmiast zobaczyć się z doktor Burhan – powiedziałam z niepokojem.

– Ona nie...

– A kiedy będzie w pracy?

– Sprawdzę – obiecała i faktycznie kilka minut później wróciła z informacją, że kolejny dyżur moja zaprzyjaźniona lekarka ma dopiero za dwa dni.

A potem podała mi małą kartkę z niechlujnie, jakby w pośpiechu zapisanym numerem telefonu.

– Ty dzwonisz, ma'am – wyszeptła i wsunęła mi kartkę pod plecy. – Ja wyjdę, ty dzwonisz.

Nie rozumiałam tej konspiracji, ale nie chciałam robić problemów. Podczas moich wszystkich przygód z saudyjską służbą zdrowia zaobserwowałam, że Saudyjki nigdy nie zostają pielęgniarkami. Zresztą trudno się dziwić, skoro w tamtym czasie pracowało ich tak niewiele. Lekarzami z reguły byli mężczyźni, a doktor Burhan stanowiła jedyny wyjątek, z jakim miałam do czynienia.

W szpitalach pracowało jednak sporo Azjatek, które pełniły funkcje pielęgniarek, salowych, sprzątaczek i służących – najczęściej jednocześnie. I nigdy nie cieszyły się dobrym traktowaniem. Nie chciałam, by ta dziewczyna miała z mojego powodu kłopoty, w związku z czym nie zadawałam więcej pytań. Odczekałam, aż wyjdzie, i dopiero wtedy wyjęłam spod pleców kartkę i wystukałam zapisany na niej numer na klawiaturze mojego telefonu.

Za pierwszym razem po kilku sygnałach odezwała się poczta głosowa. Rozłączyłam się i zadzwoniłam ponownie. Znowu poczta. Już miałam się odezwać, ale zrezygnowałam w ostatniej chwili. A co, jeśli to nie jest numer doktor Burhan? Spróbowałam jeszcze kilka razy – z podobnym skutkiem. W końcu zrezygnowałam.

Kilka godzin później mój telefon się odezwał, a na ekranie pojawił się numer, który zdążyłam już zapamiętać.

– Dzień dobry, oddzwaniem... – usłyszałam pewny damski głos.

– Doktor Burhan?

– Tak, kto mówi?

Przedstawiłam się, a ona natychmiast spytała, czy wszystko ze mną w porządku.

– Nie wiem – powiedziałam i rozplakałam się.

Emocje wzięły górę, gdy poczułam, że rozmawiam z kimś, kto mnie wysłucha i nie skrzywdzi. Nie miałam wprawdzie co do tego pewności, ale w mojej sytuacji jedna wyciągnięta dłoń była wszystkim, czego potrzebowałam.

– Proszę się uspokoić i powiedzieć, co się wydarzyło – powiedziała łagodnie, a zarazem stanowczo, przypominając mi, że mazanie się do telefonu nie zmieni mojej sytuacji. W żaden sposób jej nie poprawi. Opowiedziałam jej zatem wszystko, co wydarzyło się na przestrzeni ostatnich godzin, nie oszczędzając szczegółów rozmowy z moim mężem.

– Stres jest największym wrogiem ciąży – powiedziała, gdy skończyłam. – Musimy zrobić wszystko, by nie czuła się pani tak jak teraz. Proszę mi dać trochę czasu. Spróbuję się czegoś dowiedzieć i na pewno do pani wrócę.

To wystarczyło, by mnie uspokoić. Doktor Burhan dała mi nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Z ulgą, choć oczywiście wciąż w niepewności, udało mi się zasnąć. To była pierwsza noc, podczas której przespaliśmy więcej niż sześć godzin.

Rano obudził mnie uśmiech doktor Burhan. Byłam niezmiernie szczęśliwa, że ją widzę. Oczywiście zaraz po przywitaniu się zapytałam, co z moim dzieckiem. Czy udało się jej dowiedzieć czegoś na temat stanu jego zdrowia? Czy Badr miał rację, mówiąc, że nie wszystko z nim w porządku?

– Proszę się zrelaksować i patrzeć w przyszłość z uśmiechem. Wszystko będzie dobrze i za trzy tygodnie przywitamy tu kolejnego cudownego malca. *Inshallah* – powiedziała.

Znowu poczułam niewypowiedzianą ulgę.

– Naprawdę? Dziękuję pani doktor, dziękuję pani bardzo!

– Proszę teraz skupić się na sobie. Spokój matki jest bardzo istotny. Wiem, że przeżywa pani stres związany z kłopotami małżeńskimi, ale teraz ważne jest dziecko, a w małżeństwie na pewno wszystko się ułoży. Mam jeszcze jedną prośbę. – Spojrzała na mnie łagodnie. – Proszę w miarę możliwości nie rozmawiać z mężem. Najlepiej nie wchodzić w dyskusje z nikim. Jeśli będzie pani miała jakieś pytania, proszę dzwonić do mnie. O każdej porze. Teraz tylko spokój, spokój, spokój...

Nie wiedziałam, o co chodziło Badrowi, kiedy oskarżał mnie o pijaństwo, mówiąc, że z dzieckiem „nie jest okej”, postanowiłam jednak zaufać w tej kwestii lekarce. Doktor Burhan miała na mnie ogromny wpływ. Miała też ukryty cel w tej dziwnej, choć dla mnie całkiem zrozumiałej prośbie. Wiedziała, jak wiele emocji wywołały we mnie dotychczasowe rozmowy, więc miała uzasadnione obawy, że kolejne nie będą dobre dla dziecka.

Zastosowałam się do jej prośby. Nie zadawałam pytań nikomu poza nią, a z Badrem nie rozmawiałam ani razu. Zresztą i tak pewnie nie odebrałby ode mnie telefonu, a i sam nie miał ochoty dzwonić. Wierzyłam w każde słowo doktor Burhan. I choć dziś wiem, że mnie okłamywała – a w zasadzie nie mówiła całej prawdy – w tamtym momencie nie mogłabym być jej bardziej wdzięczna. Gdybym przed porodem znała prawdę o moim synku, nie wiem, czy byłabym w stanie go urodzić. Poczucie winy, choć zupełnie nieuzasadnione, pewnie zepchnęłoby mnie w otchłań rozpacz.

ROZDZIAŁ 16

Dar Al Reaya

Wiem, że nie mogłam tego uniknąć. Wiem, że to nie moja wina. Wiem, że nic, co zrobiłam ani czego nie zrobiłam, nie miało na to najmniejszego wpływu. A jednak nie potrafiłam wyzbyć się poczucia winy. Czułam się odpowiedzialna za to, że mój małeńki synek urodził się z zespołem Downa.

Nie podali mi go natychmiast po porodzie, jak to było w przypadku Hadida. Przywitałam go dopiero kilka godzin później. W emocjach nie rozpoznałam u niego zespołu. Dla mnie był ślicznym, rozkosznym maleństwem. Jego pojawienie się na świecie wlało we mnie nadzieję, o której wcześniej mówiła doktor Burhan. Może faktycznie, gdy Badr go zobaczy, zapomni o wszystkim, co złe, i będziemy mogli wrócić do czasów, w których byliśmy szczęśliwi?

Dzieci z zespołem Downa w Arabii Saudyjskiej rodzą się stosunkowo rzadko – to około dwudziestu przypadków na dziesięć tysięcy urodzeń – ale dane organizacji zajmujących się prawami człowieka sugerują, że statystyki te mogą być zaniżane. Symptomatyczne jest to, że do raportowanych urodzeń częściej dochodzi w dużych ośrodkach miejskich, a przypadki takie są bardzo rzadkie albo niemal w ogóle nie występują we wsiach i małych, mniej cywilizowanych skupiskach. Mogłoby to sugerować, choć nie ma na to dowodów, że dzieci takie po urodzeniu są porzucane lub nawet zabijane.

Za taką teorią przemawia również fakt, że w Arabii Saudyjskiej wykonuje się dość znikomą liczbę testów prenatalnych, które przez wielu konserwatystów uważane są za zbyt ingerencję w boską wolę i niosą ryzyko chęci dokonania aborcji.

Podobne zjawisko, tłumaczone w taki sam sposób, obserwuje się w Indiach. Trzeba jednak przyznać, że zwłaszcza w ostatnich dwóch dekadach podejście do osób z zespołem Downa bardzo się w Arabii Saudyjskiej zmieniło i wiele świadomych par decyduje się na wychowanie dotkniętych nim dzieci, dając im szansę na długie i szczęśliwe życie.

Według oficjalnych danych średnia długość życia osób z zespołem Downa w Arabii Saudyjskiej nie odbiega od średniej światowej i wynosi około pięćdziesięciu lat. Arabia Saudyjska wzorem wielu postępowych państw prowadzi nawet programy, które mają na celu włączanie obywateli z zespołem Downa do życia społecznego i zapewnienie im możliwie najpełniejszej edukacji.

Nie zmienia to jednak faktu, że dla konserwatywnych środowisk dziecko z jakimkolwiek stopniem upośledzenia czy niepełnosprawności jest powodem do wstydu i nierzadkie są przypadki, gdy rodziny próbują się pozbyć takich potomków.

Wiem, że lekarze wcześniej mieli świadomość, że moje dziecko ma zespół Downa. Przynajmniej od momentu, kiedy trafiłam do szpitala z krwawieniem. Myślę, że doktor Burhan nie powiedziała mi o tym, widząc, w jak złym stanie psychicznym jestem. Postanowiła mi tego oszczędzić. Badr wiedział. To o to mu chodziło, gdy zadzwonił z oskarżeniami o pijaństwo. Szybko dotarło do mnie, że teraz moja sytuacja zmieni się diametralnie. Choć już w tamtym momencie byłam na skraju załamania psychicznego, nagle pojawił się powód, by pogрузić mnie jeszcze bardziej.

Dotarło do mnie, że mój mąż przez całe życie o największe tragedie, które go spotkały, oskarża bliskich. Owszem, w przypadku swojego ojca prawdopodobnie miał podstawy, by sądzić, że jego lekkomyślność pozbawiła matkę szans na ratunek – ale w tamtym czasie wiedziałam już na tyle dużo o zasadach panujących w Królestwie, by rozumieć, iż on sam mógł ją uratować. Miał siedemnaście lat, był saudyjskim księciem, lekarze na pewno by go posłuchali. Ale jego też nie było na miejscu. Przebłycki poczucia winy skutecznie zagłuszył nieustannie podsycaną nienawiścią do ojca.

Porażki w swoich dwóch poprzednich małżeństwach również przedstawił mi jednostronnie – jako winę jego żon, choć na własnej skórze przekonałam się, jak okrutnym potrafi być mężem. A teraz to...

Byłam pewna, że o dodatkowy chromosom u naszego synka będzie obwiniał wyłącznie mnie, nie zważając, że to wada genetyczna i nie ma nic wspólnego z piciem alkoholu, nawet gdybym faktycznie go piła. Wiedziałam też jednak, że nic go w tej sprawie nie przekona.

Mój pierwszy po porodzie sen okazał się proroczy. Pamiętam go tak dobrze. Był niezwykle realny...

Moi synkowie byli już na tyle duzi, że obaj chodzili. Wyglądali niemal identycznie, Hadid był tylko trochę wyższy od swojego brata. Siedzieliśmy na łące. Chłopcy biegali dookoła, a ja chłonełam błogą atmosferę, aż nagle się zorientowałam, że obaj zniknęli. Zupełnie jakby rozplynęli się w powietrzu. Wołałam ich, ale nie odpowiadali. Zaczęłam ich szukać w panice, jednak w ciągu sekundy zrobiło się zupełnie ciemno, tak że nie można było dostrzec nawet kształtów. Krzyczałam, wołałam, płakałam...

A potem się obudziłam, złana potem i cała we łzach. Od tamtej pory tak właśnie się czuję. W moim życiu już zawsze było ciemno, nawet w słoneczne dni.

Psychicznie było ze mną fatalnie, ale fizycznie dochodziłam do formy bardzo szybko. Martwiło mnie to, że nie mam kontaktu z synkiem, jednak lekarze zapewniali mnie, że to dla jego dobra. Miał być badany i dobrze zaopiekowany, więc choć bardzo chciałam go zobaczyć, nie podejrzewałam niczego złego. Zwłaszcza że o tym samym zapewniała mnie doktor Burhan.

W piątym dniu od porodu wszystko nagle się zmieniło. Jeden z lekarzy nieoczekiwanie wypisał mnie ze szpitala. Nie była to doktor Burhan. Z nią nie widziałam się już nigdy więcej.

Siedziałam na łóżku w swoim szpitalnym apartamencie, oczekując, że za chwilę przyniosą mi mojego synka. Przez wąskie wysokie okno wpadał słup słonecznego światła, zalewając część łóżka. Przesunęłam się tak, by znaleźć się w jego zasięgu. Wystawiłam twarz ku słońcu i poczułam jego przyjemne ciepło. Było jak dotyk troskliwej dłoni, która gładziła mnie czule po twarzy. Uczucie dawno przeze mnie zapomniane...

– Proszę zabrać swoje rzeczy, idziemy! – usłyszałam nagle głos, który wyrwał mnie z letargu.

Powoli otworzyłam oczy. W świetle drzwi stał wyprostowany sztywno mężczyzna w beżowym mundurze. Patrzył w dal, jakby chciał udowodnić, że nie zauważa, że moja głowa nie jest osłonięta chustą.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

– Czekam na mojego synka – powiedziałam łagodnie. – Zaraz powinni mi go przynieść.

– Mam rozkaz panią odprowadzić – rzucił na to krótko.

– Ale dokąd? – spytałam z nowym ukłuciem niepokoju.

– Proszę za mną – usłyszałam jednak tylko.

Widziałam, że przedłużanie tej sytuacji mocno nadweręża jego cierpliwość, więc wstałam i przewiesiłam przez rękę przygotowaną wcześniej torebkę. Na głowę zarzuciłam chustę, po czym ruszyłam w ślad za mężczyzną.

Nie zwracał na mnie uwagi. Szedł prosto korytarzem, wytyczając mi drogę.

– Co z moim synkiem? – zawołałam, gdy dotarliśmy do drzwi wyjściowych z oddziału przeznaczonego dla członków rodziny królewskiej.

Mężczyzna tylko zerknął na mnie przez ramię.

– Książę jest bezpieczny – rzucił, jakby się spodziewał, że brak odpowiedzi przysporzy mu kłopotów. Miał rację, na pewno nie przyjęłabym tego ze spokojem.

Teraz zresztą też nie czułam się uspokojona. Nie rozumiałam, dlaczego od tylu dni nie mogę zobaczyć swojego nowo narodzonego dziecka.

Zjechaliśmy windą na parter, a tam po wyjściu z holu zostałam dosłownie zapakowana do samochodu, który wyglądał na wojskowy. W żaden sposób nie przypominał książęcych limuzyn, był nawet zdecydowanie mniej wygodny od tego, którym odwieziono mnie z lotniska po mojej nieudanej próbie wyjazdu. Nie miał klimatyzacji, co w Arabii Saudyjskiej późną wiosną daje się bardzo boleśnie odczuć. Jedyłą wentylację zapewniały uchylone okna, ale powietrze, które wraz z duszącym, ulicznym kurzem wpadało do wnętrza pojazdu, wcale nie przynosiło ukojenia. Zasłoniłam twarz chustą, by nie wdychać pyłu.

Samochód zatrzymał się po blisko półgodzinnej jeździe w okolicy, której nie rozpoznawałam. To akurat nie było dziwne – mimo że mijał trzeci rok mojego mieszkania w Rijadzie, wciąż nie znałam tego miasta. W sumie nawet nie byłam pewna, czy nadal w nim jestem.

Funkcjonariusz kazał mi wysiąść, a gdy to zrobiłam, dostąpiło do mnie dwóch mężczyzn. Jeden

z nich wykręcił mi ręce i założył na nie kajdanki. Nie wiedziałam, co się dzieje. Czyżbym miała trafić do więzienia? Przecież nie zrobiłam nic złego.

Nie byłam daleka od prawdy. Badr, wściekły z powodu stanu zdrowia naszego nowo narodzonego synka, uznał, że powinnam się znaleźć w ośrodku dla nieposłusznych żon. Takie instytucje w Arabii Saudyjskiej nazywane są Dar Al Reaya.

Mężczyźni pchnęli mnie i kazali iść przed siebie. Po chwili znalazłam się przed siermiężną metalową bramą, która otworzyła się jak na zawołanie. Wkroczyłam na tonący w półmroku korytarz. Dwa metry od wejścia stał obity blachą stół. Kazano mi się przy nim zatrzymać i zaczekać. Mężczyźni wyszli, a na ich miejsce pojawiły się dwie kobiety. Jedna ubrana w ciemny mundur, druga w *abaję*. Obie miały na głowach ciasno zawiązane *hidżaby*. Zaczęły mówić do mnie coś po arabsku, ale nie byłam w stanie ich zrozumieć.

– Rozbieraj się – rozkazała w końcu jedna z nich po angielsku.

Jej ton nie znosił sprzeciwu. Zaczęłam zsuwać z siebie *abaję*, ale to nie wystarczyło. Poganiały mnie, dopóki nie stałam przed nimi zupełnie naga, a potem zaczęły mnie dotykać, podnosząc piersi, rozchylając uda, zupełnie jakbym miała tam ukryć coś niebezpiecznego. Gdy upewniły się, że nie mam przy sobie niczego niedozwolonego, dostałam luźną szatę z wytłoczonym na plecach napisem „Dar Al Reaya”.

Następnie kobieta w mundurze wzięła niezbyt czysty ręcznik, przyłożyła mi go do twarzy i zaczęła agresywnie pocierać. To miało pozbawić mnie makijażu – jakbym w ogóle go miała. Następnie wręczono mi paczkę z dwiema podpaskami, szczoteczką do zębów, małym ręcznikiem, szamponem i jedną zmianą ubrania. Kiedy te formalności zostały dopełnione, kobiety wezwały posiłki. Okazało się, że wprowadzania do Dar Al Reaya dokonuje personel płci żeńskiej, ale poza tym wszyscy strażnicy i opiekunowie na oddziałach to mężczyźni.

Zostałam zaprowadzona do izolatki. Było w niej łóżko, Koran i toaleta. Podobno nie każdy ma takie szczęście. Wiele cel nie ma dostępu do toalety, a odmawianie prawa do wyjścia z celi i załatwienia swoich potrzeb fizjologicznych jest jedną z ulubionych rozrywek strażników. Niektóre kobiety wręcz błagają o to prawo, inne poddają się, załatwiając swoje potrzeby w upokarzający sposób w miejscu, w którym śpią.

W swoim pokazowym wyścigu o udowodnienie światu, że prawa kobiet w Arabii Saudyjskiej nie są łamane, księżę Mohammed bin Salman zdaje się zapominać o prężnie działających instytucjach, które eufemistycznie nazywane są domami opieki – Dar Al Reaya. Ich działalność nie jest dobrze udokumentowana, a poza ich mury wydostają się tylko relacje pensjonariuszek. O ile one same mają na tyle szczęścia, by z nich wyjść. Nie jest ich wiele. Kobiety, które opuściły Dar Al Reaya, z reguły nie chcą mówić o tym doświadczeniu. Albo nie są w stanie. Te nieliczne, które o nim opowiedziały, często wspominają o torturach, a jeszcze częściej o samobójstwach, które w tych miejscach są na porządku dziennym.

Do Dar Al Reaya trafiają z reguły młode dziewczyny, które w jakiś sposób sprzeniewierzyły się woli swoich opiekunów. Nie ma to być jednak dla nich kara, tylko szansa na sprowadzenie ich na właściwą drogę. Taka bardziej humanitarna alternatywa dla zabójstw honorowych, choć ich „przewinienia” są często znacznie łagodniejsze i trudno mówić w ich przypadku o łamaniu honoru rodziny. Bardzo często wystarczy sprzeciw wobec aranżowanego małżeństwa lub próba ucieczki z domu.

Dar Al Reaya to miejsca znane wszystkim Saudyjkom, nawet tym, które miały szczęście ich uniknąć. Mimo że są wymysłem patriarchy, wiele kobiet w Królestwie uznaje ich istnienie za słuszne, bo w teorii mają służyć prostowaniu niewłaściwych postaw u nieposłusznych przedstawicielek ich płci. W tych swoistych więzieniach, do których nie kieruje sąd, ale rodzina, najczęściej zaś *wali*, przetrzymywane są kobiety, które naraziły się systemowi wymagającemu od nich podległości i bezwzględnego posłuszeństwa.

Dar Al Reaya pełne są postępowych, odważnych kobiet, często aktywistek, które nie mają ochoty podporządkowywać się patriarchy, ale jest wśród nich także dużo zagubionych dziewczyn, które naraziły się swoim władcom mimo woli, zupełnie nieświadomie. Ośrodki Dar Al Reaya są rozsiane po całym kraju, znajdują się we wszystkich dużych miastach. Niektóre z nich przetrzymują również dzieci,

stanowiąc rodzaj poprawczaka, choć nie ma w nich mowy o resocjalizacji czy jakimkolwiek wychowywaniu. No, chyba że uznać za takie wymierzone co czwartek baty. Każda z osadzonych na wstępie swojego pobytu dowiaduje się o liczbie planowanych dla niej batów – i każda otrzymuje ich minimum czterdzieści.

Jeżeli *wali* ofiary nie wystąpi o wypuszczenie jej na wolność, Dar Al Reaya ma możliwość wydania jej za mąż lub przetrzymania w niewoli bez ograniczeń. Arabia Saudyjska nigdy nie nazywa tych miejsc więzieniami. W państwowej retoryce są to centra korekcyjne, w których kobiety mają szansę zejść ze złej drogi kuszącej je grzeszną niezależnością i skłaniającej do nieposłuszeństwa.

Przez długi czas nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. To trudne do wyjaśnienia, ale naprawdę miałam wrażenie, że to wszystko mi się śni. Bolesnie odczuwałam wszystkie skutki uwięzienia, ale dużo czasu zajęło mi zrozumienie, że jest ono faktem.

Osadzenie w Dar Al Reaya paradoksalnie oderwało moje myśli od tragedii, jaką było odizolowanie od dzieci, ale z każdym dniem coraz bardziej krzepłam, coraz realniej odczuwałam rzeczywistość i coraz lepiej rozumiałam, co się dzieje. Wiedziałam, że stąd nie ma już odwrotu. Moje marzenia o szczęśliwym życiu u boku Badra umarły bezpowrotnie.

Codziennie pobierano mi krew. Nigdy jednak nie poznałam ani celu, ani wyniku tych badań. To było łącznikiem pomiędzy moim niedawnym pobytom w szpitalu a moją nową, obskurną siedzibą.

Nie miałam pojęcia, jaki jest dzień tygodnia. I czy w ogóle jest dzień. W budynkach bez okien często trudno się w tym zorientować. Choć wezwania na modlitwę zdawały się wyznaczać rytm, to z czasem i one przestały mieć znaczenie. O tym, że jest czwartek, wiedzieli jednak wszyscy. Czwartek był dniem batów. Każda z nas miała swój przydział. Podobno informują o tym na początku, ale jeśli nawet mi o tym powiedziano, nie zapamiętałam. Moja pierwsza porcja ciosów zamknęła się w dziesięciu. Początkowo niemal tego nie czułam. Kilka dni wcześniej urodziłam dziecko, nawet silne uderzenia kijem nie mogły się równać z bólem porodowym. Zaczęłam już podejrzewać, że ktoś próbuje mnie w ten sposób uratować przed karą i tylko udaje, że mnie bije, ale w tym świecie nie zdarzały się takie szlachetne gesty.

Cierpienie przyszło później. Nie mogłam leżeć na plecach, ale i stanie sprawiało mi problemy. Jediną pozycją, w jakiej czułam ulgę, było leżenie w kucki z twarzą wciśniętą w cuchnącą wilgocią tkaninę pościeloną na moim twardym łóżku.

W izolatce spędziłam około trzech tygodni. Wiem to właśnie dzięki temu, że trzy razy wyprowadzano mnie z niej i wymierzono mi baty. Tak odliczałam czas, który w tamtym miejscu sam w sobie był torturą. Sączył się w bolesnie wolnym tempie. Przez większość dni moim jedynym zajęciem było wsłuchiwanie się w odgłosy tego koszmarnego miejsca. Opowiadały smutną historię kobiet, które dzieliły mój los, choć pomiędzy nami były ściany cel. Niektóre całymi dniami recytowały Koran. Robiły to niemal bez przerw na oddychanie. Odczytywane teksty układały się w smutną pieśń. Nie rozumiałam jej słów, ale wiedziałam, jaką niosą treść. Ich ton mówił więcej niż wypowiedane wersy.

Ale to nie były jedyne odgłosy. Niektóre z kobiet wydawały bardzo dziwne, niemal zwierzęce dźwięki. Miauczały, szczekały, skamlały... Nie miałam wątpliwości, że to objaw choroby psychicznej, będącej skutkiem zamknięcia i torturowania. Niedługo miałam się o tym przekonać jeszcze bardziej namacalnie.

Przeprowadzka do celi, w której mieszkało pięć innych kobiet, zupełnie mnie zaskoczyła. Ich celi bardzo różniła się od tej, w której mieszkałam dotąd sama. Stały tam tylko trzy łóżka, wszystkie pozbawione pościeli. Nie było też toalety.

Wszystkie dziewczyny były młode i pewnie piękne, choć bardzo zniszczone przez zmęczenie, głód i permanentny ból. To właśnie między innymi z tej celi dobiegały koraniczne zawodzenia, bo dwie z osadzonych wciąż zapamiętały recytowały święty tekst. Jedna leżała na łóżku, twarzą do ściany, w kompletnym bezruchu.

Moje przybycie zostało odnotowane tylko przez jedną współlokatorkę. Na oko mogła mieć około dwudziestu pięciu lat, może nawet więcej. Była bardzo ładna, choć czas spędzony w tym miejscu ewidentnie odcisnął na niej piętno. Siedziała na łóżku w pełnej gotowości, jakby na kogoś czekała. Kiedy się pojawiłam, przywitała mnie po angielsku:

– Ty też?

Nie bardzo wiedziałam, jak rozumieć te słowa. Brzmiały tak, jakby mnie znała, ale byłam pewna, że nigdy wcześniej się nie spotkałyśmy.

– Myślałam, że tu wsadzają tylko nas, Saudyjki – dokończyła, widząc moją konsternację. – Jestem Zara, wiesz, jak ten sklep... Kupowałaś tam ciuchy?

Byłam zaskoczona tym pytaniem w takim miejscu. Owszem, znajdowało się tu mnóstwo kobiet, ale moda raczej nie stanowiła głównego problemu żadnej z nich.

– No pewnie – odparłam.

– Ja uwielbiam Zarę. Mogłabym tam kupić wszystko... – rzuciła rozmarzonym tonem. Ewidentnie była zła rozmowy, choć kobiety w Dar Al Reaya mają przykazane milczenie. – Jesteś z Francji?

Trafiła celnie, choć nie miałam okazji wypowiedzieć zbyt wielu słów. Widocznie jednak tyle wystarczyło, by mój angielski zdradził francuskie naleciałości.

– Moi rodzice zabierali tam często mnie i moje rodzeństwo, jak byliśmy mali. W sumie to we Francji po raz pierwszy usłyszałam o tym, że dziewczynki same mogą wybrać sobie mężów i nie potrzebują do tego rodziców.

– To za to cię tu wsadzili? – zapytałam. – Nie chciałaś wyjść za mąż za mężczyznę wybranego ci przez rodziców?

– Poniekąd, chociaż to trochę bardziej skomplikowana historia.

Rodzice Zary na pewno należeli do majątnych Saudyjczyków, choć nie chciała mówić o tym, kim dokładnie byli. W miejscu takim jak Dar Al Reaya opowiadanie o swoim pochodzeniu nie jest zbyt bezpieczną praktyką, bo strażnicy nieustannie nasłuchują, a mając niekontrolowaną wprost władzę, byłiby w stanie wykorzystać zdobytą wiedzę. Kiedy dziewczyna skończyła szesnaście lat, zaczęły się jej kłopoty. Najpierw do uszu jej rodziców dotarły wieści, że ich córka potajemnie spotyka się z chłopakami, a niedługo dodatkowo, że jest lesbijką.

Sama Zara była kompletnie zaskoczona tymi doniesieniami, bo jedynym, co ją w tym czasie interesowało, były książki. Może gdyby się przyjrzeć ich tematyce, można by się doszukać łamania saudyjskich zasad, ale nic, co o niej mówiono, nie było prawdą. Zara nie była szczególnie zainteresowana takimi sprawami jak relacje damsko-męskie czy damsko-damskie. Była marzycielką zaczytaną w przygodach Harry'ego Pottera, o którym książki przemyślała do Królestwa z rodzinnych podróży. Zdecydowanie bardziej marzyła o zdobyciu ostatniej części opowieści o najszlachetniejszym czarodzieju świata niż o wyjściu za mąż.

Źródło plotek o niej nie do końca zostało ustalone, choć Zara miała swoje podejrzania. Jej kłopoty bowiem zbiegły się w czasie z ofertą wydania jej za najmłodszego z synów wywodzącego się z wpływowej w Taif – skąd pochodziła – rodziny. Relacje pomiędzy tym klanem a rodem Zary były dość poważnie nadszarpnięte, bo w przeszłości doszło pomiędzy nimi do kilku konfliktów, ale ich powiązania w dalszym ciągu zdawały się bardzo intratne.

Pierwsza oferta wydania Zary za mąż została przez jej rodziców odrzucona. Niedługo potem pojawiły się pogłoski o tym, że dziewczyna zachowuje się w sposób nieprzystający Saudyjce. Jej rodzice wiedzieli, że te informacje, jeśli się rozniosą, nieodwracalnie zrujną przyszłość Zary i ta nigdy już nie zostanie niczyją żoną.

W społeczeństwach takich jak saudyjskie, gdzie dostęp do skandali obyczajowych jest dość ograniczony – nawet seriale telewizyjne przez wiele lat były pod tym względem cenzurowane – każda tego typu plotka urasta do rangi skandalu, który przenoszony z ust do ust staje się coraz gorętszy.

Skonfrontowana przez rodziców Zara oczywiście zaprzeczała doniesieniom o swoim „skandalicznym” zachowaniu, ale ci nie chcieli dać jej wiary. Dziewczyna znalazła się na cenzurowanym. Gdy znaleziono u niej zakazane w Arabii Saudyjskiej książki, nie było już wątpliwości, że jest winna.

Tymczasem oferta wydania jej za mąż ze strony wpływowej rodziny została ponowiona. Zara nie miała już wątpliwości, że to jej członkowie stali za rozpuszczeniem oczerniających ją plotek. W przeciwnym razie przecież nie ponowiliby propozycji.

Saudyjskie rodziny wręcz chorobliwie dbają o swoją reputację. Żaden szanujący się klan nie nalegałby na ślub syna z dziewczyną o zszarganej opinii. Chyba że sam ją zszargał i był władny w razie czego odwołać nieprawdziwe informacje. Rodzice Zary nie wietrzyli jednak w tej sytuacji podstęp. Uznali, że plotki na temat ich córki są wiarygodne, jej zamążpójście jest jedynym sposobem na rozwiązanie problemu, a oferta może być ostatnią szansą.

O tym, że wychodzi za męża, po prostu Zarę poinformowali. Nie zadawali pytań. Przekonani o jej winie, widzieli w tym akt dobroci ze swojej strony. Ale ich niewdzięczna córka powiedziała „nie”. Zara była jeszcze dziewczynką, nie chciała wchodzić w dorosłość. Pragnęła się uczyć, doświadczać, marzyć... Wiedziała, że jeśli zostanie żoną, za kilka miesięcy jej dzieciństwo brutalnie przerwie konieczność dbania o własne dzieci. Nie była na to gotowa, dlatego kategorycznie odmówiła współpracy.

Ech, gdyby te czarne *abaję*, których funkcją jest sprawiać, że kobiety znikają przed pożądanym wzrokiem mężczyzn, faktycznie miały magiczną moc, marzyła. Gdyby mogła zniknąć, by jak Harry Potter uniknąć kłopotów. Rzeczywistość była jednak daleka od książkowej fantazji, choć Azkaban ze stron książki okazał się istnieć naprawdę.

To matka Zary wpadła na pomysł, by zbuntowaną córkę „wyprostować” w Dar Al Reaya. Teoretycznie można byłoby ją po prostu zmusić do zamążpójścia, ale szanse powodzenia takiego związku wydawały się znikome, a w historii obu rodów było już wystarczająco dużo zdr, by nie narażać się na kolejną.

Dlatego matka Zary namówiła swojego męża, by przyjął ofertę wydania dziewczyny za męża, ale zaznaczył, że ślub może nastąpić nie wcześniej niż za kilka miesięcy. Ten czas miał wystarczyć na sprowadzenie buntowniczkę na właściwą drogę i nauczenie jej posłuszeństwa.

– Jak to możliwe, że twoja mama wpadła na taki pomysł? Przecież to więzienie dla kobiet! – oburzyłam się, słysząc tę historię.

– Zdziwiłabyś się, jak wiele Saudyjek jest zadowolonych z istnienia Dar Al Reaya. Myślę, że gdyby mężczyźni chcieli te miejsca zlikwidować, kobiety same by protestowały.

– Ale to nie ma sensu! Przecież w każdej chwili mogłyby się tu znaleźć!

– Teoretycznie tak, jednak Saudyjki to nie jest monolit. Kobiety w tym kraju bardzo się od siebie różnią. Jedne dążą do wolności, a inne uznają te dążenia za karygodny grzech i stają ramię w ramię z ciemnizycielami.

– Naprawdę nie ma tu kobiecej solidarności? – Trudno mi było w to uwierzyć.

– Nigdzie jej nie ma. Jeśli ktoś kiedyś wytknie ci, że na twojej twarzy pojawiły się zmarszczki, mogą się założyć, że będzie to kobieta! – zaśmiała się Zara.

Jej pogoda ducha była czymś odświeżającym, czego bardzo potrzebowałam. W tamtym momencie okazała się dla mnie prawdziwym błogosławieństwem. Wydawała mi się taka dojrzała, doświadczona... Jakże się zdziwiłam, gdy wbrew moim założeniom okazało się, że ma dopiero niecałe siedemnaście lat!

– Myślę, że rodzice wkrótce mnie stąd zabiorą i zmuszą do małżeństwa – powiedziała, kończąc swoją opowieść.

– I wyjdiesz za męża?

– Wyjdę. Nie będę miała innego wyjścia.

– Czyli to miejsce działa. Naprostowali cię...

– Działa, ale nie ma nic wspólnego z prostowaniem. Raczej z łamaniem.

Dziewczyna się zamyśliła, ale zaraz potem zmieniła temat. Widziałam, że to jej strategia przetrwania – niepoddawanie się myślom, które przygniatały ją do ziemi. Dla niej bycie więźniarką w Dar Al Reaya było tylko przygotowaniem do bycia więźniarką na pozornej wolności.

Na poznanie się miałyśmy z Zarą niespełna tydzień. Zupełnie niespodziewanie i bez uprzedzenia któregoś dnia wyprowadzono mnie z celi. Choć według moich obliczeń nie był to czwartek, nie mogłam być tego pewna. Zaprowadzono mnie do pustego pokoju i kazano mi się przebrać w przyniesione ubranie, a potem zostawiono samą na długie godziny.

Przez tygodnie spędzone w Dar Al Reaya nauczyłam się kontrolować myśli. Gdy tylko pojawiała się w głowie taka, która mogłaby wprowadzić mnie w dodatkowy niepokój, natychmiast ją odrzucałam.

Taki instynkt samozachowawczy. Oczywiście nie jest to proste, bo jak się nie zastanawiać nad tym, co się wydarzy, skoro żyje się w ciągłej niepewności. Wiedziałam jednak, że cokolwiek mnie czeka, będę musiała się z tym zgodzić, bo i tak nie mam na to najmniejszego wpływu. Wolność decydowania o sobie była w moim przypadku już tylko odległym wspomnieniem.

ROZDZIAŁ 17

Talaq

Po kilku godzinach wyprowadzono mnie z budynku Dar Al Reaya i zapakowano do oblepionej pustynnym piaskiem furgonetki. Część, w której siedziałam, nie miała szyb, a jedyny dostęp do światła dziennego dawało małe przesuwne okienko. Można było przez nie zajrzeć do kabiny, a nawet rzucić okiem na widok za przednią szybą samochodu.

Samochód ruszył. Nie widziałam, dokąd jedziemy, ale miałam nadzieję, że do domu. Miałam świadomość, że trafiłam do miejsca, w którym „naprawiano żony”. Skoro mnie z niego wypuszczono, tliła się we mnie nadzieja, że wszystko wróci do normy. Przynajmniej w takim stopniu, że będę mogła widywać swoje dzieci.

Próbowałam nie poddawać się tym wizjom, ale gdy tylko w głowie zaświtała mi myśl o moich synkach, nie byłam w stanie się powstrzymać. Marzyłam już tylko o tym, by ich przytulić. Może ta niewygodna furgonetka to jedynie dalszy ciąg mojej kary? Może Badr po prostu chce mnie ukarać niekomfortową podróżą? Nie przyjmowałam do wiadomości innego scenariusza.

Jakiś czas później samochód zatrzymał się przy długim, mocno sfatygowanym murze okalającym, jak się wkrótce okazało, niewielką posiadłość. W jej centralnym punkcie stał stary dom w formie kostki, mocno przybrudzony i nadgryziony zębem czasu. Zanedbany, wysuszony ogród wskazywał na to, że od dawna nikt tu nie mieszka. Wszystko wyglądało jak wypalone słońcem ściernisko, choć dawne drzewka i krzewy desperacko pragnęły zachować swoje kształty.

Sam dom, opuszczony i zanedbany, był w nie lepszym stanie. Jego jedynymi lokatorami zdawały się jaszczurki, które swobodnie biegały po fasadzie i wiodącym do budynku chodniku, zupełnie nie zwracając uwagi na ludzi, którzy pojawili się w pobliżu. Wkrótce okazało się jednak, że poza nimi w domu zakwaterowane są dwie osoby.

Niska i korpulentna starsza Indonezyjka Ari miała na głowie nieprawdopodobnie kolorową chustę, jakiej nie widziałam wcześniej u żadnej kobiety w tym kraju. Cała zresztą była ubrana barwnie, choć bardzo skromnie. W tej szarej, martwej scenerii stanowiła zupełnie niespodziewany widok. To ona przywitała mnie zaraz po tym, jak przekroczyłam próg domu. Uśmiechnęła się szeroko i nieco sepleniąc, zawołała z radością:

– Witamy, ma'am!

To bardzo miłe skądinąd przywitanie uświadomiło mi, że byłam oczekiwana. Czyżbym miała tu zamieszkać? Powoli zaczynało do mnie docierać, co się dzieje, choć wciąż bałam się to przed sobą przyznać. Stan nieświadomości był zdecydowanie lepszy od prawdy.

Tymczasem w zasięgu mojego wzroku pojawił się drugi z lokatorów starego domu. Z wyglądu stanowił dokładne przeciwieństwo Ari – chudy, wysoki, ciemnoskóry i małomówny. Zahir zajmował się męskimi pracami i zakupami. Do jego obowiązków należały też podobno prace ogrodowe, ale tu ewidentnie nie odnosił sukcesów.

Zahir uklonił się na mój widok i podszedł do jednego z dwóch funkcjonariuszy, którzy mnie przywieźli. Nie słyszałam, o czym rozmawiają, bo Ari porwała mnie, z ekscytacją zapewniając, że zajmie się mną i niczego mi nie zabraknie. Trajkocząc, zaprowadziła mnie do sypialni, którą miałam zajmować. Był to zwykły pokój z łóżkiem stojącym na wyblakłym, nieco przybrudzonym dywanie. Nie miał w sobie nic z apartamentów, którymi mogłam się cieszyć do tej pory, ale nie było to też miejsce, w którym nie można się wyspać. Jak na warunki saudyjskiego dworu wyglądał zgrzebnie, jednak dla mnie po prostu zwyczajnie i skromnie. Jeśli Badr myślał, że w ten sposób mnie ukarze, wyraźnie mnie nie docenił. Niestety nie na tym miała polegać chora zemsta mojego męża. To stanowiło jedynie jej przedsmak.

Kiedy emocje związane z przeprowadzką opadły, ogarnął mnie nieprawdopodobny smutek i tęsknota za moimi dziećmi. Hadida nie widziałam już blisko trzy miesiące, a maluszka, którego urodziłam niedawno, trzymałam w ramionach dosłownie chwilę. Bałam się, że Badr nie pozwoli mi już

ich zobaczyć, ale z drugiej strony miałam nadzieję, że skoro nie wyrzucił mnie z kraju – a przecież miał taką moc – ten koszmar wreszcie się skończy i znowu będziemy razem. Trzymałam się tej nadziei kurczowo, bo czułam, że bez niej spadnę w przepaść i zniknę z tego świata.

Po traumie, jaką był pobyt w Dar Al Reaya, przez chwilę czułam się bezpieczniej i mimo huśtawki nastrojów i mocno rozstrojonej psychiki starałam się znajdować w tym wszystkim pozytywy. W mojej głowie kotłowały się myśli o tych wszystkich kobietach, które po rozwodzie zostały oddzielone od swoich dzieci, ale przecież to nie mogłam być ja. Moim głównym argumentem było to, że gdyby Badr faktycznie chciał się mnie pozbyć, już dawno by się ze mną rozwiódł i wydalil mnie z kraju. Jako saudyjski książę mógł to załatwić w ciągu jednej chwili. Skoro tego nie zrobił, może tliła się dla nas jeszcze jakaś nadzieja.

Gdy dziś o tym myślę, zastanawiam się, jak mogłam wciąż jeszcze wtedy go kochać, ale tak było, ja ciągle żywiłam do niego uczucia, a miłość do moich synków i nadzieja na wspólne, szczęśliwe życie we czwórkę wcale we mnie nie gasły.

Ari ewidentnie odczuwała potrzebę opiekania się kimś, bo próbowała mi nadskakiwać od momentu, kiedy pojawiłam się w tej „posiadłości”. Gotowała fantastycznie i choć mój żołądek zdawał się zwinięty w supeł, jadłam, by nie sprawić jej przykrości. Często potem wymiotowałam, ale przy niej starałam się niczego nie dawać po sobie poznać.

– Musisz jeść, Ma’am – przekonywała za każdym razem. – Tylko tak można wrócić do zdrowia.

Nie pytałam, dlaczego sądzi, że coś mi dolega. Może tak właśnie jej powiedziano. Nie miałam przecież żadnej stwierdzonej choroby, chociaż faktycznie nie byłam w dobrym stanie. Ari wydawała się to wyczuwać, a może po prostu jak każda korpulentna kucharka, która w kuchni potrafi wyczarowywać prawdziwe dzieła sztuki, uważała, że szczupłe kobiety nabierają wartości dopiero z kilogramami.

Któregoś dnia, mniej więcej tydzień po tym, jak trafiłam do tego domu, Ari powiedziała coś, co mnie zatrwożyło.

– Jedz, Ma’am, to jest bardzo dobre. Ma’am Malal jadła tylko to, gdy chorowała. Bardzo lubiła...

– przekonywała, ale mój umysł był w stanie skupić się już tylko na imieniu, które doskonale pamiętałam.

– Malal tu mieszkała? – przerwałam jej.

– Oczywiście – odpowiedziała Ari, jakby to była wiedza powszechna. – Ja tu mieszkam od czasu, gdy ona tu się przeprowadziła. Książę Badr prosił, żeby o nią dbać, więc dbałam. Gotowałam jej, podawałam leki, ale Allah miał wobec tej dziewczyny zupełnie inny plan i żaden człowiek nie był w stanie zatrzymać jej na ziemi.

– Badr ją tu przysłał razem z tobą? – upewniłam się. – Dlaczego?

– Madame Malal była chora, straciła włosy i urodę. Książę chciał dla niej dobrze, więc żeby miała spokój, wysłał ją tutaj. Tutaj jest cisza i można wyzdrowieć...

– Ona nie wyzdrowiała – rzuciłam.

Znałam historię Malal od Badra, przekłamaną, choć w tym akurat punkcie prawdziwą. Malal faktycznie zmarła na raka.

Ari nic na to nie odpowiedziała. Odwróciła głowę zmieszana i zaczęła się krzątać, a po chwili wyszła z jadalni, zostawiając mnie samą z moimi przerażającymi myślami.

A więc Badr wysłał mnie do domu, w którym mieszkała przynajmniej jedna z jego żon, której chciał się pozbyć, gdy zachorowała. Po raz kolejny poczułam obrzydzenie na myśl o jego hipokryzji. Tak bardzo krytykował swojego ojca za to, że wziął sobie drugą żonę, gdy jego matka straciła pierś, a niedługo potem zrobił to samo innej kobiecie! I to wszystko ten sam wspaniały, czuły, skromny i nieco zagubiony chłopak, który skradł moje serce? Tak naprawdę zupełnie go nie znałam.

W tamtym momencie zrozumiałam, że zesłanie do tego domu było czymś więcej niż tylko karą za niezawinioną zbrodnię. Czymś gorszym niż zamknięcie w Dar Al Reaya. To był koniec. Znak, że Badr spisał nas na straty. Nie chciał mnie już za żonę.

Chwilę później Ari potwierdziła moje przypuszczenia. Wystarczyło, że zapytałam ją o Habibę.

– Znałaś ją?

– To taka smutna historia... – powiedziała, spuszczaając głowę. – Ona tak troskliwie opiekowała się swoim synkiem. Z niego to warzywko było, prawie bez życia, ale ona go tak pielęgnowała, jakby

miała nadzieję, że wstanie. Ciągle do niego mówiła, śpiewała mu i modliła się niemal bez ustanku. Staralam się jej pomagać, ale co może człowiek wobec woli Boga.

– Co się z nimi stało...? – Musiałam to wiedzieć.

Ari westchnęła.

– Blisko dziesięć lat będzie, jak Bóg małego z tego świata odwołał.

– Czyli synek Badra nie żyje...

– Nie żyje. A jego mama niedługo potem poszła za nim. Mówią, że sama odebrała sobie życie, ale ja tu z nimi mieszkałam i widziałam, że ona z żalu oddychać przestała.

Opowiadając mi historie swoich poprzednich małżeństw, Badr pominął kluczowe wątki, ale to było w czasie, kiedy wciąż mu jeszcze na mnie zależało. Teraz sama mieszkałam w willi, w której życie zakończyły moje poprzedniczki. Wiedziałam, że żadnej z nich nie zabił osobiście, ale czy miał nadzieję, że i mnie się w ten sposób pozbędzie?

Ta perspektywa mnie przerażała, zwłaszcza że od czasu, kiedy trafiłam do szpitala, nie mogłam się dodzwonić do rodziców. Domyślałam się, że abonament w moim telefonie został celowo zmieniony tak, bym nie mogła nawiązywać połączeń zagranicznych – i to przerażało mnie jeszcze bardziej. Do tej pory nie chciałam martwić rodziców tym, jak fatalnie jestem tu traktowana, ale poczułam, że nadszedł moment, w którym powinni to wiedzieć. Tak na wszelki wypadek, gdyby faktycznie miało mi się stać coś złego. Pewnie wiedząc to, umieraliby ze strachu, ale może powiadomiliby ambasadę, może policję... Nie mogłam się też skontaktować z Hayat. Ona wydawała się moją najbliższą powierniczką w tym kraju, ale od dawna nie było jej w Arabii Saudyjskiej, a ja w tamtym momencie wcale nie miałam pewności, czy nadal mogę liczyć na jej pomoc. Może, jak mój mąż, uwierzyła, że urodziłam dziecko z wadą z powodu złego prowadzenia się.

O ucieczce nie było mowy, poza tym nie mogłabym uciec bez moich dzieci. Byłam w pułapce. Musiałam czekać na moment, kiedy mój mąż zdecyduje się podjąć decyzję w mojej sprawie.

Każdego dnia po kilkadziesiąt razy próbowałam się do niego dodzwonić, ale on skutecznie mnie ignorował. Kto wie, może nawet zablokował mój numer? To była okrutna tortura, ale mój mąż wyraźnie uważał, że na nią zasłużyłam.

Żyłam z dnia na dzień. Robiłam wszystko, by znaleźć w sobie siłę, ale każdego kolejnego poranka wstanie z łóżka było coraz trudniejsze. Popadałam w marazm. Bóle głowy i nudności towarzyszyły mi już niemal bez przerwy.

Ari wciąż próbowała mi dogadzać. Gotowała i donosiła mi smakowicie wyglądające potrawy, ja jednak miałam coraz bardziej ściśnięty żołądek. Z czasem wymiotowałam już wszystkim, co zjadłam. Wydawało mi się, że stres wykańcza mnie psychicznie, ale niedługo się okazało, że to nie on jest głównym powodem mojego stanu.

– Ari, naprawdę nie zdołam zjeść dziś kolacji – powiedziałam któregoś wyjątkowo ciężkiego dnia. Czułam, że jeśli wezmę do ust choćby kęs jedzenia, będę wymiotować przez kolejne kilka godzin.

– Ma'am, proszę, chociaż spróbuj. Tam są wieczorne leki. Trzeba zjeść – powiedziała łagodnie Ari.

– Jakie leki? – zapytałam natychmiast.

– Mister je dał, jak przywiózł księżniczkę ze szpitala. Powiedział, żeby dodawać do jedzenia rano i wieczorem. To po ciąży, żeby pełnia sił wróciła.

Wprawdzie w szpitalu nie dostałam osobiście żadnych wskazówek co do leków, ale nie mogłam wykluczyć, że faktycznie mi je przepisano.

– Możesz mi pokazać te lekarstwa? – spytałam, próbując nie brzmieć podejrzliwie.

– Tak, ma'am – rzuciła służąca i natychmiast zniknęła.

Wróciła po chwili z woreczkiem małych białych pigułek w dłoni.

– Chyba będzie lepiej, jak sama będę je zażywała – powiedziałam.

– Ale ja mogę... – Ari chciała zapewnić, że dalsze leczenie mnie w ten sposób nie sprawia jej żadnego kłopotu, ale jej przerwałam:

– Dam sobie radę. A ty nadal gotuj takie pyszne rzeczy, bo smaczniej to chyba nawet w rajku nie karmią.

Komplement odwrócił uwagę służącej. Uśmiechnęła się szeroko i natychmiast zaczęła wymieniać potrawy, które może mi przyrządzić, jeśli tylko sobie zażyczę. Na odczepnego wybrałam jedną z nich, a ona szybko udała się do kuchni.

Gdy zostałam sama, emocje wzięły górę. Wściekłość i żal ogarnęły mnie bez reszty. Nie miałam wątpliwości, że mój mąż zaplanował egzekucję, a ja miałam być trzecią z jego żon, która dokona żywota w tym domu. Zgodnie z opowieściami Ari Badr nie miał wpływu na śmierć Malal i Habiby oraz jej synka, ale zesłanie ich na swoiste wygnanie mogło się do tego w znacznym stopniu przyczynić.

W moim przypadku był to jednak bardzo konkretny zamach. Oczywiście nie miałam pewności, jakie działanie mają tabletki, które odebrałam służącej, ale nie mogły być bez wpływu na pogarszający się stan mojego zdrowia. Badr chciał mnie zabić, a w najlepszym przypadku mocno osłabić... Tylko po co? Przecież i tak miał nade mną pełnię władzy. Bez niego nie mogłam zrobić nic. Odciał mnie od rodziny, zamknął na odludziu bez możliwości wychodzenia z domu, pozbawił kontaktu z dziećmi. Czemu miało służyć trucie mnie? To było zupełnie nieracjonalne.

Blisko miesiąc później wczesnym porankiem obudził mnie hałas. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam trzy lśniące w słońcu czarne samochody. Nie miałam wątpliwości, że znalazły się tu z rozkazu Badra. Może nawet którymś z nich przyjechał on sam...

Ubrałam się w pośpiechu, ale postanowiłam nie wychodzić z pokoju. Cierpliwie czekałam na rozwój wydarzeń.

Chwilę później do mojej sypialni weszła Ari.

– Ma'am, księżę przyjechał, żeby się z księżniczką zobaczyć. Jak mu powiedziałam, że księżniczka zdrowieje, bardzo się ucieszył. Czeka na dole...

Biedna, naiwna Ari. Ona naprawdę nie miała pojęcia, co się wokół niej dzieje. Wszystko przyjmowała za dobrą monetę, nie brała pod uwagę, że jest sterowana. Była idealnym narzędziem w rękach tych, którzy takimi manipulacjami posługiwali się na co dzień.

Bardzo chciałam stanąć twarzą w twarz z moim mężem, ale jednocześnie byłam tym spotkaniem przerażona. Wiedziałam jednak, że przeciąganie w czasie tej chwili nie ma większego sensu, więc wyszłam z sypialni i rozdygotana zesłam po schodach do *majlisu*.

Na środku stał odwrócony tyłem do mnie Badr. Był ubrany w białą *thobę*, która stanowiła najjaśniejszy element tonącego w przyjemnym cieniu salonu.

Zatrzymałam się w progu. Moje przybycie zauważył sekretarz Badra, który stał twarzą do swojego księcia. Najwyraźniej jakimś niezauważalnym dla mnie gestem dał mu znak, bo Badr się odwrócił i zgromił mnie wzrokiem.

Nie bawił się w kurtuazję. Od razu przeszedł do rzeczy.

– Chciałem cię poinformować o tym, że podjąłem decyzję o naszym *talaq* – oznajmił. Nie miałam pojęcia, co oznacza to słowo, i Badr chyba szybko się w tym zorientował. – O naszym rozwodzie. Nie jesteśmy już małżeństwem. Za kilka godzin odleciś z Rijadu. Kolejna twoja wizyta w Arabii Saudyjskiej nie będzie możliwa, gdyż dwór królewski Arabii Saudyjskiej podjął decyzję o dożywotnim zakazie wstępu do Królestwa dla ciebie i twojej rodziny – wyrzucił z siebie niemal na jednym tchu.

Dwór królewski? Co za bzdura! Sam podjął tę decyzję i sam załatwił jej wykonanie! W dodatku rykoszetem uderzyła ona w moją rodzinę. W kolejnych miesiącach zrozumiałam, że nie było to z jego strony zupełnie pozbawione sensu.

Zakaz wstępu do kraju, który tak usilnie chciałam pokochać, a który odpłacił mi się tylko bolesnymi ciosami, nie miał dla mnie jednak większego znaczenia. Liczyła się tylko jedna kwestia.

– Chcę zobaczyć moje dzieci! – rzuciłam, ignorując fakt, że bez żadnej konsultacji, bez rozmowy, nawet bez kłótni, Badr tak po prostu nas rozwiódł. Tylko dlatego, że prawo w tym kraju dawało mu taką możliwość. Dla mnie na tym etapie nie liczył się już on, liczyły się wyłącznie dzieci, za którymi tęskniłam boleśnie w każdej sekundzie naszej rozłąki.

– Ty nie masz dzieci – rzucił z cynicznym uśmiechem.

Poczułam na plecach zimny dreszcz.

– Jak to nie mam? Oboje mamy dwoje dzieci... Chcę zobaczyć chłopców!

- Przykro mi, ale nie wiem, o czym mówisz.
- Chcę zobaczyć Hadida! I synka, któremu jeszcze nawet nie nadaliśmy imienia...
- Hadid jest moim synem. A dziecko, o którym mówisz... To, które zatrzymałaś alkoholem...
- Co z nim? – zapytałam w rozpaczy. – Co się stało z moim maluszką? Chcę go zobaczyć!

Błagam, nie rób mi tego... – łkałam. – Proszę, pozwól mi spotkać się z moimi dziećmi. Błagam...

Moje słowa nie wywołały jednak żadnej reakcji. Badr najwyraźniej stwierdził, że zada mi dużo większy ból, jeśli nie powie nic więcej. Wyszedł z salonu, mijając mnie obojętnie, i chwilę później wsiadł do jednej z limuzyn. Dwie z nich natychmiast odjechały spod domu, trzecia – jak się okazało – czekała, by odwieźć mnie na lotnisko. Miałam dosłownie kilka minut, by zebrać swoje rzeczy i pożegnać się z Ari. Zahir zabrał moją torbę i wrzucił ją do bagażnika, po czym uklonił mi się tak samo jak wtedy, gdy się ze mną witał, i zniknął za budynkiem.

– Bądź zawsze szczęśliwa, księżniczko – powiedziała Ari, przyciągając moją głowę i całując mnie w czoło.

Nie kwestionowałam jej słów, choć wiedziałam, że nie jestem już księżniczką, a na szczęście mam niewielkie szanse. Wyjazd z domu, w którym spędziłam ostatni miesiąc, był pełen emocji. Od momentu, gdy się obudziłam, wszystko działo się tak szybko. Zupełnie jakby cała operacja miała na celu pospieszne usunięcie nowotworu. Tym nowotworem oczywiście byłam ja. To wszystko jednak wciąż nie miało dla mnie sensu. Nie rozumiałam, dlaczego Badr najpierw przetrzymywał mnie w domu na odludziu i prawdopodobnie podtruwał, a potem nagle zdecydował się mnie pozbyć.

Kiedy siedziałam już na tylnym siedzeniu, a samochód ruszył w ostatni etap mojej saudyjskiej podróży, zaczęłam płakać. Nagle z pełną mocą zdałam sobie sprawę, że ostatnie trzy lata mojego życia były prawdziwym koszmarem przebranym za błogosławieństwo. Przystojny, bogaty, kochający mąż, dwóch cudownych synów, luksus i przepych – wszystko to stanowiło tylko lśniąca fasadę. Z Arabii Saudyjskiej wracałam jako wrak człowieka. Matka, pozbawiona dzieci, żona znienawidzona przez męża, wyrzucona przez niego jak śmieć.

Kiedy na lotnisku podeszłam do wskazanego mi przez kierowcę stanowiska, okazało się, że moje dokumenty już tam są. Mężczyzna, który mnie obsługiwał, zapytał o bagaż. Nie miałam żadnego. Wracałam do domu bez grosza przy duszy, tak jak stałam, jedynie z wątlym bagażem podręcznym. To jednak nie miało znaczenia. Byłabym w stanie oddać wszystko i zgodzić się na biedę do końca życia, bylebym tylko mogła odzyskać swoje dzieci. Serce mi pękało, gdy myślałam o tym, że zostawiam je w kraju, do którego nigdy więcej nie będę mogła wrócić. Chwilę później potwierdziła to pieczętka brutalnie wbita do mojego francuskiego paszportu. Na saudyjski już nie zasługiwałam.

Bezsilność ciążyła mi z każdym krokiem. Tak bardzo chciałam wziąć w ramiona mojego Hadida. Tak bardzo pragnęłam przytulić synka, którego imienia nawet nie znałam. Badr celowo odwlekał rozmowę o tym, jak go nazwać. Już wtedy zaplanował moją przyszłość. Wiedział, że mi go odbierze, więc nie chciał, bym uczestniczyła w wyborze imienia. Już wtedy, w lipcu 2005 roku, zdawałam sobie sprawę, że nie mam wielkich szans, by kiedykolwiek go odnaleźć, ale wiedziałam też, że do końca życia będę go szukać. W Arabii Saudyjskiej mężczyzna nie musi być księciem, by mógł pozbawić swoją żonę prawa do opieki nad dzieckiem, jeśli tylko będzie miał na to ochotę. W przypadku małżeństwa takiego jak nasze byłam na podwójnie przegranej pozycji. W każdej chwili można było zabrać mi saudyjskie obywatelstwo i wydać mnie z kraju, upewniając się, że moje roszczenia wobec byłego męża nigdy nie zostaną usłyszone, a nasze dzieci do momentu osiągnięcia dojrzałości pozostaną pod jego władzą. Nic nie było w stanie tego zmienić. W starciu z tą bezduszną machiną nie miałam szans.

Nie zamierzałam jednak złożyć broni. Zaraz po tym, jak dotarłam do Francji, zaczęłam swoją walkę...

ROZDZIAŁ 18

Walka

Paryż, koniec lipca 2005

Moi rodzice od kilku miesięcy żyli w ogromnym stresie, podobnym do tego, który sama przeżywałam. Pozbawieni kontaktu ze mną, z tygodnia na tydzień utwierdzali się w przekonaniu, że ich jedyna córka jest w niebezpieczeństwie. Zgłosili się nawet w tej sprawie do ambasady saudyjskiej w Paryżu, ale nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Policja przyjęła ich zgłoszenie, ale to też niewiele dało, bo jej jurysdykcja nie wykraczała poza Francję. Poza tym zdaniem mojego taty kompletnie to zlekceważyli, przekonani, że chodzi o jakiś rodzinny konflikt, a nie potencjalne zaginięcie.

Kiedy pojawiłam się w progu rodzinnego domu, moi rodzice stanęli jak wryci, sparaliżowani emocjami. Oboje potrzebowali chwili, by wziąć mnie w ramiona, a gdy w końcu to zrobili, płaczom i okrzykiem radości nie było końca.

– Córeczko, córeczko kochana... – szlochała mama.

– Gdzie byłaś...? Dlaczego nie... My próbowaliśmy... Policja nie chciała... Nie dzwoniłaś... – Tato z nadmiaru wrażeń nie potrafił się wysłowić.

– Telefon nie odpowiadał...

Chcieli mi opowiedzieć o wszystkim, co przeżyli, ale to nie była odpowiednia pora. Kilka dni zajęło nam wszystkim dojście do siebie. Potrzebowaliśmy czasu, by móc o tym wszystkim porozmawiać. Niestety opowiedzenie tego na głos wcale nie poprawiło sytuacji. Było tak potwornie bolesne, że nie umieliśmy się odnaleźć. Najbardziej przeżył to mój tata.

Gdy tylko się dowiedział, do czego doszło w Rijadzie, przytulił mnie mocno. Czułam jego kojące ciepło, słyszałam bicie jego serca, ale nagle uścisk stracił na sile i tato osunął się w moich ramionach. Był zbyt ciężki, bym mogła go utrzymać. Dopiero przy pomocy mamy zdołałam ułożyć go na sofie. Ledwie przytomny, pokazywał na klatkę piersiową, z trudem łapiąc powietrze. Wezwani natychmiast ratownicy medyczni potwierdzili nasze podejrzenia. Zawał.

Przeżalone, wsiadłyśmy z mamą do samochodu i ruszyłyśmy za karetką, ale szybko straciłyśmy ją z oczu. To było kolejne wyzwanie dla naszych emocji. Zupełnie jakby los chciał sprawdzić, ile jeszcze jesteśmy w stanie znieść. I za każdym razem, gdy wydawało się nam, że jesteśmy już na krawędzi, dostawałyśmy kolejny cios.

Mama starała się powstrzymać płacz. To ona prowadziła samochód i skupiała się na tym, by szybko i bezpiecznie dowieźć nas do szpitala. Ja tymczasem zaciskałam kciuki za tatę.

– Trzymaj się, tatusiu – powtarzałam jak mantrę. – Trzymaj się...

Nie byłam gotowa na kolejną stratę, zwłaszcza w momencie, w którym nie do końca jeszcze dotarło do mnie to, co zdarzyło się w Rijadzie i jakie będą tego konsekwencje. Potrzebowałam taty. Jego mądrości, siły i wsparcia.

Ale on odszedł.

Dotarłyśmy do szpitala tylko po to, by się dowiedzieć, że zmarł w drodze do niego. W trakcie akcji ratunkowej w karetce przyszedł kolejny zawał. Po bolesnym rozwodzie, stracie dzieci, teraz zostałam osierocona przez ojca.

Moją pierwszą reakcją nie był jednak żal. Była nią wściekłość. Myślę, że to ona uratowała mnie przed osunięciem się w otchłań. W obliczu takiego ogromu tragedii nigdy nie jesteśmy w stanie przewidzieć własnych zachowań. Ci, których dopada bezsilność, pogrążają się w smutku i nie potrafią działać. Ja byłam wściekła. Po raz pierwszy, od kiedy w moim małżeństwie pojawiły się kłopoty, otrząsnęłam się z wyobrażeń o byłym mężu i skierowałam ku niemu złość za to, że pozbawił mnie szansy na spędzenie czasu z moim tatą, gdy ten żył, a to, co mi zrobił, niewątpliwie przyczyniło się do jego śmierci.

On go zabił. Mój ojciec nie mógł znieść tego, że jego jedyna córka została skazana na cierpienie

aż po kres jej życia. Nie potrafił sobie z tym poradzić. Może z medycznego punktu widzenia dostał zawału, ale tak naprawdę po prostu serce pękło mu z rozpaczy. A ten, kto go w tak okrutny sposób zabił, był znany z imienia i nazwiska, choć dokonał tego z odległości tysięcy kilometrów.

Mama nie płakała. Nie potrafiła. Wiadomość o śmierci jej ukochanego męża wprowadziła ją w stan otępienia. Jakby ktoś jednym przyciskiem wyłączył w niej wszystkie emocje. Pamiętam, że gdy wróciliśmy ze szpitala do domu, powiedziała:

– Musimy zgłosić się do ambasady. Trzeba odzyskać twoje dzieci. Nie spocznę, dopóki nie poznam swoich wnuków.

W pierwszym odruchu chciałam zaprotestować. Lista rzeczy, które musiałyśmy zrobić w związku z pogrzebem taty, była długa, ale na pewno nie obejmowała wizyty w ambasadzie. Powstrzymałam się jednak, bo szybko zrozumiałam, że to mechanizm obronny. Mama nie chciała zaakceptować tego, co się wydarzyło, a było zdecydowanie za wcześnie, by jej to uświadamiać.

Tej nocy żadna z nas nie spała. Słyszałam łkanie mamy za ścianą, ale postanowiłam, że nie będę jej przeszkadzać. Ona bardzo się starała być dzielna dla mnie, a ja teraz musiałam być dzielna dla niej, choć zupełnie nie miałam na to siły.

Paryż, sierpień 2005

Na pogrzeb taty przyszło niewiele osób. To chyba moja wina, bo nie powiadomiłam wszystkich, których powinnam powiadomić. Mama odmówiła informowania o tym fakcie kogokolwiek. Oczywiście fizycznie była na cmentarzu, ale zdawała się nie rozumieć, że to pogrzeb jej męża. Jakby ze zwyczajnej grzeczności przybyła uczestniczyć w pochówku dalekiego znajomego.

Kiedy jednak urnę z prochami mojego taty chowano w grobie, w którym od lat spoczywała moja siostra Eugène, mama zniknęła z pierwszego szeregu żałobników. Widziałam, jak się wycofuje i staje kilka alejek obok. Wolała trzymać się z daleka, bo gdyby była blisko, musiałaby przyznać coś, na co nie była gotowa.

Nie nalegałam, dałam jej przestrzeń na przeżywanie tej żałoby po swojemu, choć sama nie czułam się gotowa na nic z tego, co się wydarzyło. Każdy, kto kiedykolwiek stanął przed koniecznością załatwiania formalności pogrzebowych bliskiej osoby, wie, jak bardzo rozdzierający serce jest to moment. Ja jednak musiałam temu sprostać, bo wiedziałam, że mama nie jest do tego zdolna. Dla mnie był to czas działania, od którego odwykłam. Przez ostatnie lata wszystko załatwiano za mnie, nikt nie liczył się z moim zdaniem, nie czekał na moje decyzje. Po śmierci taty nagle się to zmieniło, ale paradoksalnie miało to swoje dobre strony. Wybudziło mnie z życiowego letargu, skłoniło do aktywności.

Nie miałam pojęcia, co powinnam zrobić, ale wiedziałam, że nie będę w stanie zrobić tego sama. Zadzwoiłam do Karen, ale nie odebrała. Oddzwoniła po dwóch dniach, nie wiedząc nawet, do kogo dzwoni, bo miałam już nowy numer.

– Emily, to ty? Co robisz we Francji? Jak zobaczyłam francuski numer, od razu pomyślałam o tobie, ale później stwierdziłam, że to raczej niemożliwe! – mówiła podekscytowana.

– Zostałam wyrzucona z Arabii Saudyjskiej. Badr rozwiódł się ze mną i zabrał mi dzieci – powiedziałam jednym tchem, po czym się rozplakałam.

– Och, kochanie, tak bardzo mi przykro... Rezerwuję bilet, będę u ciebie w weekend.

Minęło tyle czasu. Karen miała wszelkie powody, by traktować mnie z rezerwą. Nie odzywałam się, od kiedy została wydalona z Królestwa, zresztą już same okoliczności tej deportacji wystarczyły, by poważnie przemyśleć znajomość ze mną. Ona jednak nie miała wątpliwości, że jest mi potrzebna. I miała rację.

Przyjechała zgodnie z planem. Był z nią Mark, co bardzo mnie ucieszyło. Zwłaszcza że kiedy akurat nie imprezował, był poważnym prawnikiem specjalizującym się w prawie europejskim. Wprawdzie Saudyjczycy nie uznają europejskiego systemu prawnego, a często wręcz krytykują go jako bluźnierczy, ale prawnicza wiedza była w mojej sytuacji bezcenna, bo sama zupełnie nie wiedziałam, co powinnam zrobić.

– Musimy zawiadomić wszystkie możliwe instytucje, od policji począwszy, na pałacu

prezydenckim skończywszy – oznajmił Mark. – Wszelkie organizacje wolnościowe od Amnesty International po ONZ. Badr działa zgodnie z saudyjskim prawem, więc naszą jedyną szansą jest kompromitowanie saudyjskiego księcia na arenie międzynarodowej. To będzie długa i trudna walka, ale Arabia Saudyjska ma nowego króla, pewnie będzie chciał poukładać sobie stosunki międzynarodowe. Jeśli uda nam się dotrzeć do właściwych ludzi, mamy szansę...

Nie znałam go z tej strony, ale jego słowa wlały w moje serce sporo nadziei. Niestety już następnego dnia zorientowałam się, ile prawdy było w stwierdzeniu o trudnej walce.

Próba zgłoszenia sprawy na policji spotkała się ze skandalicznym zachowaniem funkcjonariuszy, którzy słysząc, że jestem byłą arabską księżniczką, od razu przyjęli sarkastyczny ton. Zupełnie jakbym ich zapewniała, że jestem Napoleonem albo Jezusem podczas jego drugiej wizyty na ziemi.

– I co saudyjska księżniczka robi w naszym komisariacie? – ironizował jeden z nich.

– Zgłasza przestępstwo! – warknęłam, wściekła na takie traktowanie. Spędziłam za dużo czasu w miejscu, w którym nie respektowano moich praw, by pozwolić sobie na podobne uwagi w moim ojczystym kraju. – I proszę mnie nie zmuszać do tego, żebym oprócz zgłaszania przestępstwa musiała jeszcze zgłosić skandaliczne zachowanie policjanta.

To zdawało się poskutkować, bo mężczyzna powstrzymał się od dalszych komentarzy. Do momentu, gdy spytał o imiona moich dzieci.

– Jak to, nie zna pani imienia swojego dziecka?

– Nie znam, bo mój mąż odebrał mi je zaraz po porodzie. Mój starszy synek ma na imię Hadid, Hadid bin Badr bin Hafiz Al Saud. A imienia mojego młodszego synka nie poznałam.

– I jak pani sobie wyobraża poszukiwania tego dziecka? Bezimiennego niemowlęcia? – uniósł się oficer, uderzając w mój najczulszy punkt.

Pamiętam tę wszechogarniającą wściekłość. Nie mogłam uwierzyć, że to wszystko spotyka mnie ze strony mężczyzny w moim własnym kraju. Kraju, który otwarcie krytykuje łamanie praw kobiet w państwach takich jak Arabia Saudyjska czy Iran. Kraju, którego obywatele głośno domagają się wprowadzenia zakazu noszenia *hidżabu* w instytucjach publicznych, a za kilka lat prawo oficjalnie go wprowadzi.

To wszystko jednak składało się na obraz powszechnej ignorancji, bo nie o zakaz noszenia *hidżabu* walczą kobiety z krajów arabskich, ale o prawo wyboru. Zakaz noszenia *hidżabu* jest dokładnie tym samym, co obowiązek jego noszenia. I tak samo pomija wolność kobiet do samostanowienia. Nigdy wcześniej nie zwracałam na to uwagi, ale mój saudyjski koszmar mocno mnie na te tematy wyczulił i paradoksalnie spowodował, że zaczęłam dostrzegać nie różnice, a podobieństwa w podejściu do kobiet również w świecie, który mianuje się wyzwolonym i tolerancyjnym.

Jest jednak bardzo poważna różnica pomiędzy moim krajem a Arabią Saudyjską. Wprawdzie i tu głos kobiet często jest lekceważony, ale gdy tego potrzebujemy, możemy go zabrać. I ja miałam zamiar z tego prawa w pełni skorzystać.

– Jak pan śmie sugerować, że jestem złą matką! – wrzasnęłam z mocą. – Nie będę tolerować podobnych komentarzy! Ani jednego! Jestem wściekła na to, co zrobił mi mój były mąż, i jestem gotowa na walkę z nim, a pan ma wybór: stanąć albo po jego stronie, albo po mojej. Jeśli jednak zdecyduje się pan zostać moim wrogiem, gwarantuję, że przegra pan tę walkę!

Oczywiście jedyne, co mogłam w tej sprawie zrobić, to złożyć skargę, ewentualnie wytoczyć proces cywilny, ale byłam gotowa to uczynić choćby dla zasady. Na szczęście oficer poszedł po rozum do głowy i przyjął moje zgłoszenie bez okraszania go kolejną porcją mizoginicznych komentarzy.

Poza policją moja historia została opisana przez Marka, a następnie przetłumaczona przeze mnie w listach do rozmaitych organizacji. Zgodnie z planem napisaliśmy też do kancelarii prezydenta Jacques'a Chiraca. Nie doczekaliśmy się odpowiedzi. To akurat było do przewidzenia, bo Chirac zawsze szczylił się doskonałymi relacjami z krajami arabskimi i mało prawdopodobne było, że rzuci je na szalę w tak błahej z punktu widzenia wielkiej polityki sprawie jak moja. Jego reelekcja stała jednak pod wielkim znakiem zapytania i obiecałam sobie, że gdy tylko prezydentem zostanie ktoś inny, ponownie napiszę do pałacu prezydenckiego.

Ku naszemu zaskoczeniu pierwszą instytucją, która nam odpowiedziała, była ambasada

saudyjska w Paryżu. W krótkim liście napisano, że placówki dyplomatyczne Królestwa Arabii Saudyjskiej nie zajmują się wewnętrznymi sprawami rodziny królewskiej i nie zamierzają ani w nie ingerować, ani ich komentować.

Takiej reakcji można było się spodziewać, zwłaszcza że saudyjskie ambasady z reguły są obsadzone przez członków rodziny królewskiej. Francuskim ambasadorem w tym czasie był Mohammed bin Ismail Al Sheikh. Choć nie był Al Saudem, jego żona pochodziła z rodziny królewskiej, co gwarantowało unię i miało zapewnić wzajemną lojalność. Jednak odpowiedź ambasady miała kluczowe znaczenie nie ze względu na samą swoją treść. Otworzyła bowiem możliwość wytoczenia zaocznego procesu mojemu mężowi przed francuskim wymiarem sprawiedliwości.

Niestety takie sprawy wymagają czasu.

Oksford, luty 2006

Od kiedy wróciłam do Francji, chodziła mi po głowie myśl o tym, by skontaktować się z Hayat. Nie miałam pojęcia, jaka będzie jej reakcja na propozycję spotkania, ale musiałam spróbować. I próbowałam przez wiele miesięcy, jednak bezskutecznie. Na jedyny numer, który znałam, nie mogłam się dodzwonić. Na nagrywane na poczcie głosowe wiadomości nie reagowała. Maile również zostawały bez odzewu. A że to wszystko działo się w czasie, kiedy media społecznościowe nie były jeszcze tak popularne, szanse na odnalezienie kogoś w sieci praktycznie nie istniały.

Karen obiecała, że mi pomoże. Wkrótce, ku mojemu zaskoczeniu, zadzwoniła do mnie z informacją, że Hayat z Muradem w lutym przebywa w Oksfordzie, a ona zna adres ich willi. Podejrzewając, że nie spędzą w Anglii dużo czasu zimą, nie zwlekałam z przyjazdem.

Karen już na mnie czekała. Przywitała mnie z uśmiechem. Od kiedy zaangażowałam ją w swoje życie po powrocie z Królestwa, nie pozwalała sobie już w moim towarzystwie na typowe dla siebie żarty. Zmieniła się. Nadal była odważna, trochę bezczelna, ale nie było w niej już pragnienia rozbawiania całego świata. Zostało pragnienie zbawiania.

– To jest adres – powiedziała, podając mi kartkę z nakreśloną ulicą i numerem. – Iść z tobą?

– Tak, ale na wszelki wypadek trzymaj się z daleka. Jeśli nawet Hayat zgodzi się na rozmowę, to raczej nie będzie chciała mieć świadków.

– No pewnie, będę jak agent specjalny – zapewniła, puszczając oko.

Wzięłyśmy taksówkę i niedługo potem znalazłyśmy się przed posiadłością, którą zamieszkiwała Hayat z Muradem i ich nastoletnim już synem. I tu pojawiły się schody. A właściwie brama, strzeżona przez elektryczny zamek. Nie mogłam się przecież zaanonsować, zapytać, czy mnie przyjmą. Sytuacja wydawała się beznadziejna.

Karen zauważyła, że na murze po obu stronach bramy zamontowane są kamery. Próbowała do nich machać, ale to też nie dawało żadnego rezultatu. Minęło kilkadziesiąt minut, gdy nagle rozległ się donośny trzask, a zaraz po nim poły bramy zaczęły się rozwierać, choć dookoła wciąż nie było widać żywego ducha. Siedziałyśmy na krawężniku po drugiej stronie ulicy, uważnie przyglądając się tej scenie.

Po mniej więcej dwóch minutach w świetle bramy pojawił się czarny samochód. Widząc go, wstałyśmy i przeszłyśmy na drugą stronę ulicy. To mogła być dla nas jedyna szansa, by spytać o możliwość spotkania z saudyjską księżniczką. Kiedy samochód znalazł się na mojej wysokości, stanął, a szyba od strony kierowcy opadła. Za kierownicą siedziała Hayat we własnej osobie. Wyglądała zupełnie inaczej, niż ją zapamiętałam. Jej kiedyś czarne długie włosy teraz były ostrzyżone, elegancko nastroszone i ufarbowane na płowy blond.

– Emily, tak myślałam, że to ty! Cudownie cię widzieć, wsiadaj... – zaprosiła, wskazując miejsce po swojej lewej stronie.

Kiedy ruszyłam ku niej, przez głowę przemknęła mi myśl, że może robię błąd, ale szybko ją odrzuciłam. Po pierwsze, nie miałam innego wyjścia, a po drugie, po tym, co przeszłam w Arabii Saudyjskiej, niewiele było mnie już w stanie przestraszyć.

– Nie bój się. Wiem, o czym myślisz, ale nadal możesz mi ufać – powiedziała, gdy wsiadłam do samochodu, po czym pocałowała mnie w policzek.

Całkiem zapomniałam, że ona też nie była fanką systemu, który panuje w jej ojczystym kraju.

Pojechałyśmy do małej kawiarenki, a po drodze Hayat opowiedziała mi, jak wyglądało jej życie w ciągu ostatnich kilku lat. Okazało się, że ani ona, ani Murad nie byli w Arabii Saudyjskiej od czasu, kiedy się z nimi tam widziałam.

– Dlaczego? – spytałam zaskoczona.

– Powiedzmy, że coraz mniej nam po drodze – odpowiedziała tajemniczo.

Dopiero później wyjaśniła, że informacje o ich stylu życia przedostały się jakimś cudem do Królestwa i wywołały niemały skandal. Saudyjska księżniczka, która pozostając w związku małżeńskim, ma stałego partnera, i jej prawowity mąż, który ma narzeczonego. Wszyscy razem w zgodzie mieszkają w jednym domu, wychowując syna, który jest dzieckiem z nieprawego łoża, przy czym żaden z trzech mężczyzn nie jest jego biologicznym ojcem. To było niczym bomba nuklearna spuszczone na saudyjski konserwatyzm. Nie do zaakceptowania w tym kraju, choć trudne do zrozumienia też w wielu innych, mianujących się postępowymi.

Gdy siedziałyśmy już w kawiarni, a na naszych stolikach stały kubki z gorącą kawą, wszystkie światła zostały skierowane na mnie.

– A jak ty się masz, kochana? – zapytała Hayat czule, zachęcając mnie do zwierzeń.

Te słowa uruchomiły we mnie prawdziwą lawinę. Rozpłakałam się i przez dłuższą chwilę nie byłam w stanie się odezwać.

– Nie wiem, jak odzyskać dzieci... – wyznałam w końcu, próbując się opanować.

Hayat spojrzała na mnie z wyraźną konsternacją.

– Dzieci? – powtórzyła. – Mówisz o Hadidzie...? Wiem, że Badr ci go odebrał...

W jednej chwili zrozumiałam, że ona nie ma pojęcia o istnieniu swojego drugiego bratanka.

– Nie wiesz, że byłam drugi raz w ciąży, że urodziłam drugiego synka...? – upewniłam się.

– To znaczy... Badr wspominał mi, że uroiłaś sobie ciążę i przestaliście się rozumieć, dlatego rozpadło się wasze małżeństwo... Mówił, że zatrzymał Hadida przy sobie nie dlatego, że chciał was rozdzielić, tylko w obawie o twoje zdrowie psychiczne...

Słyszac to, rozpłakałam się jeszcze rzewniej. Chyba bardziej z bezsilności niż z żalu. Nie mogłam uwierzyć w tę zgrabną i tak okrutnie kłamliwą historyjkę. A do tego przerażała mnie myśl o prawdziwych powodach ukrywania narodzin mojego małego synka.

Opowiedzenie tego, co naprawdę wydarzyło się pomiędzy mną a Badrem w czasie, kiedy Hayat mieszkała poza Królestwem, zajęło mi blisko dwie godziny.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego on ukrywa istnienie swojego własnego syna. Czy chodzi mu tylko o to, że urodził się z zespołem Downa? – zakończyłam.

– Obawiam się, że odpowiedź na to pytanie może być bardzo okrutna – powiedziała Hayat. – Wiem, że to nie jest coś, co chcesz usłyszeć, ale nie byłby to pierwszy przypadek zaginięcia noworodka w naszej rodzinie.

– Jak to „zaginięcia”? On go ukrywa!

– Nikt o nim nie wie. Wierz mi, w naszej rodzinie oficjalnie Badr ma tylko jednego syna. Nawet ja nie słyszałam o waszym drugim dziecku. Owszem, mamy ze sobą ostatnio na pieńku, ale kontaktujemy się i na pewno wiedziałabym o tak ważnej rzeczy.

Słowa Hayat mroziły mnie do szpiku kości. Do tej pory byłam przekonana, że moim największym koszmarem jest brak kontaktu z dziećmi, ale coraz bardziej zdawałam sobie sprawę, że to tylko wierzchołek góry lodowej.

– Jesteś w stanie mi jakoś pomóc? – spytałam błagalnym tonem.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby się czegoś dowiedzieć. Ale niestety nie polecę do kraju. Mogłabym mieć kłopoty z powrotem. Mam tam jednak sporo zaufanych osób, które mogą poprosić o interwencję. Zrobię, co się da, obiecuję.

Od tej pory byłyśmy z Hayat w stałym kontakcie, ale jej saudyjskie śledztwo niestety nie przyniosło przełomu. Nie znalazł się nikt, kto wiedziałby coś w mojej sprawie.

– A doktor Burhan? – zapytałam któregoś razu. – Poznałaś ją przecież, przyjmowała oba moje porody... Może udałoby ci się do niej dotrzeć. Ona na pewno potwierdzi, że urodziłam dwójkę dzieci.

– Już o tym pomyślałam – odparła Hayat. – Była jedną z pierwszych osób, do których

próbowałam dotrzeć. Niestety doktor Burhan zginęła w wypadku samochodowym na autostradzie kilka kilometrów od Rijadu. Straciła panowanie nad kierownicą i wpadła pod tira.

Ani ja, ani Hayat nie wierzyłyśmy, że śmierć lekarki jest dziełem przypadku. Ale żadna z nas nie była w stanie tego udowodnić.

Paryż, styczeń 2007

Przed paryskim sądem wreszcie rozpoczął się proces o opiekę nad... No właśnie, Badr już na jego wstępie wygrał! Nawet francuski sąd nie uwierzył w moją wersję wydarzeń i moje roszczenia dotyczyły opieki tylko nad Hadidem. Mój drugi synek również w moim kraju został uznany za nieistniejącego, a moje zapewnienia o tym, że go urodziłam, nie zostały przyjęte. Nikt mi nie uwierzył. Adwokat doradził mi jednak, bym nie naciskała, bo mój były mąż z pewnością wykorzysta to jako dowód na moje problemy psychiczne, jak robił to do tej pory. Skoro udało mu się przekonać do tego całą rodzinę, nie będzie miał większego problemu z przekonaniem sądu. Zwłaszcza że ten zdawał się już na wstępie przychylić do jego wersji wydarzeń.

Oczywiście Badr nie pojawił się osobiście na żadnej z rozpraw. Był na nich reprezentowany przez doskonale przygotowany zespół cynicznych prawników, których usługi zapewne kosztowały fortunę, ale były warte każdego centa.

Dwie pierwsze rozprawy odbyły się jeszcze zimą, a później sprawa utknęła w martwym punkcie. Próbowałam po raz kolejny zainteresować nią organizacje międzynarodowe i prasę, ale nikt tak naprawdę nie podjął tematu. Wszyscy odsyłali mnie z informacją, że chętnie się tym zajmą, jak już sąd wyda wyrok. Rozumiem, tak jest bezpieczniej, ale nie zmienia to faktu, że czułam się zupełnie bezsilna, a mój stan psychiczny wcale się nie poprawiał.

Byłam pod opieką psychiatry, brałam pigułki, które uśmierzały ból codzienności, ale zaczynałam mieć świadomość, że życie wymknęło mi się spod kontroli. Miałam trzydzieści lat, utrzymywałam się z pieniędzy mamy i spadku po tacie, a koszty sądowe pochłaniały coraz większą fortunę. Musiałam zacząć normalnie funkcjonować, pójść do pracy. Nigdy nie pracowałam we Francji, ale okazało się, że znalezienie zatrudnienia w moim zawodzie nie było takie trudne.

Zacząłam pracować jako księgowa w zatrudniającej kilkadziesiąt osób prywatnej firmie i próbowałam ogarnąć swoją szarą rzeczywistość, choć główny cel mojego życia nadal się nie zmienił. Pisałam błagalne listy i wyczekiwałam kolejnej rozprawy, mając nadzieję, że ta wreszcie przyniesie mi ukojenie i odda sprawiedliwość.

Paryż, maj 2010

Ostatnia rozprawa sądowa miała miejsce pięć lat po tym, jak wróciłam do Francji. Mimo bardzo dokładnych zeznań dotyczących moich przeżyć w Arabii Saudyjskiej, więzienia i znęcania się psychicznego, mimo mocno obciążających zeznań moich przyjaciół, a nawet siostry i szwagra mojego byłego męża, francuski sąd przyznał rację księciu, którego nigdy osobiście nie widział.

Badr konsekwentnie nie pojawiał się na rozprawach, ale praca jego prawników wystarczyła, by udowodnić, że nie nadaję się na matkę, a odebranie mi prawa do opieki nad synem jest podyktowane wyłącznie jego dobrem. Wtedy się poddałam. Wiedziałam, że skoro nawet w moim kraju nie jestem w stanie przekonać wymiaru sprawiedliwości, że jestem dobrą matką, to nikt już w to nie uwierzy. Czułam żal, a w mojej głowie coraz częściej pojawiały się myśli o tym, że moje dalsze istnienie nie ma większego sensu.

Mama nie doczekała wyroku, zmarła kilka miesięcy przed nim. Niedługo po tym, jak dotarło do niej, że tata już nie wróci. Myślała tylko o tym, by do niego dołączyć. A wkrótce i ja zaczęłam czuć, że już tylko mnie w ich gronie brakuje.

Karen doskonale wyczuła moment i nie zadając pytań, przeprowadziła się do mnie, próbując zająć mi czas i rozgonić czarne myśli. Przez cały pobyt namawiała mnie na powrót do Manchesteru. W końcu jej się udało. Zdecydowałam się wyjechać i myślę, że to uratowało mi życie. Gdybym została w Paryżu sama, pewnie już by mnie nie było...

Dziesięć lat później...

Choć to wydawało się niemożliwe, moje życie powoli zaczęło się układać. Pojawił się w nim nawet mężczyzna, który potrafił zaakceptować moją chorobliwą nieufność i fakt, że nasz związek będzie naznaczony moją przeszłością. To dzięki niemu zaczęłam patrzeć w przyszłość znacznie częściej niż w przeszłość.

Nauczyłam się zapominać, ale kiedy świat pogrążył się w pandemii, zmuszając nas wszystkich do zatrzymania się i wzięcia głębokiego oddechu, choć spod szczelnej maseczki, demony przeszłości wróciły. Zdałam sobie sprawę, że przez ostatnie lata tak usilnie starałam się nie dotykać historii, że nie zauważyłam, jak bardzo świat się zmienił. To, co kilkanaście lat wcześniej było niemożliwe, teraz było na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło wziąć w nią telefon.

Czas izolacji spędziłam, poszukując moich synów w sieci. Wiedziałam, że są już nastolatkami, więc byłam pewna, że w niej funkcjonują. Mojego młodszego synka nie byłoby mi łatwo odnaleźć, bo nie znałam jego imienia, ale Hadid musiał być gdzieś w odmętach internetu.

Nie myliłam się. Odnalazłam go bez większego trudu na Instagramie i podekscytowana natychmiast wysłałam wiadomość.

„Witaj, książę. Czy to Twoim ojcem jest książę Badr Al Saud?”, napisałam, chcąc się upewnić, że to mój syn.

Przejrzałam wcześniej jego konto. Było na nim tylko pięć zdjęć, każde podkreślało jego uprzywilejowany status, ale żadne nie ujawniało jego twarzy.

Na odpowiedź czekałam kilka godzin.

„Tak”, odpowiedział krótko.

„Fantastycznie – odpisałam natychmiast. – Jestem twoją mamą. Tak bardzo tęsknię za Tobą i Twoim bratem”. Wiadomość opatrzyłam kilkoma serduszkami.

Kilka minut później dostałam odpowiedź: „Nie mam brata, wariatko!”.

A po chwili zostałam zablokowana.

Dokładnie tak jak przed laty zrobił to jego ojciec, teraz mój syn jednym kliknięciem usunął mnie ze swojego życia. Nie mogłam go za to winić, choć moje zbolełe serce pękło na milion kawałków, a wszystkie cierpienia, które zdawały się pogrzebane w przeszłości, wróciły.

Wtedy stało się dla mnie jasne, że Hadid nigdy nie poznał swojego brata, a mój młodszy synek już na zawsze pozostanie bezimiennym zaginionym księciem.

Epilog

Zgodnie ze zwyczajem po spisaniu historii opowiedzianej przez Emily przetłumaczyłem jej tekst i przelałem jej do autoryzacji. Zwykle trwa ona dość długo, ale nie w tym przypadku. Czekala na nią z taką niecierpliwoscia, ze przeczytala tekst niemal natychmiast. Nie miala wiekszych uwag, ale ja mialem do niej dodatkowe pytania.

Musimy zdradzic pewien sekret... Sama wymyslilas tytul tej ksiazki, jednak o zaginionym ksieciu jest w niej niewiele. Dlaczego nalegalas, by tak wlasnie ja nazwac?

Byc moze jest w niej niewiele o moim synku, zaginionym ksieciu, a jednak cala ta opowiec jest o nim. Jest w niej wszystko, co doprowadzilo do tego, ze pojawil sie na tym swiecie. I wszystko, co zdarzyl sie pozniej. A jezli ktos czuje niedosyt, moze sobie wyobrazic, co czuje ja, matka, ktora nosila go pod sercem przez dziewiec miesiecy, a gdy na chwile pojawil sie w moich ramionach, to tylko po to, bym pozegnala sie z nim na zawsze. Choc wtedy nie moglam tego podejrzewac. Ta tesknota niszczy mnie od kilkunastu lat. A od kilku dodatkowo strach o to, co sie z nim stalo.

Masz jakies podejrzenia?

Boje sie o tym myslec.

Nie chce naciskac, ale... spróbujesz?

Mam nadzieje, ze zostal oddany do adopcji. Mojego meza byloby stac na to, zeby zapewnic mu wspaniale zycie, ale najwyrazniej syna z zespolem Downa uznal za niegodnego jego ksiazeciego wizerunku. Jest wielu zwyklych Saudyjczykow, ktorzy w wielkim trudzie, poswieceniu i przy ogromnych nakladach finansowych opiekujaja sie swoimi dotknietymi ta przypadloscia dziecmi, ale najwyrazniej nie jest to akceptowalne, gdy jest sie ksieciem. Badr uznal narodziny dziecka z zespolem Downa za osobista porazke, a mnie za glowna winowajczynie tego stanu rzeczy, choc przeciez ten malec mial w sobie geny nas obojga. Kazdego dnia wysylam w kosmos prosby o to, by byl szczesliwy. Nie dopuszczam innych mozliwosci, choc wiem, ze istnieja.

Nie kusilo cie, by nadac zaginionemu ksieciu imie, tak na wlasny uzytek, zeby nie byl bezimienny?

Myslalam o tym, ale zawsze rezygnowalam z tego pomyslu. Wierzę, ze on zyje i jest szczesliwy. I na pewno ma imie. Gdybym nazwala go po swojemu, przestalby byc ta sama osoba. Caly czas liczylam, ze nawet jezli nie uda mi sie z nim spotkac, poznam jego imie i jego dalsze losy. Nie chcialam zafalszowywac rzeczywistosci swoimi wyobrazeniami, choc ostatecznie i tak tylko one mi zostaly.

Nie mogę uwierzyć, że twoją historią nie zainteresowały się media...

Chyba mialam pecha, ze nie znaleziono mnie martwej. Ja nie mogę uwierzyć, ze nie wiedzialam nic o sprawie Candice Cohen-Ahnine. Obie pochodzilyśmy z tego samego kraju, obie poznalyśmy naszych przyszlych mezow w Wielkiej Brytanii i wzenilyśmy sie w te sama rodzine królewską. Nawet mieszkalyśmy w Arabii Saudyjskiej w tym samym czasie, a procesy w naszych sprawach toczyly sie w tym samym sadzie. Mimo to nic o sobie nawzajem nie wiedzialyśmy. Dowiedzialam sie o niej dopiero, gdy wypadla z okna swojego apartamentu. I dopiero wtedy media uznaly te historie za wystarczajaco ciekawa. Zreszta o Kasi Al Thani tez nikt wczesniej nie mowil. Nikt nie interesowal sie jej bolesna walka o prawo do opieki nad corkami. Swiat gremialnie przejal sie jej sprawa, dopiero gdy odnaleziono jej zwloki.

Gdybyś spotkala Badra po raz kolejny, myślisz, że byś się w nim zakochala?

Po tych wszystkich doswiadczeniach na pewno nie, ale bez nich na pewno tak. Ja wiem, ze moja historia przez wielu zostanie opatrzona komentarzem: „sama jest sobie winna”, ale czy kogokolwiek mozna winic za miłosc? Ja naprawde go kochalam i naprawde mialam nadzieje, ze to sie uda. Czesciej marzylam o tym, byśmy kiedyś wiedli skromne zycie w Europie. Wolalabym je od saudyjskich luksusow. Ludzie oceniaja mnie po pozorach, zapominajac, ze jestem matka, ktora stracila to, co dla kazdej matki najcenniejsze – swoje dzieci.

A co się dziś dzieje z twoimi przyjaciółmi?

Alina jest szczesliwie zakochana, wyjechala ze swoim mezem do Stanow, Karen nadal sie mną opiekuje, a z Markiem i jego mezem mam swietny kontakt. Nie wiem, co bym bez nich zrobila. Bardzo

możliwe, że już by mnie nie było.

A Hayat?

Nie miałyśmy kontaktu od czasu, gdy zeznawała w mojej sprawie w sądzie. Swoją drogą jestem jej za to bardzo wdzięczna. Miała doskonałe relacje z Badrem, choć te nieco się zepsuły po tym, jak wyszedł na jaw jej styl życia, a mimo to zdobyła się na uczciwość, by stanąć po mojej stronie w procesie. Jestem przekonana, że jeszcze kiedyś się spotkamy.

W twojej historii Badr jawi się jako doktor Jekyll i pan Hyde, jakby miał dwie różne osobowości...

I to właśnie było moją zgubą. Nawet w tych najgorszych momentach ciągle doszukiwałam się w nim człowieka, którego pokochałam. Nie mogłam uwierzyć, że poza granicami swojego kraju jest otwartym, tolerancyjnym, kochającym chłopakiem, a będąc w Arabii Saudyjskiej, staje się bezwzględny, zasadniczy i okrutny. Do dziś nie jestem w stanie tego pojąć, choć z perspektywy czasu mierzi mnie jego hipokryzja. Przebił okrucieństwo swojego ojca, za które tak bardzo go nienawidziłam.

A Dar Al Reaya? Czy odcisnęło na tobie piętno? Często dopiero po czasie widać skutki takich...

Ogromne. Zwłaszcza wtedy, gdy zdałam sobie sprawę, że zamknięto mnie w więzieniu za urodzenie dziecka, które nie spełniało przyjętych standardów i oczekiwań mojego męża. I obwiniano mnie o to, że to ja do tego doprowadziłam przez swoje niewłaściwe zachowanie.

To absurd!

Tak, ale podobne oskarżenia słyszą tysiące saudyjskich kobiet, które tam trafiają. Te zarzuty są zawsze wyssane z palca, jednak nie zmienia to faktu, że muszą ponieść karę. Niestety bardzo często problem dla rodziny rozwiązuje się sam, bo samobójstwa są w Dar Al Reaya codziennością. Tam łamie się psychikę kobiet i nazywa się to korygowaniem. W przekonaniu konserwatystów, których wciąż jest w Arabii Saudyjskiej wielu, kobieta ze złamaną psychiką nabiera cnót niewieścich. Staje się posłuszna, cicha, zamknięta w sobie i spełnia swoje obowiązki bez dyskusji.

Dziś w kwestii praw kobiet w Arabii Saudyjskiej wiele się zmieniło, przynajmniej fasadowo. Czy Dar Al Reaya nadal działają?

Działają i są jeszcze bardziej oblegane. W Arabii Saudyjskiej jest coraz więcej świadomych obywateli. Kobiet i mężczyzn. Odrzucają oni zasady niszczącego ich życie patriarchy, ale takie zmiany nie zachodzą natychmiast. Właśnie ta zwiększona świadomość często pakuje dziewczyny w kłopoty i do Dar Al Reaya trafia ich teraz więcej niż kiedykolwiek przedtem. To paradoks, ale księżę Mohammed zdaje się nie przejmować tym aspektem. Może postanowił zostawić te koszmarne więzienia (choć oficjalnie nie wolno ich tak nazywać) jako ostatni azyl władzy, którą karmi się saudyjski patriarchy.

Myślisz, że kiedyś saudyjskie prawo rozwodowe stanie po stronie kobiet i będą one miały szansę na uzyskanie opieki nad dziećmi?

Nie mam pojęcia, choć nie jestem optymistką, bo nigdzie na świecie nie ma w tej kwestii wzorowego kodeksu. Prawo rozwodowe krzywdzi w każdym kraju. W Europie kobiety częściej uzyskują opiekę nad dziećmi, zaś system prawny zdaje się kompletnie lekceważyć uczucia mężczyzn. A przecież rozwód nie oznacza, że ojciec jest złym rodzicem. W Arabii Saudyjskiej jest odwrotnie. Żadnego z tych rozwiązań nie uważam za właściwe, dlatego nie chciałabym atakować samego saudyjskiego prawa. Tu wszystko sprowadza się do ludzi. Do tego, czy mają do siebie szacunek i czy naprawdę kochają swoje dzieci. Jeśli tak, to nigdy nie przejdzie im przez myśl, by pozbawić je kontaktu z którymkolwiek z rodziców.